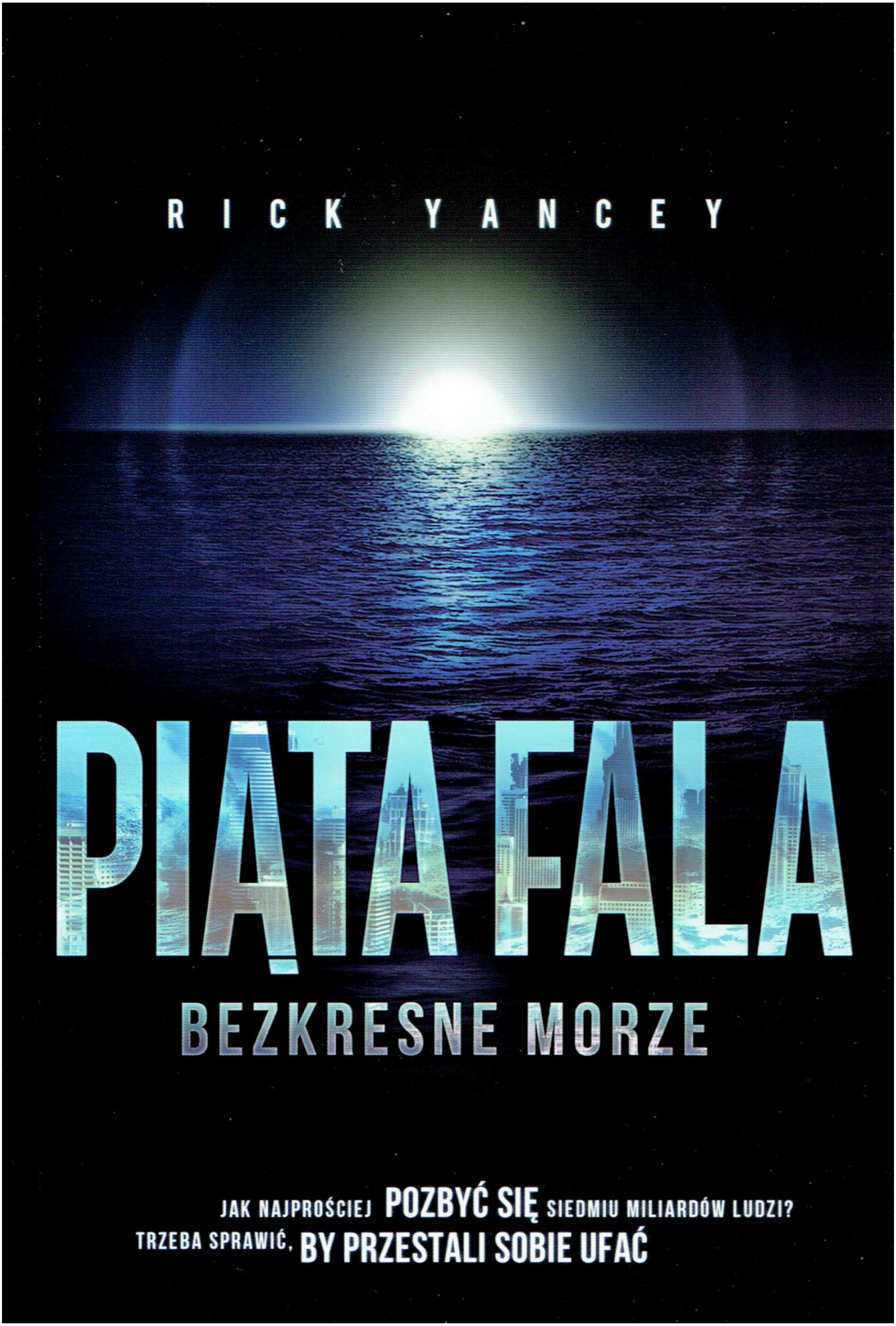
RICK YANCEY
PIĄTA FALA
BEZKRESNE MORZE
JAK NAJPROŚCIEJ POZBYĆ SIĘ SIEDMIU MILIARDÓW LUDZI?
TRZEBA SPRAWIĆ, BY PRZESTALI SOBIE UFAĆ

RICK YANCEY

# PIĄTA FALA

## BEZKRESNE MORZE

TŁUMACZENIE MARCIN WRÓBEL

Otwarte
KRAKÓW 2014

Tytuł oryginału: The Infinite Sea Copyright © 2014 by Rick Yancey Copyright © for the translation by Marcin Wróbel Projekt okładki: Eliza Luty Fotografia miasta na okładce: © iStockphoto.com / panolixxim Opieka redakcyjna: Eliza Kasprzak-Kozikowska, Anna Małocha Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak Adiustacja, korekta i łamanie: Zespół - Wydawnictwo PLUS ISBN 978-83-7515-290-6

WYDAWNICTWO
otwarte

www.otwarle.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, teł. (12) 61 99 569 Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

*Dla Sandy, strażniczki nieskończoności*

*„Bo moja miłość równie jest głęboka Jak morze,*
*równie jak ono bezkresna”.*
*William Shakespeare, Romeo i Julia,*
*tłum. J. Paszkowski*

# KSIĘGA PIERWSZA

# I
# PROBLEM SZCZURÓW

# 1

Świat jest zegarkiem z poluzowaną sprężyną.

Słyszę ją w skrobaniu lodowatych pazurów mrozu o szyby. Potrafię to wywęszyć w woni zapleśniałych wykładzin i obłażących tapet starego hotelu. Czuję to w piersi śpiącej Filiżanki. Bicie jej serca, rytm oddechów, ciepło parujące w zimnym powietrzu - to wszystko ostatnie drgnienia sprężyny zegarka.

Po drugiej stronie pokoju Cassie Sullivan trzyma wartę przy oknie. Księżycowy blask przesączający się przez niewielkie rozdarcia w zasłonie za plecami dziewczyny wydobywa z mroku zamarzającą parę unoszącą się z jej ust. Tuż obok niej, pod górą koców leżących na łóżku, śpi jej ledwie widoczny braciszek. Cassie krąży między oknem i łóżkiem, odwracając głowę z regularnością wahadła. Jej ruch, jej oddechy, tak jak oddechy Nuggeta, Filiżanki i moje również, są ostatnimi drgnieniami sprężyny zegarka.

Wygramoliłam się z łóżka. Filiżanka jęknęła przez sen i zagrzebała się głębiej pod przykrycia. Natychmiast poczułam lodowate powietrze przenikające aż do kości, choć do spania zdjęłam tylko buty i kurtkę. Zgarnęłam je z podłogi u stóp łóżka. Sullivan nie spuszczała mnie z oczu, gdy wciągałam buty i podeszłam do szafy, by zabrać plecak i karabin. Stanęłam obok niej przy oknie. Miałam wrażenie, że powinnam coś powiedzieć. W końcu mogłyśmy się już nigdy więcej nie zobaczyć.

- A więc to tak - odezwała się Cassie. Jej jasna skóra lśniła w blasku księżyca, a piegi zdawały się unosić w powietrzu wokół nosa i policzków.

- Ano tak - odpowiedziałam, przewieszając karabin przez ramię.

- A możesz mi coś wyjaśnić? Wiem, skąd się wzięła ksywka Dumbo: to przez uszy. Nugget dostał swoją, bo jest taki mały, Filiżanka podobnie. Nie bardzo wiem, dlaczego Zombie się tak nazywa, a Ben nie chce mi wyjaśnić, za to Pączka nazwali tak, bo jest okrąglutki. Ale skąd się wzięła ksywka Ringer?

Wiedziałam, dokąd to zmierza. Cassie nie była pewna, czy powinna ufać komukolwiek poza Zombie'em i swoim bratem. Samo brzmienie mojego przezwiska wzbudzało w niej paranoję.

- Jestem człowiekiem.

- Taa... - Spojrzała przez szparę w zasłonach na oblodzony parking piętro niżej. - Już to kiedyś od kogoś słyszałam. I uwierzyłam mu jak głupia.

- Wcale nie taka głupia, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Daj spokój, Ringer - prychnęła. - Nie udawaj. Wiem, że nie wierzysz w to, co mówiłam o Evanie.

- Wierzę ci, ale ta historia nie ma sensu.

Ruszyłam do drzwi, nie czekając na jej odpowiedź. Naciskanie Cassie Sullivan w sprawie Evana Walkera nie było dobrym pomysłem. Nie miałam jej tego za złe. Uchwyciła się go kurczowo niczym gałęzi wystającej ponad krawędzią klifu, a to, że zniknął, nie miało dla niej znaczenia. Sprawiało nawet, że trzymała się jeszcze mocniej.

Filiżanka milczała, czułam jednak, że na mnie patrzy. Wiedziałam, że nie śpi. Ponownie podeszłam do łóżka.

- Weź mnie ze sobą - szepnęła dziewczynka.

Pokręciłam głową. Przerabiałam to już setki razy.

- To nie potrwa długo. Wrócę za parę dni.

- Obiecujesz?

Nic z tego, Filiżanko. Obietnice to jedyna waluta, jaka nam pozostała. Należy je oszczędzać. Spojrzałam na jej drżącą wargę i wilgotne oczy.

- Hej - szepnęłam. - Żołnierzu... pamiętasz, co ci mówiłam? - Z trudem powstrzymałam się przed wzięciem jej w ramiona. - Jakie są nasze priorytety?

- Żadnego marudzenia - odpowiedziała posłusznie.

- Bo co się dzieje, kiedy marudzimy?

- Stajemy się miękcy.

- I co wtedy?

- Giniemy.

- A chcemy zginąć?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie.

Pogładziłam ją po twarzy. Po jej chłodnych policzkach płynęły ciepłe łzy. *Jeszcze nie.* Jako że czas ludzkości dobiegł końca, Filiżanka jest kobietą w średnim wieku. Ja i Sullivan jesteśmy stare, a Zombie? Najstarszy z najstarszych.

Czekał na mnie w hotelowym westybulu ubrany w narciarską kurtkę i jaskrawożółtą bluzę z kapturem, które znalazł w hotelu: uciekając z obozu Przystań, Zombie miał na sobie tylko pobrudzony lekarski kitel. Jego pokryta krzaczastą brodą twarz zdradzała objawy szkarlatyny. Nasz dwunastoletni medyk załatał jakoś ranę postrzałową, pamiątkę, którą mu pozostawiłam podczas ucieczki z Przystani, jednak musiała się wdać jakaś infekcja. Przyciskając rękę do boku, opierał się o kontuar recepcji i próbował udawać, że wszystko w porządku.

- Myślałem już, że zmieniłaś zdanie - odezwał się, patrząc na mnie z prowokacyjnym błyskiem w oku. Choć równie dobrze mógł to być efekt gorączki.

- Filiżanka - wyjaśniłam, kręcąc głową.

- Nic jej nie będzie. - Pozwolił sobie na uwolnienie jednego z tych swoich zabójczych, kojących uśmiechów. Najwyraźniej nie nauczył się jeszcze, jak ważne są obietnice, nie szafowałby nimi bowiem tak beztrosko.

- Nie martwię się o nią - stwierdziłam. - Za to ty wyglądasz, jakbyś miał umrzeć.

- To ta pogoda. Wywiera fatalny wpływ na moje samopoczucie. - Podkreślił żarcik kolejnym uśmiechem i pochylił się w moją stronę, oczekując, że odpowiem tym samym. - Pewnego dnia będziesz się musiała w końcu uśmiechnąć, szeregowa Ringer. Świat rozleci się wtedy na kawałki.

- Nie jestem gotowa, aby wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność.

Zaśmiał się. Miałam wrażenie, że w jego piersi coś zazgrzytało.

- Weź. - Podał mi kolejną broszurkę z przewodnikiem po jaskiniach.

- Mam już taką.

- Weź. Na wszelki wypadek.

- Przecież się nie zgubię.

- Pączek pójdzie z tobą - oznajmił.

- Zapomnij.

- To ja tu dowodzę. Idzie z tobą.

- Potrzebujesz go tutaj bardziej niż ja.

Pokiwał głową. Wiedział, że się sprzeciwię, ale musiał spróbować.

- Może powinniśmy to odwołać. - Westchnął. - Przecież tutaj nie jest tak najgorzej. Tysiące pluskiew, setki szczurów, kilkanaście trupów, za to widok z okna jest po prostu fantastyczny... - zażartował, próbując sprowokować mnie do uśmiechu, a potem pokazał trzymany w ręku folder. „20 stopni Celsjusza przez cały rok!”

- Chyba że akurat pada śnieg albo znowu zrobi się zimno. Mamy problem, Zombie. Już i tak za długo tu siedzimy.

Nie potrafiłam tego zrozumieć. Obgadaliśmy to już ze wszystkich stron, a on wciąż upierał się przy swoim. Czasem naprawdę się o niego martwiłam.

- Musimy spróbować i wiesz, że nie możemy tego zrobić na ślepo - mówiłam dalej. - Istnieje szansa, że ktoś przetrwał w tych jaskiniach, ale nie powinniśmy zakładać, że rozwiną przed nami czerwony dywan, zwłaszcza jeśli natrafili na jednego z tych uciszaczy, o których mówiła Sullivan.

- Albo rekrutów. Takich jak my.

- Dlatego chcę to sprawdzić. Wrócę za parę dni.

- Wierzę, że dotrzymasz tej obietnicy.

- To nie jest obietnica.

Nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Chociaż o milionach rzeczy nigdy nie rozmawialiśmy. Oboje musieliśmy myśleć o tym, że możemy się już nigdy nie zobaczyć, ponieważ usłyszałam, jak mówi:

- Dziękuję, że uratowałaś mi życie.

- Wpakowałam w ciebie kulkę. Możesz od tego umrzeć.

Pokręcił głową. Jego oczy błyszczały od gorączki, miał wysuszone, poszarzałe usta. Dlaczego nazwali go Zombie? Brzmiało to jak zła wróżba. Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie - robił pompki na kostkach, jego twarz była wykręcona z bólu, a krew z rąk ściekała na asfalt dziedzińca. Musiałam zapytać, kim jest ten koleś. „To Zombie” - padła odpowiedź. Mówili też, że udało mu się przetrwać zarazę, ale im nie wierzyłam. Nikomu nie udało się pokonać choroby. To był wyrok śmierci. Wrzeszczący na niego sierżant Reznik nie zwracał uwagi, że chłopak w zakrwawionym dresie dawno już osiągnął kres sił. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego byłam zaskoczona, gdy rozkazał mi strzelić do Zombie’ego, aby spełnić obietnicę daną Nuggetowi. Jeśli patrzysz śmierci w oczy i to ona mrugnie pierwsza, nic już nie wydaje się niemożliwe.

Nawet czytanie w myślach.

- Wiem, co ci chodzi po głowie - oznajmił Zombie.

- Nie. Wcale nie wiesz.

- Zastanawiasz się, czy powinnaś pocałować mnie na pożegnanie.

- Dlaczego to robisz? - zapytałam. - Po co ze mną flirtujesz?

- Bo to normalne. Nie stęskniłaś się za normalnością? - Spojrzał mi prosto w oczy, a ja jak zwykle nie byłam pewna, czego w nich szuka. - Za wypadami do kina w sobotę, lodami, sprawdzaniem nowych statusów na Twitterze?

Pokręciłam głową.

- Nie używałam Twittera.

- To może Facebooka?

Zaczynało mnie to trochę wkurzać. Czasem nie potrafiłam zrozumieć, jakim cudem przetrwał tak długo. Tęsknota za tym, co straciliśmy, jest równie głupia jak nadzieja na to, co nigdy nie nadejdzie. W obu przypadkach na końcu czeka rozpacz.

- Nieważne - odparłam. - To już nie ma żadnego znaczenia.

Usłyszałam jego śmiech wydobywający się gdzieś z głębi brzucha. Wytrysnął z niego jak para wodna z gejzeru i nie potrafiłam się już dłużej wkurzać. Wiedziałam, że próbuje zadziałać na mnie swoim urokiem, ale wiedza ta w żaden sposób nie umniejszała efektu. To kolejny powód, dlaczego czułam się przy nim niepewnie.

- To zabawne, jak wiele myśleliśmy o tym, co się stało - stwierdził. - A wiesz, co tak naprawdę jest ważne? - Zamilkł, czekając na moją odpowiedź, ale czułam, że próbuje mnie wkręcić, więc milczałam. - Dzwonek lekcyjny - dopowiedział w końcu.

Zapędził mnie w kozi róg. Wiedziałam, że próbuje mną manipulować, ale nie potrafiłam się temu przeciwstawić.

- Dzwonek lekcyjny?

- Tak. Najzwyklejszy dźwięk na świecie. Kiedy to wszystko się skończy, znów usłyszymy dzwonki. - Przytknął palec do ściany, jakby nie dowierzał, że rozumiem, o co mu chodzi. - Pomyśl tylko! Kiedy znowu usłyszymy ten dźwięk, będzie to oznaczało powrót normalności. Dzieci znów będą pędzić do sal, nudzić się na lekcjach i czekać na dźwięk dzwonka, zastanawiając się, co będą robić tego wieczoru, w najbliższy weekend czy za pięćdziesiąt lat. Tak samo jak my będą się uczyły o katastrofach naturalnych i wojnach światowych. Wiesz: „w

wyniku inwazji obcych zginęło siedem miliardów ludzi” i nagle dzwonek, wszyscy wstają z miejsc i idą do stołówki, gdzie będą narzekać na rozgotowane ziemniaki. „Nieźle, siedem miliardów trupów. Całkiem sporo. To przykre. Będziesz jadł te ziemniaki?” Tak właśnie wygląda normalność. To jest najważniejsze.

Najwyraźniej wcale nie żartował.

- Rozgotowane ziemniaki?

- Dobra, jak tam chcesz. Bredzę bez sensu i jestem idiotą.

Uśmiechnął się. Krzaczasta broda podkreślała biel jego zębów. Przez to, co wcześniej powiedział, zaczęłam się zastanawiać, czy zarost nad jego górną wargą zacząłby mnie łaskotać, gdybym go faktycznie pocałowała na pożegnanie.

Odepchnęłam od siebie tę myśl. Obietnice są bezcenne, a pocałunek to też forma obietnicy.

Światło gwiazd sączące się z bezchmurnego, czarnego nieba oblewało autostradę perłowym blaskiem. Wysuszone trawy kołysały się na wietrze, bezlistne drzewa potrząsały gałęziami. Nie licząc wycia wiatru nad martwą ziemią, nad całym światem zapadła zimowa cisza.

Przykucnęłam za SUV-em i po raz ostatni spojrzałam na hotel. Przeciętny, jednopiętrowy biały klocek, jeden z wielu na tej ulicy. Od dziury w ziemi, która kiedyś nosiła nazwę Przystań, dzieliło go jakieś dziesięć kilometrów. Nazwaliśmy go hotel Walker, upamiętniając sprawcę wybuchu, który zmiótł obóz. Sullivan twierdziła, że to właśnie tu umówiła się na spotkanie z Evanem. Moim zdaniem byliśmy zbyt blisko miejsca, z którego uciekliśmy, budynek słabo nadawał się do obrony, a Evan Walker najprawdopodobniej zginął. Próbowałam przekonać Zombie'ego, że nie ma sensu na niego czekać, ale zostałam przegłosowana. Jeśli Walker faktycznie był jednym z tamtych, to mógł znaleźć jakiś sposób na przetrwanie.

- Jaki? - dopytywałam.

- Mieli kapsuły ratunkowe - przypomniała Sullivan.

- No i?

Spojrzała na mnie spod uniesionych brwi i wzięła głęboki oddech.

- No i... mógł uciec w jednej z nich.

W milczeniu spojrzałyśmy sobie w oczy.

- I tak musimy znaleźć jakąś kryjówkę - wtrącił się Zombie, który nie znalazł jeszcze przewodnika po jaskiniach. - A Walker zasłużył sobie na to, żebyśmy mu wierzyli.

- W co mamy wierzyć? - zapytałam.

- Że jest tym, kim twierdzi, że jest. - Zombie spojrzał na Sullivan, która wciąż przewiercała mnie spojrzeniem. - I że dotrzyma obietnicy.

- Przysięgał, że mnie odnajdzie - wyjaśniła dziewczyna.

- Widziałam ten samolot transportowy - przypomniałam. - Nie zauważyłam żadnych kapsuł ratunkowych.

- To, że ich nie widziałaś, nie oznacza, że... - Na piegowatej twarzy Sullivan pojawił się rumieniec.

- To nie ma sensu. - Odwróciłam się do Zombie'ego. - Dlaczego ktoś tysiąckrotnie bardziej rozwinięty niż my miałby zdradzić dla nas własną rasę?

- Nie dopytywałem dlaczego - odparł Zombie z delikatnym uśmieszkiem.

- Ta cała historia nie trzyma się kupy - kontynuowałam. - Czysta świadomość okupująca ludzkie ciało. Przecież jeśli nie mają ciał, to niepotrzebna im planeta.

- Może potrzebują jej do czegoś innego. - Zombie starał się ze wszystkich sił coś wymyślić.

- Niby do czego? Hodowli zwierząt? A może przylecieli tu na wakacje? - W mojej głowie wciąż rozbrzmiewał cichy, irytujący głos, który podpowiadał, że coś się tu nie zgadza. Ale nie wiedziałam co. Myśl uciekała, jeśli tylko próbowałam się na niej skupić.

- Nie miałam czasu dopytywać o szczegóły - odcięła się wściekła Sullivan. - Byłam zajęta ratowaniem własnego brata z obozu śmierci.

Uznałam, że lepiej będzie odpuścić. Wyglądała, jakby za chwilę miała jej eksplodować głowa.

Patrząc teraz w stronę hotelu, dostrzegałam zarys tej samej głowy w oknie na pierwszym piętrze. To naprawdę nie był dobry pomysł - stanowiła doskonały cel dla snajpera. A następny uciszacz, na jakiego się natknie, może nie być tak kochliwy jak pierwszy.

Przemknęłam się ku drzewom porastającym pobocze. Pod moimi butami chrzęściły zamarznięte resztki jesieni. Liście zwinięte niczym pięści, śmieci i ludzkie kości porozwlekane przez padlinożerców. W chłodnym powietrzu unosiła się odległa woń dymu. Planeta będzie płonąć przez setki lat. Ogień pochłonie drewno, plastik, gumę i tkaniny, a woda, wiatr i czas poradzą sobie z kamieniami i stalą, zamieniając je w pył. Wyobrażaliśmy sobie miasta zniszczone bombami obcych i promieniami śmierci, okazało się, że wystarczy czas i Matka Natura, by nie pozostał żaden ślad.

Oraz zgodnie z tym, co mówiła Sullivan, żadne ludzkie ciało. Choć ciała nie były im do niczego potrzebne - to również jej słowa.

Coś tutaj nie grało. Bezcielesne byty nie potrzebują rzeczywistej planety. Ale Sullivan nie chciała o tym słuchać, a Zombie zachowywał się tak, jakby nie miało to znaczenia, jego zdaniem istotne było tylko to, że chcieli pozbyć się ludzkości. Cała reszta to nieistotny szum.

Być może miał rację. Ale nie czułam się przekonana.

Przede wszystkim z powodu szczurów.

Zapomniałam mu powiedzieć o szczurach.

# 3

Przed wschodem słońca dotarłam na południowe przedmieścia Urbany. Zgodnie z planem pokonałam połowę drogi.

Od północy nadciągały chmury, od spodu podświetlały je promienie słońca wznoszącego się ponad plątaniną gałęzi. Czaiłam się pomiędzy drzewami aż do nadejścia zmierzchu, a potem przemknęłam przez pola do zachodniej części miasta, modląc się, by chmury wisiały na niebie przynajmniej do czasu, kiedy uda mi się dotrzeć do autostrady. Musiałam nadłożyć kilka kilometrów, aby ominąć Urbanę, ale przedzieranie się za dnia przez miasto było jeszcze bardziej ryzykowne niż nocą. Tylko ryzyko miało znaczenie.

Nad zamarzniętą ziemią unosiły się mgły. Ziąb stawał się coraz większy, szczypał w policzki i zapierał dech w piersiach. Nękała mnie odwieczna tęsknota za ogniem, zapisana w naszych genach. Oswojenie ognia było pierwszym skokiem ku przyszłości: chronił nas, dawał ciepło, a nasze mózgi uległy zmianie dzięki przejściu z orzechów i jagód na dietę mięsną, bogatą w proteiny. A teraz ogień stał się jedną z broni w arsenale naszych przeciwników. Z nadejściem zimy mogliśmy albo zamarznąć na śmierć, albo zdradzić swoje położenie, rozpalając ogniska.

Usiadłam pod drzewem i wyjęłam folder. „Najbarwniejsze jaskinie w całym Ohio!” Zombie miał rację. Bez solidnego schronienia nie damy rady przetrwać do wiosny. Jaskinie pozostawały naszym najlepszym wyjściem. O ile nie jedynym. Mogły zostać przejęte przez wrogów lub zniszczone. Mogły być zamieszkane przez ludzi, którzy strzelają bez ostrzeżenia. Ale każdy dodatkowy dzień spędzony w hotelu sprawiał, że ryzyko wzrastało dziesięciokrotnie.

Gdyby schronienie się w jaskiniach nie wypaliło, nie mieliśmy tak naprawdę żadnej alternatywy. Nie było gdzie uciec ani gdzie się schować, a myśl o walce była absurdalna. Zegar działał coraz wolniej. Gdy wspomniałam o tym Zombie’emu, uśmiechnął się, mówiąc, że za dużo myślę. A potem przestał się uśmiechać.

- Nie pozwól im wdzierać się do swojej głowy - oznajmił poważnie, jakby próbował mnie zmotywować do wyjścia na boisko w drugiej połowie. *Przestań myśleć o tym, że przegrywamy do zera! Graj o honor!* Powstrzymanie się przed strzeleniem go w dziób w takich

momentach było niezwykle trudne, wiedziałam jednak, że niczego to nie zmieni poza poprawieniem mi nastroju.

Wiatr ucichł. W powietrzu wyczuwało się jakieś napięcie, ciszę przed burzą. Utknę, jeśli spadnie śnieg. Zostaniemy odcięci. Ja tutaj, Zombie w hotelu. Od jaskiń dzieliło mnie jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów i nie wiedziałam, czy ryzykować przejście przez pola za dnia czy liczyć na to, że śnieg nie zacznie padać przed nocą. Wracając do słowa na R: wszystko było z nim powiązane. Nie tylko my ryzykowaliśmy - oni też. Podejmowali absurdalne, idiotyczne wręcz ryzyko, wnikając w ludzkie ciała, budując obozy śmierci i ćwicząc ludzkie dzieci, by dokonały ludobójstwa. Byli tacy jak Evan Walker: chaotyczni, nielogiczni i cholernie dziwni. Początek inwazji charakteryzował się brutalną skutecznością. Wybili dziewięćdziesiąt osiem procent populacji. Nawet czwarta fala miała sens - trudno o jakikolwiek opór, gdy ludzie nie mogą sobie wzajemnie ufać. Ale potem ich błyskotliwa strategia zaczęła się sypać. Czy naprawdę nie zdołali wymyślić niczego lepszego niż obliczony na dziesięć tysięcy lat plan pozbycia się resztek ludzkości? Nie dawało mi to spokoju, nie potrafiłam przestać o tym myśleć od czasu nocy szczurów i akcji z Filiżanką.

Z głębi lasu dobiegł mnie delikatny jęk. Rozległ się gdzieś z tyłu, od lewej strony, i natychmiast go rozpoznałam. Od kiedy się tutaj pojawili, słyszałam go tysiące razy. Z początku był niemal wszechobecny jak szum samochodów na autostradzie: dźwięk ludzkiego cierpienia.

Wyjęłam wizjer z plecaka i przystawiłam soczewki do lewego oka. Ostrożnie. Bez paniki. Panika blokuje neurony. Podniosłam się, sprawdziłam zamek karabinu i ruszyłam między drzewami, kierując się w stronę źródła dźwięku i skanując teren w poszukiwaniu zielonkawej poświaty, po której można rozpoznać „zarażonych”. Drzewa tonęły we mgle, cały świat spowijał biały woal. Dźwięk moich kroków niósł się łoskotem po zamarzniętym gruncie, a każdy oddech wydawał się głośny jak eksplozja.

Biała zasłona rozstąpiła się odrobinę i sześć metrów przed sobą dostrzegłam jakiegoś mężczyznę siedzącego pod drzewem i przyciskającego dłonie do brzucha. Wizjer nie pokazywał zielonej otoczki wokół jego głowy, co oznaczało, że nie trafiłam na cywila, był elementem piątej fali.

Wycelowałam karabin.

- Ręce! - wrzasnęłam. - Pokaż mi ręce!

Miał otwarte usta i wpatrywał się pustym spojrzeniem w poszarzałe niebo prześwitujące między oszronionymi gałęziami. Podeszłam bliżej. Obok niego leżał taki sam karabin jak mój. Nie próbował po niego sięgnąć.

- Gdzie reszta twojego oddziału?

Nie odpowiedział. Opuściłam broń, czując się nagle jak idiotka. Przecież przy tej pogodzie powinnam widzieć parę wydobywającą się z ust. Jęk, który usłyszałam wcześniej, musiał być jego ostatnim. Wstrzymując oddech, okręciłam się powoli wokół własnej osi, ale miałam przed sobą tylko tonące we mgle drzewa, a jedynym dźwiękiem był szum krwi w moich uszach. Wolnym krokiem zbliżyłam się do ciała, zwracając uwagę na wszystkie drobiazgi. Żadnej paniki. Panika zabija.

Taka sama broń. Taki sam mundur. Wizjer leżący na ziemi. Na pewno należał do piątej fali.

Przyjrzałam się jego twarzy. Wyglądał jakoś znajomo. Miał jakieś dwanaście-trzynaście lat, tak jak Dumbo. Przykucnęłam obok niego i przyłożyłam palce do jego szyi, szukając pulsu. Nic. Rozpięłam mu kurtkę i podwinęłam koszulę, by przyjrzeć się ranie. Oberwał w brzuch pojedynczą kulą sporego kalibru.

Nie słyszałam żadnego strzału. Oznaczało to, że chłopak konał przez jakiś czas. Albo strzelec skorzystał z tłumika.

Uciszacz.

Zgodnie z tym, co opowiadała Sullivan, ranny i samotny Evan Walker nocą załatwił cały oddział, traktując to jak rozgrzewkę przed wysadzeniem obozu. Nie chciałam jej wtedy uwierzyć. A teraz stałam nad trupem. Jego oddział zniknął. Otaczały mnie cisza i mlecznobiały opar mgły.

Opowieść Cassie wydawała się zdecydowanie bardziej wiarygodna.

*Myśl. Nie panikuj. Traktuj to jak szachy. Oszacuj swoje szanse. Oceń ryzyko.*

Miałam dwa wyjścia - albo zostać na miejscu do zmroku lub dopóki się coś nie wydarzy, albo jak najszybciej wynieść się z tego lasu.

Cokolwiek zabiło tego chłopaka, mogło odejść dawno temu albo czaić się za drzewem, czekając na okazję do strzału.

Pytania wciąż się mnożyły. Gdzie jest jego oddział? Zginęli? Polują na snajpera? A jeśli to któryś z jego kolegów został dorotką i go zabił? Zresztą oddział nie był taki ważny. Bardziej martwiłam się, co będzie, gdy pojawi się wsparcie.

Sięgnęłam po nóż. Tkwiłam tu od dobrych pięciu minut. Gdyby ktoś o tym wiedział, byłabym już martwa. Postanowiłam zaczekać do zmierzchu, ale musiałam się przygotować na ewentualne spotkanie z kolejnymi członkami piątej fali.

Przycisnęłam dłoń do karku martwego chłopaka, szukając niewielkiego guzka pod blizną. *Uspokój się. To są szachy. Atak i kontratak.*

Przesunęłam powoli ostrzem noża wzdłuż blizny i wydłubałam jego czubkiem niewielką, zakrwawioną kuleczkę.

*Zawsze wiemy, gdzie jesteś. Dzięki temu możemy ci zapewnić bezpieczeństwo.*

Ryzyko. Albo zaryzykuję, że zacznę się świecić na zielono w ich wizjerach, albo usmażą mi mózg, naciskając odpowiedni guzik.

Zakrwawiony nadajnik w mojej dłoni. Znieruchomiałe na mrozie drzewa i mgła owijająca ich gałęzie. Głos Zombie’ego wciąż rozlegający się w mojej głowie: *Za dużo myślisz.*

Wepchnęłam przekaźnik pod policzek. Idiotka. Nie pomyślałam, żeby go wcześniej wytrzeć. Wciąż smakował krwią dzieciaka.

# 4

Nie jestem sama.

Nie widzę go ani nie słyszę, ale potrafię wyczuć. Każda komórka ciała wie, że jest obserwowana. To obrzydliwie znajome uczucie towarzyszyło nam od początku inwazji. Wystarczyło, że ich statek orbitował przez dziesięć dni wokół Ziemi, by w ludzkich umysłach pojawiły się pierwsze pęknięcia. Rozszalały się wirusy niepewności, strachu i paniki. Zakorkowane autostrady, opuszczone lotniska, zatłoczone szpitale, rząd kryjący się po schronach, brak żywności i paliwa, miasta objęte stanem wojennym i takie, w których królowało bezprawie. Gazela wyczuwa woń lwa czyhającego w wysokiej trawie. Straszliwy bezruch na chwilę przed atakiem. Po raz pierwszy od tysiącleci przypomnieliśmy sobie, co czuje ścigana zwierzyna.

W gałęziach drzew roiło się od kruków. Lśniące czarne łby, puste spojrzenie czarnych oczu i przygarbione sylwetki kojarzące się ze starcami obsiadającymi parkowe ławki. Były ich tutaj setki, wśród konarów i na ziemi. Spojrzałam w oczy trupa, równie puste i bezdenne jak u kruka. Wiem, po co się tu zebrały. Są głodne.

Ja również, sięgam więc po suszoną wołowinę i tylko odrobinę przeterminowane żelki. Jedzenie także wiąże się z ryzykiem, ponieważ muszę wyjąć z buzi urządzenie namierzające. Nie zdołam zachować czujności, jeśli nie dostarczę organizmowi paliwa. Kruki nie spuszczały mnie z oczu, przekrzywiając głowy, jakby nasłuchiwały odgłosów żucia. Spaślaki. Jak mogły być jeszcze głodne? Inwazja pozostawiła za sobą miliony ton padliny. W apogeum zarazy na niebie unosiły się całe chmary ptaków, zacieniając dymiące zgliszcza. Kruki i inne ptaki padlinożerne dokończyły zniszczeń trzeciej fali. Karmiąc się ciałami zarażonych, pomogły rozprzestrzenić wirus w nowe miejsca. Chyba że się myliłam i ten martwy dzieciak włóczył się samotnie jak ja. Z każdą upływającą sekundą czułam się coraz pewniej. Gdyby ktoś mnie obserwował, to miał tylko jeden powód, by powstrzymać się od strzału: sprawdzał, czy nie pojawią się inne durne dzieciaki udające żołnierzy.

Dokończyłam śniadanie i z powrotem ukryłam w ustach nadajnik. Minuty wlekły się jedna za drugą. To jeden z najbardziej dezorientujących aspektów tej inwazji - po straszliwej śmierci wszystkich, których znałeś i kochałeś, czas, mimo natłoku wydarzeń,

spowalniał. Po dziesięciu tysiącach lat budowania cywilizacji wystarczyło dziesięć miesięcy, aby ją zniszczyć, każdy kolejny dzień zdawał się dziesięciokrotnie dłuższy niż poprzedni, zaś każda noc trwała dziesięć razy dłużej niż najdłuższy dzień. Wyczerpująca nuda towarzysząca każdej godzinie równać się mogła jedynie z lękiem, że w każdej chwili możesz się przestać nudzić na zawsze.

Mgły uniosły się wczesnym przedpołudniem, drobny śnieg sypnął krukom w oczy. Powietrze było nieruchome, a lasy spowijał nierzeczywisty biały blask. Jeśli do zmierzchu pozostanie tak jasno, nic mi raczej nie grozi.

Jeśli nie zasnę. Nie spałam od dwudziestu godzin, było mi ciepło i wygodnie, czułam, że lekko odpływam.

Otaczający mnie bezruch wzbudził kolejny przypływ paranoi. Jego karabin celuje prosto w moją głowę. Ukrywa się na drzewie albo leży bez ruchu niczym lew zaczajony w trawie. Nie potrafi mnie rozgryźć. Nie wie, dlaczego nie panikuję. Powstrzymuje się od strzału, czekając na dalszy rozwój wypadków. W końcu musi być jakiś powód, dla którego siedzę przy tych zwłokach.

Ale nie panikuję. Nie zrywam się do ucieczki jak wystraszona gazela. Jestem ponad własnym strachem.

Strach ich nie pokona. Podobnie jak nadzieja czy miłość. Liczy się tylko gniew.

Sullivan kazała Voschowi spierdalać. To jedyny fragment jej opowieści, który wywarł na mnie jakieś wrażenie. Nie płakała. Nie błagała. Nie modliła się.

Była przekonana, że to koniec, a kiedy człowiek tak myśli, gdy wierzy, że zegar za sekundę się zatrzyma, wtedy przestaje płakać, błagać i zanosić modły

- Pierdol się - szepnęłam. Wypowiedzenie tych słów poprawiło mi nastrój, powtórzyłam je więc, tym razem głośniej. Mój głos niósł się daleko w zimowym powietrzu.

Gdzieś w głębi lasu po mojej prawej zatrzepotały czarne skrzydła i rozległo się skrzeczenie kruków. Spoglądając w tamtą stronę przez wizjer, dostrzegłam wśród bieli i brązów delikatny zielony poblask.

Mam cię.

Strzał był trudny, ale możliwy. Nigdy w życiu nie posługiwałam się bronią, aż w końcu dopadli mnie w kryjówce pod Cincinnati, zabrali

do swojego obozu, włożyli mi w rękę karabin, a sierżant zaczął się zastanawiać na głos, czy ktoś nie wyciął mu głupiego numeru. Sześć miesięcy później wpakowałam mu kulkę prosto w serce.

Miałam dar.

Zielonkawa poświata była coraz bliżej. Może zorientował się, że został zauważony. Nie miało to większego znaczenia. Pogładziłam spust, patrząc przez wizjer na coraz jaśniejszą poświatę. Być może chciał znaleźć lepszą pozycję do strzału albo wydawało mu się, że jest poza zasięgiem.

Bez znaczenia.

Istniała możliwość, że nie był to jeden z zabójców opisywanych przez Sullivan. Może to jakiś biedak liczący na pomoc.

Bez znaczenia. Istotne jest tylko jedno.

Ryzyko.

# 5

Gdy siedziałyśmy w hotelu, Sullivan opowiedziała mi o tym, jak paskudnie się czuła po zabiciu jakiegoś żołnierza, którego znalazła gdzieś za lodówkami z piwem.

- Wydawało mi się, że sięga po broń - tłumaczyła. - Okazało się, że to był krzyż.

- I jakie to ma znaczenie? - zapytałam. - Równie dobrze mógł sięgać po szmacianą lalkę albo paczkę cukierków. Miałaś jakiś inny wybór?

- Nie miałam. O to właśnie chodzi.

Potrząsnęłam głową.

- Każdemu może się zdarzyć, że znajdzie się w złym czasie i w złym miejscu. Nie masz się o co obwiniać. Sama się wkręcasz w te wyrzuty sumienia, żeby czuć się lepiej.

- Czuję się źle, bo od tego mi lepiej? - Na jej piegowatej twarzy wykwitł gniewny rumieniec. - To przecież totalnie bez sensu!

- „Zabiłam niewinnego człowieka, ale popatrzcie tylko, jak cierpię z tego powodu” - wyjaśniłam. - To niczego nie zmienia, facet jest nadal martwy.

- Cóż - odezwała się po dłuższej chwili milczenia. - Chyba wiem, czemu Vosch chciał cię do oddziału.

Zielona poświata otaczająca jego głowę migotała coraz bliżej wśród drzew, a pomiędzy płatkami leniwie padającego śniegu dostrzegałam lśnienie lufy karabinu. Byłam całkowicie pewna, że to nie krzyż.

Obejmując swoją broń, oparłam się głową o drzewo. Wyglądałam, jakbym drzemała albo nie potrafiła oderwać wzroku od śniegu wirującego pomiędzy nagimi gałęziami. Lwica w wysokiej trawie.

Pięćdziesiąt metrów. Prędkość wylotowa kuli z m-16 to 950 metrów na sekundę. Od śmierci dzieliły góra dwie trzecie sekundy.

Miałam nadzieję, że spędzi je rozsądnie.

Uniosłam karabin, wyprostowałam ramiona i posłałam kulę, która domknie ten krąg.

Kruki z wrzaskiem zerwały się z drzew, zatrzepotały czarne skrzydła, a w powietrze uniosło się ochrypłe skrzeczenie. Kula zielonego światła upadła na śnieg.

Czekałam. Zawsze lepiej się upewnić. Pięć minut. Dziesięć. Żadnego ruchu ani dźwięku. Tylko ogłuszająca śnieżna cisza. Bez kruków drzewa sprawiały wrażenie opuszczonych. Wyprostowałam się wciąż oparta plecami o drzewo i odczekałam jeszcze parę minut. W tej pozycji miałam dobry widok na nieruchomą plamę zielonego światła. Przeskoczyłam w końcu nad martwym żołnierzem i ruszyłam dalej, słysząc szelest zamarzniętych liści pod swoimi butami.

Z każdym krokiem czas biegł wolniej. Jakoś w połowie drogi dotarło do mnie, co zrobiłam.

Za powalonym drzewem leżała skulona Filiżanka. Jej buzię pokrywały martwe liście.

Umierający za szeregiem lodówek mężczyzna przyciskający zakrwawiony krzyż do piersi. Jego zabójczyni nie miała wyboru. To oni ją do tego zmusili. Stanowił zagrożenie. Dla niej. Dla nich.

Przyklęknęłam obok dziewczynki. Wbiła we mnie spojrzenie rozszerzonych z bólu źrenic i wyciągnęła przed siebie dłonie, które w szarym świetle zdawały się ociekać szkarłatem.

- Filiżanka - szepnęłam. - Co ty tutaj robisz? Gdzie jest Zombie? Omiotłam wzrokiem okoliczny las, ale nie dostrzegłam nikogo innego. Filiżanka oddychała z coraz większym trudem, na jej ustach tworzyły się bańki gęstej krwi. Dławiła się. Odwróciłam ją twarzą ku ziemi, by mogła odkrztusić.

Musiała słyszeć, jak przeklinałam. Doszła tutaj, kierując się moim głosem.

Filiżanka zaczęła krzyczeć. Jej jęk przeciął nieruchome powietrze niczym ostrze, odbijając się echem wśród drzew. To było niedopuszczalne. Zatkałam jej zakrwawione usta dłonią i prosiłam, by ucichła. Nadal nie wiedziałam, kto zabił tamtego dzieciaka, ale na pewno nie odszedł zbyt daleko. Jeśli nie sprowadzi go tutaj mój strzał, jej krzyki na pewno to zrobią.

*Niech to szlag! Zamknij się! Milcz! Co tu w ogóle robisz, gówniaro?! Po co się podkradałaś?! Idiotka! Skończona kretynka!*

Czułam, jak jej zęby wbijają się rozpaczliwie w moją dłoń. Drobniutkie palce szukające na oślep mojej twarzy. Moje policzki zachlapane jej krwią. Drugą ręką odpięłam jej kurtkę. Musiałam założyć jej opatrunek, by nie wykrwawiła się na śmierć.

Szarpnęłam za kołnierz bluzki, odsłaniając jej pierś. Zwinęłam resztkę materiału w prowizoryczny tampon i docisnęłam go do krwawiącej rany wlotowej, tuż pod żebrami dziewczynki. Wzdrygnęła się pod dotykiem mej dłoni, a z jej ust wydobył się zdławiony jęk.

- Co ci mówiłam, żołnierzu? - szepnęłam. - Jaki jest najwyższy priorytet? - Wilgotne usta pod moją dłonią. Cisza. - Żadnego marudzenia - przypomniałam. - Żadnych czarnych myśli. Miękniemy od tego. Robimy się słabi. Nie możemy sobie pozwolić na zmiękнięcie. Nigdy. Co się dzieje, gdy miękniemy?

Wokół drzew gęstniały groźne cienie. Z głębi lasu dobiegł mnie jakiś trzask. Odgłos kroków na przemarzniętej ziemi? A może jakaś gałąź pękająca od chłodu? Mogły nas otaczać setki wrogów. Albo nikt.

Musiałam szybko coś wymyślić. Miałam niewiele możliwości. I każda była do dupy.

Pierwsza: zostajemy. Pytanie tylko po co. Nadal nie wiemy, co się stało z oddziałem martwego chłopaka. Oraz z jego zabójcą. Bez pomocy medycznej Filiżanka nie ma żadnej szansy na przetrwanie. Zostały jej ostatnie minuty.

Możliwość druga: uciekamy. Tylko dokąd? Do hotelu? Zanim tam dotrzemy, dziewczyna zdąży się wykrwawić, a zresztą nie wiedziałam, co zmusiło ją do opuszczenia kryjówki. Może ukryjemy się w jaskiniach? Nie mogłam jednak ryzykować przedzierania się przez Urbanę, bo oznaczało to wielokilometrową podróż przez pustkowie do miejsca, które najprawdopodobniej wcale nie było bezpieczne.

Istniało jednak trzecie wyjście. To niewyobrażalne. I jedyne, które miało sens.

Śnieg stawał się coraz gęstszy, niebo szarzało. Wciąż zatykałam jej usta jedną dłonią, uciskając jednocześnie ranę, ale nie miało to większego znaczenia. Trafiłam ją w brzuch, jej stan był beznadziejny.

Filiżanka umrze.

Powinnam ją zostawić. I to już.

Ale tego nie zrobiłam. Nie mogłam. Tak jak mówiłam Zombie'emu w noc zniszczenia obozu Przystań: jeśli uznajemy, że życie jednej osoby nie ma znaczenia, to pozwą lamy im wygrać. Te słowa skuwały mnie z nią na zawsze.

Gdy wzięłam *ją* w ramiona, otaczała nas martwa cisza za sypanego śniegiem lasu.

Ułożyłam ją delikatnie na leśnym poszyciu. Jej twarz, całkowicie pozbawiona kolorów, była tylko nieco ciemniejsza od śniegu. Rozchylone usta, drgające powieki. Straciła przytomność. Nie wierzyłam, że jeszcze kiedyś ją odzyska.

Nie potrafię zapanować nad drżeniem własnych dłoni. Jestem wściekła na Filiżankę, na siebie, na siedem miliardów problemów spowodowanych najazdem obcych, na kłamstwa, nielogiczności i te wszystkie idiotyczne, beznadziejne, kretyńskie obietnice, które zostały złamane, kiedy się tu pojawili.

*Przestań się roztkliwiać. Skup się na tym, co ważne, na tu i teraz - w końcu jesteś w tym całkiem dobra.*

Postanowiłam zaczekać. To nie potrwa zbyt długo. Może po jej śmierci przestanę się użalać i znów zacznę jasno myśleć. Każda kolejna spokojna minuta oznaczała, że wciąż mam czas na jakąś decyzję.

Zegar nie przestawał jednak zwalniać, a spokojne minuty już dawno odeszły w niepamięć.

Sekundę po tym jak podjęłam decyzję, że zostanę przy dziewczynce, ciszę rozdarł huk wirników. Łoskot nadlatujących helikopterów wyrwał mnie z zamyślenia. Błyskawiczna orientacja w sytuacji: poza strzelaniem to właśnie w tym byłam najlepsza.

Nie mogłam pozwolić, by dopadli Filiżankę żywcem.

Mogłaby przeżyć, gdyby ją zabrali. Potem przepuściliby ją przez Krainę Czarów. Wciąż istniała niewielka szansa, że Zombie jest bezpieczny w hotelu. Może Filiżanka nie musiała stamtąd uciekać, tylko wykradła się, żeby mi towarzyszyć. Ale wystarczy, że tylko jedno z nas przejdzie przez króliczą norę i wszyscy będziemy straceni.

Sięgnęłam do kabury po pistolet.

*Jeśli uznajemy, że życie...* Chciałabym mieć czas, by cokolwiek uznać. Minutę. Lub choćby trzydzieści sekund. Trzydzieści sekund mogło trwać całe życie. A minuta wieczność.

Podniosłam broń i spojrzałam na szare niebo. Płatki śniegu drżały przez chwilę na mojej twarzy, a potem zaczynały się rozpuszczać.

Tak jak Sullivan doczekałam się swojego żołnierza z krzyżem.

Nie. To ja jestem żołnierzem. A Filiżanka to mój krzyż.

I wtedy poczułam jego obecność. Przyglądał mi się, stojąc bez ruchu w głębi lasu. Spojrzałam w tamtą stronę, dostrzegając ludzką sylwetkę odcinającą się nieco od ciemnych pni. Przez chwilę żadne z nas nawet nie drgnęło. Byłam stuprocentowo pewna, że to on odpowiada za śmierć tego chłopaka i jego oddziału. Wiedziałam również, że nie jest żołnierzem. Wizjer nie wykrywał zielonej poświaty wokół jego głowy.

Śnieg wirował, mróz przenikał do kości. Mrugnęłam, a on zniknął. O ile w ogóle go widziałam.

Zaczynało mi odbijać. Zbyt wiele zmiennych. Za duże ryzyko. Trzęsłam się cała, bojąc się, że w końcu mnie złamali. Po przetrwaniu tsunami, które zniszczyło mój dom, zarazy, która odebrała mi rodziców, obozu śmierci, gdzie straciłam resztki nadziei, i postrzeleniu niewinnej dziewczynki nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jestem skończona, znajduję się w stanie terminalnym - pozostawało jedynie pytanie, kiedy nadejdzie koniec.

Helikoptery schodziły coraz niżej. Musiałam dokończyć to, co zaplanowałam, albo podzielić los Filiżanki.

Spojrzałam przez szczerbinkę pistoletu na pobladłą anielską twarz u mych stóp. Na moją ofiarę. Mój krzyż.

Narastający warkot wirników sprawiał, że myśli w mojej głowie brzmiały cichutko jak piski konającej myszy.

*Jak szczury, prawda, Filiżanko? Dokładnie jak szczury.*

# 8

W starym hotelu roiło się od szczurów. Karaluchy wyzdychały z zimna, ale reszta insektów, zwłaszcza pluskwy i chrząszcze dywanowe, miała się doskonale. I były wściekle głodne. Wystarczył jeden dzień, by wszystkich pogryzły. Piwnica, w której podczas zarazy składowano ciała, należała do much. Większość z nich padła, zanim się wprowadziliśmy, a schodząc pierwszego dnia do hotelowych podziemi, wciąż słyszeliśmy chrzęst ich czarnych pancerzyków pękających pod naszymi stopami. Był to ostatni raz, gdy któreś z nas zajrzało do piwnicy.

Budynek był przesiąknięty zgnilizną, poradziłam więc Zombie'emu, by pootwierać wszystkie okna. Pozbylibyśmy się jednocześnie smrodu i przynajmniej części robaków. Odparł, że woli się udusić z powodu smrodu niż zamarznąć na śmierć. A potem się uśmiechnął, rzucając na mnie swój nieodparty czar. *Uspokój się, Ringer. To tylko kolejny dzień w dziczy opanowanej przez obcych.*

Filiżanka nie zwracała uwagi na zapachy i robaki. Za to szczury doprowadzały ją do szału. Wygryzły sobie tunele w ścianach, a ich piski i drapanie nie pozwalały jej zasnąć (tym samym ja również nie spałam). Wierciła się na wszystkie strony, nie przestając marudzić, miała na ich punkcie lekką obsesję, która pozwalała jej nie myśleć o dużo gorszych rzeczach. Próbowałam ją czymś zająć, ucząc gry w szachy monetami rozłożonymi na zaimprowizowanej szachownicy z ręcznika.

- Debilna gra dla głupich ludzi - usłyszałam.

- Wcale nie. Jest bardzo demokratyczna. Mądrzy ludzie też w nią grają - poinformowałam.

- Chcesz mnie uczyć, żeby mieć z kim wygrywać. - Filiżanka wywróciła oczami.

- Wcale nie. Po prostu tęsknię za szachami.

- Tęsknisz za czymś takim? - Otwarła szeroko buzię ze zdziwienia. Rozłożyłam na ręczniku monety odgrywające rolę figur.

- Spróbuj zagrać, zanim stwierdzisz, że ci się nie podoba - zaproponowałam.

Sama zaczynałam naukę, będąc w jej wieku. Przepiękna drewniana szachownica w gabinecie ojca. Lśniące figury z kości słoniowej. Surowy król. Wyniosła królowa. Sprytne skoczki. Strzeliste wieże. I sama gra, sposób, w jaki każda figura dokłada coś do całości. Szachy są

jednocześnie proste i skomplikowane, dzikie i eleganckie. Są tańcem i wojną. Skończonością i nieskończonością. Jak życie.

- Centy to pionki - wyjaśniłam Filiżance. - Pięciocentówki to wieże, dziesięciocentówki to gońce i skoczki. Ćwiartki to króle i królowe.

Potrząsnęła głową, patrząc na mnie jak na idiotkę.

- Jakim cudem dziesiątki są jednym i drugim?

- Orzeł: skoczek i król. Reszka: goniec i królowa.

Chłodny dotyk kości słoniowej. Dźwięk wydawany przez filc, którym oklejono podstawy figur, sunący po wypolerowanym drewnie z szumem nadciągającego gromu. Szczupła, zarośnięta twarz mojego ojca, pochylająca się nad szachownicą, cienie pełznące po jego zaczerwienionych oczach i zaciśniętych ustach. Bijąca od niego słodka, mdląca won alkoholu i jego palce trzepocące nad szachownicą jak skrzydła kolibra.

*Nazywają je królewską grę. Chciałabyś się nauczyć w nie grać, Mariko?*

- To królewska gra - wyjaśniłam Filiżance.

- Nie jestem królem. - Skrzyżowała ręce na piersi, dając do zrozumienia, jak bardzo ma mnie dosyć. - Wolę warcaby

- W takim razie na pewno pokochasz szachy. To takie warcaby na dopingu.

Ojciec postukujący połamanymi paznokciami o blat stolika. Szczury chrobocące pomiędzy ścianami.

- Popatrz, tak rusza się goniec.

*Tak rusza się skoczek, Mariko.*

Filiżanka wepchnęła sobie do buzi zaschnięty kawałek gumy i zaczęła go energicznie żuć, krusząc na mniejsze kawałki. Mięta w jej oddechu. Whisky w jego oddechu. Stuk, stuk. Drap, drap.

- Spróbuj - błagałam. - Spodoba ci się. Przysięgam.

- Wiesz, co o tym myślę?

Wiedziałam, co zamierza, jak tylko złapała za róg ręcznika, ale i tak się skrzywiłam, gdy szarpnęła nim z całej siły, wyrzucając monety w powietrze.

- Ha! - wrzasnęła tryumfalnie. - Szach-mat, suko!

Bez namysłu strzeliłam ją w buzię.

- Nigdy tak do mnie nie mów. Nigdy.

Przenikliwy chłód sprawiał, że policzek musiał palić ją do żywego. Jej oczy się zaszkliły, a dolna warga zaczęła drżeć, powstrzymała się jednak od płaczu.

- Nienawidzę cię - warknęła.

- Mam to gdzieś.

- Naprawdę cię nienawidzę, nienawidzę jak chuj!

- Wiesz, że przeklinanie nie zrobi z ciebie dorosłej?

- To będę dzieckiem! Gówno, gówno, gówno! Chuj, chuj, chuj! - Przytknęła dłoń do policzka. - Wcale nie muszę cię słuchać. Nie jesteś moją mamą ani siostrą.

- To czemu od czasu ucieczki z obozu ciągle się przy mnie kręcisz?

Po jej zaczerwienionym policzku popłynęła w końcu pojedyncza łza. Skóra bladej i wychudzonej Filiżanki promieniała takim blaskiem, że dziewczynka kojarzyła mi się z jedną z figur szachowych mojego ojca. Byłam zaskoczona, że moje uderzenie nie roztrzaskało jej na tysiąc kawałków. Nie mogłam tego cofnąć i nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Położyłam pojednawczo dłoń na jej kolanie. Odepchnęła ją.

- Chcę z powrotem swoją broń - zażądała.

- Po co?

- Żebym cię mogła zastrzelić.

- W takim razie na pewno jej nie dostaniesz.

- A dasz mi ją, żebym mogła pozabijać szczury?

Westchnęłam.

- Zabraknie nam naboi.

- No to je wytnijmy.

- Czym?

- No dobra. - Podniosła ręce do góry. - To może podpalimy hotel, załatwimy je ogniem!

- Świetny pomysł, tylko że my też tu mieszkamy.

- W takim razie przegramy. Z bandą szczurów.

Pokręciłam głową, nie wiedząc, o co jej chodzi.

- Przegramy? Niby jak?

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Idiotka Ringer.

- Posłuchaj tylko! One pożerają ten hotel. Jeszcze chwila i nie będziemy mieli gdzie mieszkać!

- One też wtedy przegrają - zauważyłam. - Też zostaną bezdomne.

- To tylko szczury, Ringer. Nie są w stanie tego przewidzieć.

Kiedy w końcu zasnęła tej nocy przy moim boku, doszłam do wniosku, że nie tylko szczury mają problem z perspektywicznym myśleniem. Wsłuchiwałam się w dobiegające ze ścian odgłosy nieustającego gryzienia, drapania i popiskiwania. Z powodu szczurów, robaków, pogody i upływu czasu hotel w końcu runie. Po stu latach zostaną z niego tylko fundamenty. Po dziesięciu wiekach zniknie ostatni ślad. Wszystko zniknie. Tak jakby nigdy nie istniało. Na co komu takie bomby jak te, które wybuchły w obozie, jeśli nawet żywioły są przeciwko nam?

Filiżanka wtulała się we mnie ze wszystkich sił. Nawet cały stos okryć nie był w stanie ochronić przed przenikliwym chłodem. Zima: fala, której nie musieli planować. Mróz przyniesie kolejne tysiące ofiar.

„Wszystko ma znaczenie - powiedział mi kiedyś ojciec nad szachownicą. - Każdy ruch, Mariko. Mistrzostwo osiąga się wtedy, gdy za każdym razem się rozumie, jak wiele znaczy każdy z nich”.

Hałasy wciąż nie dawały mi spokoju. Chociaż w odróżnieniu od Filiżanki nie miałam problemu ze szczurami. Miałam problem szczurów.

# 9

Pomiędzy bezlistnymi oszronionymi gałęziami dostrzegłam na szarym niebie trzy czarne kropki helikopterów. Zostało mi kilka sekund.

Rozwiązania:

Zabijam Filiżankę i próbuję uciec przed trzema maszynami uzbrojonymi w rakiety.

Zostawiam ją na pewną śmierć. Lub co gorsza ocalenie.

I ostatnie: Zabijam nas obie. Jedna kula dla niej, druga dla mnie.

Nie miałam pojęcia, co z Zombie'em. Nie wiedziałam, po co Filiżanka wymknęła się z hotelu ani czy w ogóle miała jakiś powód. Ale nasza śmierć mogła być dla niego jedyną szansą na przetrwanie.

Próbowałam się zmusić do naciśnięcia spustu. Jeśli tylko mi się uda, drugi strzał będzie dużo łatwiejszy. Mówiłam sobie, że i dla niej, i dla mnie jest już za późno. Śmierć była nieunikniona. Wbijali nam to przecież do głów przez wiele miesięcy. Nie można się przed nią ukryć ani uciec. Nawet jeśli dziś się uda, to jutro cię znajdzie.

Leżąca w śnieżnym zagłębieniu Filiżanka wyglądała niesamowicie, była przepiękna, jej czarne włosy lśniły niczym onyks, a uśpiona twarz miała w sobie nieopisywalny spokój starożytnego posągu.

Wiedziałam, że nasza śmierć to jedyne rozwiązanie zapewniające jakieś szanse pozostałym. Znów zaczęłam myśleć o szczurach, o wlokących się w nieskończoność godzinach, kiedy razem z Filiżanką układałam strategie i taktyki, całe kampanie pozbycia się gryzoni, opisywałam kolejne fale coraz bardziej absurdalnych ataków, a ona zanosiła się histerycznym śmiechem, słuchając, jak powtarzam przemowę Zombie'ego, którą wygłosił na strzelnicy, to samo kazanie, jakie teraz krążyło mi po głowie, o strachu wiążącym zabójcę z ofiarą i kuli, która łączy ich oboje niczym srebrzysty łańcuszek. Ale teraz byłam jednocześnie zabójcą i ofiarą, wpadłam w zupełnie inną pętlę, zaschło mi w ustach od tego sterylnego powietrza, lodowatego jak moje serce: prawdziwy gniew ma temperaturę zera absolutnego, a mój był głębszy niż ocean i szerszy niż cały wszechświat.

Tak więc to nie z powodu nadziei schowałam pistolet do kabury. Nie wiodła mnie wiara, a już na pewno nie miłość.

Kierował mną gniew.

Gniew oraz to, że wciąż trzymałam w ustach implant należący do martwego żołnierza.

# 10

Podniosłam Filiżankę, opierając jej opadającą głowę na swoim ramieniu, i weszłam pomiędzy drzewa. Nad nami huczał jeden helikopter, pozostałe dwa się rozdzieliły, lecąc na wschód i zachód, odcinając mi tym samym drogę ucieczki. Cienkie gałęzie w koronach drzewa przyginały się do ziemi, sypiąc mi śniegiem w twarz. Filiżanka zdawała się ważyć tyle co nic, czułam się tak, jakbym niosła zawiniątko z ubraniami.

Wyszłam na otwartą przestrzeń, a nad moją głową zawarczał black hawk nadlatujący z północy. Moje włosy pofrunęły na wszystkie strony rozwiane huraganowym podmuchem wiatru. Helikopter zawisł tuż nad nami pośrodku drogi. Koniec uciekania. Dość.

Ułożyłam Filiżankę na asfalcie. Maszyna wisiała tak nisko, że widziałam czarne okulary pilota i ciała tłoczące się w otwartych drzwiach. Wbijało się w nas co najmniej pół tuzina spojrzeń. A każda mijająca sekunda oznaczała, że udało mi się ją przeżyć, i zwiększała prawdopodobieństwo przetrwania kolejnej. Może jeszcze nie było za późno ani dla mnie, ani dla niej.

Najwyraźniej nie świeciłam się w ich wizjerach. Co oznaczało, że uważają mnie za jedną z nich.

Zsunęłam karabin z ramienia i oparłam palec na osłonie spustu.

# II
# ROZDRACIE

Zanim na dobre nauczyłam się chodzić, tato co chwila mnie pytał: „Cassie, chciałabyś umieć latać?”. Wyrzucałam wtedy ręce w górę, jakbym chciała powiedzieć: „Chyba sobie żartujesz, staruszku! Pewnie, że chcę latać!”

Łapał mnie wtedy w pasie i podrywał z podłogi. Z odchyloną do tyłu głową śmigałam niczym rakieta w kierunku nieba. Przez chwilę, która wydaje się trwać tysiąc lat, wierzyłam, że dolecę ku gwiazdom. Podekscytowana jak na górskiej kolejce krzyczałam z radości i próbowałam zrywać chmury.

*Leć, Cassie! Fruń!*

Mój braciszek również znał to uczucie. Nawet lepiej, bo jego wspomnienia wciąż były świeże. Tata podrzucał go w powietrze nawet po lądowaniu. Widziałam, jak robił to jeszcze w Trupim Jarze na kilka dni przed śmiercią z ręki Voscha.

„Sam, chłopie, chciałbyś umieć latać?” Jego głos miał basowe brzmienie jak u cyrkowego naganiacza, ale oferowane przez niego atrakcje były bezpłatne - a jednocześnie bezcenne. Był jednocześnie naszą wyrzutnią rakietową i lądowiskiem, łańcuchem zabezpieczającym mnie i Sama przed odlotem w kosmiczną pustkę, tą samą, w której zniknął.

Czekałam, aż Sam o to zapyta, wierząc, że to najlepsza metoda na przekazywanie złych wieści. A jednocześnie najpodlejsza. Nigdy nie zadał tego pytania. Sam mi to powiedział:

- Tatuś umarł.

Niewielki wzgórek pod warstwami koców, okrągłe, brązowe oczy, puste jak u pluszowego misia, którego tulił do policzka.

„Pluszaki są dla dzieci - powiedział pierwszej nocy spędzonej w tym piekielnym hotelu. - A ja jestem żołnierzem”.

Z sąsiedniego łóżka spoglądał na mnie poważnie kolejny kieszonkowy żołnierzyk, siedmiolatka, na którą wołali Filiżanka. Urocza jak filigranowa laleczka miała nawiedzone spojrzenie i zamiast misia tuliła do siebie karabin.

Witamy w świecie po upadku cywilizacji.

- Och, Sam. - Opuściłam posterunek przy oknie i usiadłam na łóżku, przytulając go przez kokon okryć. - Nie wiedziałam, jak ci to...

Pacnął mnie w policzek piąstką wielkości małego jabłka. Kompletnie się tego nie spodziewałam, a przed moimi oczami eksplodowały gwiazdy. Przez chwilę miałam wrażenie, że odkleiła mi się siatkówka.

No dobra, pomyślałam, pocierając policzek. Zasłużyłam sobie.

- Czemu pozwoliłaś mu umrzeć? - zapytał. Nie krzyczał i nie płakał. Jego głos był cichy i nabrzmiały gniewem. - Miałaś się nim opiekować.

- Nie pozwoliłam mu na to, Sam.

Zakrwawiony ojciec czołgający się w piachu - *Gdzie idziesz, tato?* - i wpatrujący się w niego Vosch, wyglądający jak sadystyczny dzieciak, który dopadł muchę i pourywał jej skrzydła.

- Przywal jej raz jeszcze - odezwała się z sąsiedniego łóżka Filiżanka. Ale Sam nie był w nastroju.

- Zamknij się! - warknął.

- To nie była moja wina - szepnęłam, tuląc do siebie jego misia.

- Pewnie był mięczakiem. - Filiżanka nie miała zamiaru zamilknąć. - Tak się właśnie dzieje, gdy...

Sam doskoczył do niej w ułamku sekundy. Pod brudnymi kocami zakotłowały się pięści, kolana i stopy, a ja przypomniałam sobie o karabinie w łóżku dziewczynki, więc natychmiast ją odepchnęłam i łapiąc brata od tyłu, przycisnęłam go do własnej piersi, choć wierzgał nogami i miotał się na wszystkie strony, tocząc pianę z zaciśniętych ust. Filiżanka obrzuciła Sama stekiem przekleństw, obiecując, że załatwi go jak psa, jeśli jeszcze raz jej dotknie. Drzwi do sypialni otwarły się z hukiem i w progu stanął Ben ubrany w tę idiotyczną żółtą bluzę z kapturem.

- Nic się nie stało - poinformowałam, próbując przekrzyczeć wrzaski dzieciaków. - Mam to pod kontrolą.

- Filiżanka! Nugget! Spokój!

Wywarczany przez Bena rozkaz podziałał jak naciśnięcie wyłącznika. Oboje natychmiast zamilkli, a Sam zawisł bezwładnie w moich objęciach. Filiżanka walnęła pięścią w zagłówek łóżka i skrzyżowała ramiona na piersi.

- To ona zaczęła - poskarżył mój brat.

- Zastanawiałem się właśnie, czy nie powinniśmy wymalować wielkiego czerwonego celownika na dachu hotelu - stwierdził Ben,

wsuwając z powrotem pistolet do kabury. - Widzę, że postanowiliście mi zaoszczędzić roboty - Uśmiechnął się w moją stronę. - Może rozsądniej będzie, jeśli Filiżanka do czasu powrotu Ringer przeniesie się do mojego pokoju?

- Spoko! - Dziewczynka zeskoczyła z łóżka i ruszyła w stronę drzwi, ale natychmiast obróciła się na pięcie i wróciła po swój karabin. Dopiero wtedy złapała Bena za rękę. - Idziemy, Zombie - zakomenderowała.

- Zaraz do ciebie przyjdę - obiecał spokojnym tonem. - Dumbo stoi na warcie, możesz zająć jego pryczę.

- Od teraz to moja prycza - oznajmiła, wychodząc, nie mogła się jednak powstrzymać od pożegnalnej obelgi. - Zbuki!

- Sama jesteś zbuk! - wrzasnął za nią Sam. Za jej plecami rozległ się trzask: tak trzaskają tylko hotelowe drzwi. - Zbuk!

- Ben przyglądał mi się uważnie spod uniesionej brwi.

- Co ci się stało w policzek?

- Nic.

- Walnąłem ją - przyznał Sam.

- Ty?

- Pozwoliła tatusiowi umrzeć.

Teraz to on się załamał. Z jego oczu popłynęły łzy i zanim zdążyłam zareagować, Ben już przy nim klęczał.

- Już w porządku, żołnierzu - szepnął, gładząc mojego zapłakanego braciszka po króciutko ściętych włosach i powtarzając tę jego głupią obozową ksywkę: - Nugget, Nugget.

To były dwie rzeczy, do których wciąż nie potrafiłam się przyzwyczaić - brak rozczochranej grzywki Sama i te pseudonimy. Każdy oprócz mnie miał jakiś przydomek. Mogłabym się nazywać Opór.

Ben zaniósł mojego brata do łóżka. Zgarnął z podłogi miśka i położył go na poduszce obok głowy Sama. Pluszak natychmiast wylądował z powrotem na ziemi. Ben schylił się, by go podnieść.

- Naprawdę chcesz zdemobilizować Miśka? - zapytał.

- To nie jest Misiek.

- Szeregowiec Miś - poprawił się Ben.

- To zwykły miś! Nie chcę go więcej widzieć! - Sam nakrył się kocami po czubek głowy. - Zostawcie mnie! Idźcie sobie! Wszyscy!

Zrobiłam krok w stronę łóżka, ale Ben powstrzymał mnie syknięciem i wskazał głową drzwi. Razem wyszliśmy z pokoju. Przy oknie w korytarzu stała potężna, przygarbiona sylwetka: cichy, wielki chłopak zwany Pączek. Jego milkliwość nie budziła niepokoju, kojarzyła się raczej ze spokojem górskiego jeziora. Ben oparł się o ścianę, przytulając miśka do piersi. Wymęczony użeraniem się z dwójką dzieciaków oddychał przez usta i pocił się mimo panującego chłodu. Wyglądał, jakby miał jakiś problem, co oznaczało, że wszyscy go mamy.

- Sam nie wiedział o śmierci waszego ojca - zauważył.

Pokręciłam delikatnie głową.

- Wiedział i nie wiedział jednocześnie. Rozumiesz, jak to jest.

- No tak. - Ben westchnął. - Rozumiem.

W korytarzu zapadła grobowa cisza. Ben w zamyśleniu gładził pluszaka, wyglądając jak zaczytany w gazecie starzec, który machinalnie głaska swojego kota.

- Powinnam do niego zajrzeć - stwierdziłam.

Ben stanął przed drzwiami.

- Raczej nie powinnaś...

- A może to ty nie powinieneś się wtrącać.

- To przecież nie pierwsza bliska osoba, z jaką musiał się pożegnać. Da sobie radę.

- No nieźle. Mogłeś sobie darować tę uwagę. - W końcu rozmawialiśmy także o moim ojcu.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

- Ciekawe czemu ludzie zawsze tak mówią, kiedy palną coś tak okrutnego? - Zastanawiałam się na głos i nie potrafiąc się powstrzymać, dodałam: - Wyobraź sobie, że doskonale wiem, jak to jest dawać sobie radę ze śmiercią zupełnie samemu. Jesteś tylko ty i pustka pozostała po wszystkim, co znałeś. Naprawdę bardzo bym się cieszyła, gdyby ktoś wtedy przy mnie był...

- Ej - odezwał się łagodnie. - Cassie, ja przecież nie...

- Oczywiście, że nie.

Zombie. Czyżby dlatego, że nie miał uczuć, był martwy jak Zombie? Widziałam takie przypadki w Trupim Jarze. Szuracze, tak ich nazwałam, byli jak humanoidalne worki z piaskiem. Coś w ich

umysłach zostało nieodwracalnie zniszczone. Zbyt wiele bólu. Zbyt wielka strata. Puste spojrzenie, otwarte usta, stopy szurające po podłodze. Czy tak właśnie wyglądał Ben? Czy był jednym z nich? Dlaczego więc ryzykował życie, aby ocalić Sama?

- Cokolwiek się z tobą działo, wszyscy przez to przeszliśmy - odpowiedział spokojnie.

Zabolało. Nie tylko dlatego, że była to prawda, ale również z tego powodu, że już to kiedyś usłyszałam. *Nie jesteś jedyną osobą, która wszystko straciła.* Powiedział to człowiek, który poniósł niewyobrażalną ofiarę, i to poniósł ją dla mnie, kretynki, której trzeba było ciągle przypominać, że nie tylko ona jest ofiarą. Życie zawsze było naznaczone ironią, czasem jednak osiągała ona niebotyczne rozmiary. Musiałam zmienić temat.

- Ringer już wyruszyła?

Ben skinął głową, nie przestając głaskać pluszaka. Wkurzało mnie to. Wyrwałam misia z jego ramion.

- Próbowałem ją namówić, żeby wzięła ze sobą Pączka. - Zaśmiał się cichutko. - Ta Ringer...

Ciekawe, czy wiedział, że gdy wymawia jej ksywkę, wypowiada ją cicho jak słowa modlitwy.

- Wiesz, że jeśli ona nie wróci, to nie mamy żadnego planu awaryjnego?

- Wróci - odpowiedział pewnym głosem.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Ponieważ nie mamy żadnego planu awaryjnego. - Tym razem na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech. Widywałam ten uśmiech w klasie, na szkolnych korytarzach i w autobusie, a zobaczenie go na tej wygłodzonej, naznaczonej śladami choroby i walki twarzy było strasznie dezorientujące. Jak trafienie na kogoś znajomego w zupełnie obcym mieście.

- To klasyczne błędne koło w rozumowaniu - zauważyłam.

- Wiesz, że są tacy goście, którzy czują się zaszczuci w towarzystwie mądrzejszych od siebie? Ja na szczęście do nich nie należę.

Zacisnął dłoń na moim ramieniu i pokuśtykał do swojego pokoju. Zostaliśmy tylko ja, miś, wielki chłopak na końcu korytarza i zamknięte drzwi. Stanęłam przed nimi, wzięłam głęboki oddech i weszłam do środka. Usiadłam obok wzgórka nakrytego kocami. Nie widziałam

Sama, ale wiedziałam, że tam jest. On mnie również nie widział, ale wiedział, że jestem obok.

- Powiesz mi, jak umarł? - padło przytłumione pytanie spod okryć.

- Zastrzelili go.

- Widziałaś to?

- Tak.

Ojciec pełznący w piachu, wbijający palce w ziemię.

- Kto go zastrzelił?

- Vosch. - Zamknęłam oczy. To nie był dobry pomysł: wspomnienie momentalnie wróciło z pełną wyrazistością.

- A co ty wtedy robiłaś?

- Ukrywałam się.

Chciałam podnieść koce, żeby na niego spojrzeć, ale się na to nie zdobyłam. *Gdziekolwiek będziesz.* Nocą, w lasach z dala od autostrady, samotna dziewczyna otula się śpiworem i zasypia, wspominając śmierć swojego ojca. Ukrywała się wtedy, ukrywa się teraz, a on umiera raz za razem.

- Bronił się?

- Oczywiście, Sammy. Walczył ze wszystkich sił. Ocalił mi życie.

- Ale ty się ukryłaś.

- Tak. - Przycisnęłam do siebie mocniej misia.

- Jak tchórz.

- Nie - szepnęłam. - To wcale nie tak.

Odrzucił koce i usiadł na łóżku. Z trudem go rozpoznałam. Nie znałam tego dzieciaka z okropną twarzą wykrzywioną od gniewu i nienawiści.

- Zabiję go - warknął. - Rozwalę mu łeb.

Uśmiechnęłam się. Albo przynajmniej spróbowałam.

- Przykro mi Sam, ale już sobie to zaklepałam.

Popatrzyliśmy po sobie, a czas ponownie oplótł nas swoimi ramionami. Ten czas okupiony naszą krwawicą, czas, kiedy byłam dla niego zrzędliwą starszą siostrą, a on dla mnie irytującym braciszkiem, czas, kiedy uważałam, że warto żyć dla siebie i umrzeć za swojego brata. Sam wpadł w moje ramiona, a pluszowy miś utknął między nami, tak jak my utknęliśmy między czasami: tym przed i tym po.
Położyłam się obok brata i zmówiliśmy jego modlitwę.

- Aniele Boży, stróżu mój...

A potem opowiedziałam mu, jak zginął tata. O tym, jak zabrał pistolet jednemu ze złych i samodzielnie załatwił dwunastu uciszaczy. Jak stanął przed Voschem, mówiąc: „możesz zniszczyć nasze ciała, ale nigdy nie odbierzesz nam ducha". Jak poświęcił swoje życie, żebym mogła uciec i ocalić Sama z łap galaktycznej hordy. Tak by Sam mógł później zebrać u swego boku resztę ludzkości i ocalić nasz świat. Nie chciałam, by ostatnim wspomnieniem ojca, jakie zapisze się w jego pamięci, była wizja zakrwawionego, złamanego człowieka, czołgającego się w brudzie.

Kiedy zasnął, wyśliznęłam się z łóżka i wróciłam na swój posterunek przy oknie. Pusty parking, zrujnowana restauracja („W każdą środę jesz, ile chcesz!") i fragment autostrady ginącej w ciemnościach. Cała planeta, jeszcze niedawno tak pełna hałasów i świateł, pogrążyła się w mroku. Coś się skończyło. Coś się zacznie. A my tkwiliśmy w czasie stanowiącym pauzę między tymi wydarzeniami. Za samochodem, który rozkraczył się na środkowym pasie autostrady, dostrzegłam błysk światła odbijający się od karabinowej lufy. Zamarłam. Nagle cień z karabinem pomknął w stronę drzew i dostrzegłam połysk irytująco idealnych prostych czarnych włosów - zrozumiałam, że to Ringer.

Z początku nie układało nam się najlepiej, a od tego czasu sytuacja zdążyła się pogorszyć. Na każde moje słowo reagowała lodowatą pogardą, jakbym była idiotką, wariatką lub próbowała ją okłamać. Zwłaszcza gdy wspominałam o Evanie Walkerze. *Jesteś pewna? To przecież nie ma sensu. Jak można być jednocześnie kosmitę i człowiekiem?* Im bardziej mi na czymś zależało, tym zimniejsza była jej reakcja, aż w końcu niwelowałyśmy się wzajemnie, jak dwie części równania. Jak li = $mc^2$, jedno z tych równań, które służą do wywoływania gigantycznych wybuchów.

Nasza ostatnia rozmowa była tego najlepszym przykładem.

- A możesz mi coś wyjaśnić? - zapytałam. - Wiem, skąd się wzięła ksywka Dumbo: to przez uszy. Nugget dostał swoją, bo jest taki mały, Filiżanka podobnie. Nie bardzo wiem, dlaczego Zombie się tak nazywa, a Ben nie chce mi wyjaśnić, za to Pączka tak nazwali, bo jest okrąglutki. Ale skąd się wzięła ksywka Ringer? - Odpowiedziała mi lodowatym spojrzeniem.- Czuję się z tym dziwnie - dodałam. - Jakbym była jedynym członkiem gangu, który nie dostał ksywki.

- Pseudonimu.

- Pozwól, że zgadnę. - Spojrzałam na nią uważnie. - Stypendium, klub szachowy i matematyczny, najlepsza w swojej klasie? Grasz też na instrumencie, skrzypce albo altówka, coś ze strunami. Twój tata pracował w Dolinie Krzemowej, a mama uczyła na uniwersytecie, najpewniej fizyki lub chemii.

Jej milczenie trwało całe wieki.

- Coś jeszcze? - zapytała.

Wiedziałam, że powinnam przestać. Ale skoro już się w to wkręciłam, nic nie było mnie w stanie powstrzymać. To u nas rodzinne.

- Jesteś najstarszym... albo nie, jesteś jedynaczką. Tata jest buddystą, mama ateistką. Nauczyłaś się chodzić, mając dziesięć miesięcy. Rodzice cały czas w pracy, więc wychowywała cię babcia. Nauczyła cię tai-chi. Nie bawiłaś się lalkami. Znasz trzy języki, jednym z nich jest francuski. Byłaś w olimpijskiej kadrze młodzików. Gimnastyka sportowa. Jak wróciłaś kiedyś do domu z czwórką ze sprawdzianu, tata zabrał ci twój zestaw małego chemika i zamknął na tydzień w pokoju. Przeczytałaś wtedy całego Szekspira. - Ringer pokręciła głową.- No dobra, nie całego. Odpuściłaś komedie, humor był niezrozumiały

- Doskonale. Jesteś niesamowita. - Jej głos był bezbarwny i płaski jak folia aluminiowa świeżo odwinięta z rolki. - Mogę teraz ja spróbować?

Zesztywniałam nieco i skrzyżowałam ramiona.

- Próbować zawsze możesz.

- Zawsze byłaś czuła na punkcie swojego wyglądu, zwłaszcza włosów. I piegów. Źle się czujesz wśród ludzi, więc dużo czytasz i prowadzisz pamiętniczek. Co najmniej od czasu gimnazjum. Miałaś tylko jedną przyjaciółkę i byłyście od siebie uzależnione, co oznacza, że każda kłótnia z nią wpędzała cię w depresję. Jesteś córunią tatusia, nigdy nie zbliżyłaś się z matką, która ciągle dawała ci do zrozumienia, że nie jesteś wystarczająco dobra, niezależnie od tego, co zrobiłaś. I była od ciebie ładniejsza, co też pewnie nie pomagało. Po jej śmierci miałaś poczucie winy za to, że jej nienawidziłaś, i czułaś ulgę, że masz ją z głowy. Jesteś uparta, impulsywna i trochę nadpobudliwa, więc rodzice zapisali cię na jakieś zajęcia poprawiające koordynację i koncentrację, balet lub karate. Stawiam na karate. Mam kontynuować?

Co miałam robić? Widziałam tylko dwa wyjścia: zaśmiać się lub strzelić ją w dziób. No dobra, istniała też trzecia możliwość: mogłam odwdzięczyć się jej lodowatym spojrzeniem, tak też zrobiłam.

- Zły wybór.

- W porządku - ciągnęła Ringer. - Nie jesteś chłopczycą, ale zbyt dziewczęca też nie jesteś. Mieścisz się w szarej strefie pomiędzy. Co oznacza, że musiałaś potajemnie zazdrościć tym, które były lepiej dostosowane, ale najbardziej nie znosiłaś ładnych dziewczyn. Byłaś zakochana, ale nigdy nie miałaś chłopaka. Udajesz, że nienawidzisz facetów, których lubisz, i że lubisz tych, którzy cię wkurzają. Kiedy tylko znajdujesz się w towarzystwie kogoś ładniejszego, mądrzejszego lub lepszego w czymkolwiek od ciebie, zaczynasz się wściekać i ironizować, by ukryć, że czujesz się przy nim taka przeciętna. Dalej?

- Pewnie, nie krępuj się. - Mój głos był zaskakująco piskliwy.

- Dopóki nie poznałaś Evana Walkera, nigdy wcześniej nie chodziłaś za rękę z chłopakiem, nie licząc szkolnych wycieczek w podstawówce. Był miły i niczego nie chciał, a na dodatek bosko wyglądał. Stał się dla ciebie pustym płótnem, wymalowałaś sobie na nim obraz idealnego związku z idealnych chłopakiem, który nigdy cię nie skrzywdzi i wyzwoli od lęków. Dał ci to wszystko, czego wcześniej zazdrościłaś ślicznym dziewczynom, tak więc związek z nim, a raczej wyobrażenie tego związku, zaspokajał przede wszystkim twoje pragnienie zemsty.

Przygryzłam dolną wargę, czując łzy wzbierające w oczach. Zacisnęłam dłonie i paznokcie wbijały mi się w skórę. Czemu nie zdecydowałam się na wyjście numer dwa?

- Chcesz, żebym przestała. - To nie było pytanie.

Podniosłam dumnie podbródek. Naprawdę powinnam nosić pseudonim Opór.

- Mój ulubiony kolor?

- Zielony.

- Pudło. Żółty - skłamałam.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że kłamię. Ringer: ludzki odpowiednik Krainy Czarów.

- Ale serio, powiedz mi, czemu nazywają cię Ringer? - Tak właśnie należało zrobić. Musiałam ją sprowadzić z powrotem do defensywy.

Choć tak właściwie to ja od samego początku znajdowałam się w defensywie, nie ona.

- Jestem człowiekiem - odparła.

- Tak. - Spojrzałam przez szparę w zasłonie na znajdujący się piętro niżej parking. Po co to zrobiłam? Czy naprawdę myślałam, że zobaczę go tam jak zwykle przyczajonego w mroku i uśmiechającego się w moją stronę? *Widzisz? Mówiłem, że po ciebie przyjdę.* - Już to kiedyś od kogoś słyszałam. I uwierzyłam mu jak głupia - stwierdziłam.

- Wcale nie taka głupia, biorąc pod uwagę okoliczności.

Och, czyżby nagle chciała być miła? Postanowiła mi odpuścić? Nie miałam pojęcia, co gorsze: Ringer Królowa Śniegu czy Ringer Królowa Współczucia.

- Daj spokój, Ringer - prychnęłam. - Nie udawaj. Wiem, że nie wierzysz w to, co mówiłam o Evanie.

- Wierzę w to, co mówisz. Tylko ta jego historia nie ma sensu.

A potem zostawiła mnie samą. Tak po prostu. Zanim zdołałyśmy cokolwiek ustalić. Kto jeszcze by się tak zachował, nie licząc oczywiście wszystkich facetów?

*Przecież jeśli nie mają ciał, to niepotrzebna im planeta...*

Kim tak naprawdę był Evan Walker? Mój wzrok krążył od okna i autostrady do łóżka mojego brata i z powrotem. Kim byłeś, Evanie Walkerze?

Czułam się głupio, że mu zaufałam, ale byłam ranna i samotna, wydawało mi się, że jestem ostatnim człowiekiem w całym pieprzonym wszechświecie, traciłam rozum, bo odebrałam życie niewinnemu człowiekowi, a on, Evan Walker, mnie nie zabił - zamiast tego przyniósł mi ocalenie. To dlatego zignorowałam wszystkie sygnały ostrzegawcze. Pomagało również to, że był niesamowicie przystojny i niezwykle mu zależało, bym poczuła, że znaczę dla niego więcej niż on sam, począwszy od tego, że mnie kąpał, skończywszy na tym, że uczył mnie zabijać, a kiedy powiedział, że jestem jedyną osobą, dla której warto umrzeć, potwierdził te słowa, oddając za mnie życie.

Urodził się jako Evan, w wieku trzynastu lat doznał przebudzenia, po którym zrozumiał, że nim nie jest, a potem, jak sam twierdził, przebudził się raz jeszcze, gdy spojrzał na siebie moimi oczami. Odkrył we mnie siebie samego, a ja odkryłam siebie samą w nim, staliśmy się jednością. Najpierw mówił mi tylko to, co chciałam usłyszeć,

ostatecznie wyjawił mi to, co musiałam wiedzieć: że to ludzie są najważniejszą bronią w planie pozbycia się resztek naszego gatunku. A kiedy zginą ostatni z zarażonych, Vosch i jego ludzie mieli zakończyć piątą falę. Koniec czystek. Można się wprowadzić do posprzątanego domu.

Kiedy opowiedziałam o tym wszystkim Benowi i Ringer - pomijając kawałek o tym, że staliśmy się jednością, który był zbyt skomplikowany dla Parisha - popatrzyli na mnie z powątpiewaniem i wymienili się znaczącymi spojrzeniami.

- Jeden z nich się w tobie zakochał? - zapytała Ringer, kiedy skończyłam. - To chyba trochę tak, jakby człowiek zakochał się w karaluchu.

- Albo w jętce - odpyskowałam. - Może mają słabość do owadów.

Podejrzewam, że tej pierwszej nocy w hotelu, gdy siedzieliśmy w pokoju Bena, Ringer powątpiewała w moją historię głównie dlatego, żeby zajść mi za skórę.

- Co jeszcze ci powiedział? - spytał Ben wyciągnięty na swoim łóżku. Od ruin obozu dzieliło nas dziesięć kilometrów, a on wyglądał, jakby wrócił z maratonu. Dumbo, dzieciak, który połatał mnie i Sama, nie odpowiedział, gdy spytałam o stan Bena. Nie dowiedziałam się, czy będzie z nim lepiej czy gorzej. Zresztą skąd dwunastoletni dzieciak miał o tym wiedzieć?

- Mówił coś o ich słabościach? Możliwościach? - dopytywał dalej Ben.

- Twierdził, że całkowicie pozbyli się ciał - odparłam. - Podobno tylko tak mogą podróżować. Niektórzy, tacy jak on i Vosch czy inni uciszacze, zostali już załadowani do ciał, reszta oczekiwała na statku matce, aż ludzkość zniknie.

Ben otarł usta wierzchem dłoni.

- Zbudowali obozy, żeby wyłowić najlepszych kandydatów do prania mózgów...

- I zlikwidować tych, którzy się nie nadawali - dokończyłam. - Po rozpoczęciu piątej fali musieli jedynie czekać, aż ludzie odwalą całą brudną robotę.

Ringer jak cień siedziała przy oknie w milczeniu.

- Ale do czego byliśmy im potrzebni? - zastanawiał się Ben. - Mogli przecież załadować oddziały do ludzkich ciał i nas wykończyć.

- Może jest ich zbyt mało? - zasugerowałam. - Albo nie chcą ryzykować.

- Czego nie chcą ryzykować? - odezwała się Ringer.

Zignorowałam ją. Miałam wiele powodów, ale najważniejszym było to, że nie chciałam się wdawać z nią w dyskusję. Potrafiła upokorzyć człowieka jednym słowem.

- Byłaś tam - przypomniał mi Ben. - Słyszałaś, jak Vosch mówił, że obserwowali nas od wieków. Ale istnienie Evana dowodzi, że nawet po tysiącu lat planowania coś może się nie udać. Może nie uświadamiali sobie, że wchodząc w nasze ciała, mogą stać się jednymi z nas. Pytanie tylko, jak to wykorzystać.

- Nie ma takiej możliwości - odpowiedziała Ringer. - Opowieść Sullivan w niczym nam nie pomaga, chyba że ten Evan jakoś przetrwał wybuch i będzie w stanie powiedzieć nam coś więcej.

Ben pokręcił głową.

- Nikt nie zdołał tego przeżyć.

- Mieli kapsuły ratunkowe. - Od czasu naszego pożegnania trzymałam się tego jak ostatniej deski ratunku

- No i? - Ringer nie wyglądała na przekonaną. - To dlaczego cię nie umieścił w jednej z nich?

- Słuchaj, wiem, że nie powinnam tego mówić komuś, kto ma przy sobie karabin, ale zaczynasz mnie wkurzać. - Nie wytrzymałam.

- Czym? - Udała zaskoczoną.

- Będziemy musieli dowiedzieć się czegoś więcej - przerwał Ben, nim zdążyłam odpowiedzieć. Biorąc pod uwagę, że Ringer miała broń i według tego, co mi mówił, nikt nie dorównywał jej w strzelaniu, było to najlepsze wyjście. - Jaki mamy plan? Czekamy na Evana czy wiejemy? A jeśli to drucie, to dokąd? - Miał lśniące oczy, a jego policzki płonęły gorączką. Byliśmy w podbramkowej sytuacji. - Czy Evan mówił coś jeszcze? Co chcieli zrobić z miastami?

- Nie wysadzą ich. - Ringer nie czekała na moją odpowiedź ani na to, czy zapytam, skąd u diabła o tym wie. - Zrobiliby to na samym początku, gdyby taki był plan. Ponad połowa populacji żyła w miastach.

- Pewnie chcą je wykorzystać - zgodził się Ben. - Może dlatego, że używają ludzkich ciał?

- Nie możemy ukryć się w mieście, Zombie - zauważyła Ringer. - W żadnym z nich.

- Dlaczego?

- Zbyt wiele niebezpieczeństw. Pożary, ścieki, choroby i rozkładające się ciała. A jeśli ktoś tam przeżył, to pewnie już wie, że obcy wykorzystują ludzkie ciała. Jeśli zależy nam na tym, żeby przeżyć, musimy być w ciągłym ruchu i trzymać się z dala od innych.

No ładnie. Gdzie ja to już słyszałam? Kręciło mi się w głowie, a przestrzelone przez uciszacza kolano sprawiało ciągły ból. Przestrzelone przez mojego uciszacza. *Odnajdę cię, Cassie. Przecież wiesz, że zawsze cię odnajduję, prawda?* Tym razem jednak się nie uda, Evan. Nie wydaje mi się to możliwe.

Usiadłam na łóżku obok Bena.

- Ona ma rację - stwierdziłam. - Zatrzymanie się tutaj na dłużej niż parę dni to zły pomysł.

- Podobnie jak trzymanie się razem.

Słowa Ringer zawisły w lodowatym powietrzu. Ben zesztywniał. Zamknęłam oczy. Tę zasadę też już wcześniej słyszałam: nie ufaj nikomu.

- Zapomnij o tym, Ringer - sprzeciwił się Ben.

- Pójdę z Filiżanką i Pączkiem. Ty ruszysz z pozostałymi. Będziemy mieli dwukrotnie większe szanse.

- Po co się ograniczać? - wypaliłam. - Najlepiej niech każdy ruszy osobno. Nasze szanse zwiększą się czterokrotnie.

- Siedmiokrotnie - poprawiła mnie Ringer.

- Nie znam się na matematyce - przyznał Ben. - Ale wydaje mi się, że o to im właśnie chodzi, żebyśmy się rozdzielili. Najpierw nas odizolują, a potem wykończą. - Obrzucił Ringer surowym spojrzeniem. - Co do mnie, wolę mieć świadomość, że ktoś mnie ubezpiecza. - Wstał z łóżka i stanął, chwiejąc się przez chwilę na nogach. Ringer kazała mu się położyć z powrotem. Olał ją. - Nie możemy tu zostać i nie mamy dokąd iść. Ale coś musimy zrobić. Gdzie możemy pójść? - zapytał.

- Na południe - zaproponowała Ringer. - Najdalej, jak się da.

Jej wzrok podążył za okno. Wiedziałam, o czym myśli - jedna porządna śnieżyca i utkniemy aż do roztopów. Co oznacza, że warto się przenieść gdzieś, gdzie nie pada śnieg.

- Teksas? - rzucił Ben.

- Meksyk - odpowiedziała. - A kiedy wody się cofną, Ameryka Środkowa. W lesie tropikalnym można się ukrywać całe lata.

- Podoba mi się - ocenił Ben. - Powrót do natury. Ale jest mały problem. - Rozłożył bezradnie dłonie. - Nie mamy paszportów.
Patrzył na nią, oczekując jakiejś reakcji. Odwzajemniła się zupełnie wypranym z emocji spojrzeniem. Opuścił dłonie i wzruszył ramionami.

- Nie mówisz chyba poważnie - parsknęłam. Ta rozmowa stawała się coraz bardziej absurdalna. - Ameryka Środkowa? Pieszo, w środku zimy, z dwójką dzieci i rannym Benem? Nie dotrzemy dalej niż do Kentucky.

- To i tak lepsze niż czekanie na twojego księcia z kosmosu.

Przestałam się przejmować tym, że trzyma w dłoniach karabin. Rzuciłam się do przodu, chcąc wytargać ją za te jedwabiste kudły i wyrzucić ją przez okno. Ben stanął między nami.

- Sullivan! Jesteśmy w tym samym zespole. Trzymajmy się razem, dobra? - Spojrzał na Ringer. - Zgadzam się z tobą. Evan najpewniej nie żyje, ale dajmy mu szansę na dotrzymanie obietnicy. Zresztą i tak nie jestem w stanie ruszyć w drogę.

- Nie po to wracałam po ciebie i Nuggeta, żeby utknąć jak kaczka na strzelnicy - zaprotestowała. - Rób, co chcesz, aleja się stąd zwijam, jeśli zacznie się jakiś dym.

- Prawdziwy gracz zespołowy. - Spojrzałam na Bena.

- Mam ci przypomnieć, kto uratował ci życie? - warknęła Ringer.

- Możesz mnie pocałować w dupę.

- Dość! - huknął Ben, biorąc na siebie rolę dowódcy. - Nie wiem, jak wyplączemy się z tego bajzlu, ale na pewno nie w ten sposób. Dajcie już spokój. Obie. To rozkaz.

Opadł z powrotem na łóżko i dociskając dłoń do boku, próbował złapać oddech. Ringer wyszła poszukać Dumbo i po raz pierwszy od naszego spotkania w głębinach obozu Przystań zostałam z Zombie'em sama.

- To naprawdę dziwne. - Westchnął. - Myślałby kto, że po zabiciu dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzkości pozostałe dwa procent będzie umiało się ze sobą dogadać.

Już miałam powiedzieć, że jeden procent, ale zobaczyłam uśmiech na jego twarzy. Wiedział, że nie będę potrafiła się powstrzymać przed poprawieniem błędu. Tworzył stereotypowy wizerunek tępego sportowca, tak jak dzieci w wieku Sama tworzą rysunki kredą na chodniku, składając je z nieporadnych, niezgrabnych linii.

- Ona ma coś z głową - poskarżyłam się. - Naprawdę. Popatrz jej w oczy. Nikogo tam nie ma.

Ben pokręcił głową.

- Myślę, że jest... tylko gdzieś bardzo głęboko.

Skrzywił się, wpychając dłoń do kieszeni z przodu bluzy i dociskając ranę od kuli Ringer, co nadało mu wygląd Napoleona. Sam prosił o ten postrzał. Musiał być ranny, by postawić wszystko na jedną szalę i ocalić mojego brata. A teraz mógł od tego umrzeć.

- Nie uda się nam - szepnęłam.

- Oczywiście, że się uda. - Pogładził mnie po dłoni.

Potrząsnęłam głową. Nie zrozumiał, że nie mówiłam o nas.

Pojawienie się Przybyszy rzuciło na nas olbrzymi, mroczny cień, w którym straciliśmy z oczu to, co najważniejsze. Ale nawet jeśli nie potrafiliśmy tego dostrzec, wciąż istniały fundamentalne zasady. Mój ojciec krzyczący: „uciekaj!”, chociaż sam już nie mógł biec. Evan ratujący mnie z otchłani, nim sam się w nią rzucił. Ben, który skoczył diabłu w paszczę, by ocalić Sama. Istniały rzeczy - albo jedna jedyna rzecz - których rzucany przez nich cień nie mógł przysłonić. Coś kłopotliwego, niezmordowanego i niepokonanego.

Mogli nas wybić do ostatniego człowieka, ale nie byli i nigdy nie będą w stanie pozbyć się tego, co w nas tkwi.

*Cassie, chciałabyś umieć latać?*

*Tak, tato. Chcę latać.*

Srebrzysta wstęga autostrady znikająca w ciemnościach. Czerń rozmigotana blaskiem tysięcy gwiazd. Bezlistne drzewa unoszące konary w poddańczym geście. Para unosząca się z ust mojego śpiącego brata. Okno zamglone od moich oddechów. Szkło pokryte szronem, a za nim, tuż obok srebrzystej autostrady i pod niebem pełnym gwiazd, jakaś niewielka postać pędząca ku uniesionym ramionom drzew.

Szlag!

Wypadłam gwałtownie na korytarz, krzycząc „wyluzuj, wielkoludzie!” na widok zaskoczonego Pączka, który mierzył do mnie z karabinu, i popędziłam do pokoju Bena. Znalazłam go w łóżku najbliżej drzwi. Dumbo opierał się o parapet.

- Gdzie Filiżanka? - zapytałam.

- Tutaj. - Chłopak wskazał łóżko obok Bena, patrząc na mnie, jakbym zwariowała.

Podeszłam bliżej i podniosłam koce. Ben zaklął, a Dumbo oparł się plecami o ścianę i poczerwieniał na twarzy.

- Przysięgam, że jeszcze przed chwilą tu była!

- Widziałam ją na zewnątrz. - Spojrzałam na Bena.

- Wyszła z hotelu? - Usiadł na łóżku, jęcząc z wysiłku.

- Była przy autostradzie.

Nagle do niego dotarło.

- Ringer. Poszła szukać Ringer. - Walnął otwartą dłonią w materac. - Niech to szlag!

- Przyprowadzę ją - zaoferował Dumbo.

Ben powstrzymał go uniesioną ręką.

- Pączek! - ryknął. W korytarzu zadudniły kroki, a podłoga zaprotestowała pod ciężarem wielkiego chłopaka, który chwilę później wsadził głowę przez drzwi. - Filiżanka wybyła. Poszła szukać Ringer. Znajdź ją i przyprowadź, żebym mógł ją opieprzyć.

Pączek ruszył wypełnić polecenie, a podłoga gorąco mu za to podziękowała.

- Co robisz? - zapytałam, widząc, jak Ben zapina pas z kaburą.

- Przejmuję wartę Pączka, dopóki nie wróci z tą gówniarą. Ty zostań z Nuggetem. To znaczy z Samem. Czy jak mu tam. Lepiej trzymajmy się jednego imienia.

Jego dłonie zauważalnie drżały. Gorączka. Lub strach. Albo obie rzeczy naraz.

Dumbo wciąż ruszał ustami, ale nie powiedział ani słowa.

- Spocznij - polecił mu Ben. - To nie twoja wina.

- Mogę pełnić wartę na korytarzu - zaproponował chłopak. - Zostań w łóżku, sierżancie. Nie powinieneś się ruszać.

Wybiegł z pokoju, nim Ben zdołał go powstrzymać.

- Nie wspomniałem ci jeszcze chyba, że po tym, jak urwaliśmy się w Dayton, Vosch wysłał za nami w pościg dwa oddziały. - W oczach Bena lśniła gorączka. - Jeśli wciąż były w terenie, gdy obóz wyleciał w powietrze...

Urwał, nie kończąc myśli. Nie musiał albo nie chciał. Znów stanął, chwiejąc się na nogach. Podeszłam do niego i bez wahania objęłam go ramieniem. Ben Parish śmierdział chorobą - nie dało się tego inaczej określić. Kwaśny odór infekcji i zastałego potu. Pierwszy raz od chwili, kiedy odkryłam, że wciąż żyje, miałam obawy, że może się to szybko skończyć.

- Wracaj do łóżka - poleciłam. Pokręcił głową i nagle wymsknął mi się spod ramienia, zahaczając tyłkiem o materac, i osunął powoli na podłogę.

- Kręci mi się w głowie - mruknął. - Idź po Nuggeta. Powinien być z nami.

- Po Sama. Możemy się trzymać jego imienia? - Nugget kojarzył mi się zawsze z frytkami z McDonalda, truskawkowo-bananowym koktajlem i mrożoną kawą z bitą śmietaną i czekoladowymi wiórkami.

- Nie ma sprawy - zgodził się, a na jego wyczerpanej twarzy zakwitł olśniewający uśmiech. Poczułam, jak pęka mi serce.

Sam nawet się nie przebudził, gdy wygrzebałam go spod koców i przeniosłam do pokoju Bena. Położyłam go w łóżku porzuconym przez Filiżankę, nakryłam i dotknęłam wierzchem dłoni jego policzka - nabrałam tego zwyczaju w czasie plagi. Ben wciąż siedział na podłodze, wpatrując się w sufit. Kiedy chciałam do niego podejść, powstrzymał mnie gestem dłoni.

- Okno. - Westchnął. - Jesteśmy zupełnie niezabezpieczeni z jednej strony. Dzięki ci, Filiżanko.

- Ale dlaczego wymknęła się w ten sposób?

- Od czasu Dayton nie opuszcza Ringer nawet na krok.

- Przecież tylko się kłócą. - Przypomniałam sobie kłótnię przy szachach, monety uderzające o głowę Filiżanki i jej wściekłe bluzgi.

- Kto się czubi, ten się lubi - prychnął rozbawiony Ben.

Rzuciłam okiem na parking za oknem. Asfalt lśnił niczym onyks. *Nie opuszcza Ringer nawet na krok.* Pomyślałam o Evanie czającym się gdzieś za rogiem, spoglądającym zza drzwi. Przypomniałam sobie o tej jedynej nieskażonej rzeczy, jaka nam pozostała, o tym, co w nas trwa. Tylko ta siła mogła nas ocalić. Mogła nas też jednak zabić.

- Nie powinieneś siedzieć na podłodze - ochrzaniłam Bena. - W łóżku będzie ci cieplej.

- Taa, może o dwa stopnie. Nie martw się, Sullivan. Przeziębienie to nic takiego w porównaniu z zarazą.

- Byłeś zarażony?

- Tak. Trafiłem do obozu uchodźców przy bazie Wright-Patterson. Po zdobyciu bazy tamci nafaszerowali mnie lekami antywirusowymi, wepchnęli mi karabin w dłoń i kazali iść zabijać ludzi. A ty?

Zakrwawiona dłoń zaciśnięta na krzyżu. *Możesz mnie wykończyć albo mi pomóc.* Żołnierz ukrywający się za lodówkami był moim pierwszym. Chociaż nie: pierwszy był ten, który zastrzelił Smalca nad grobem z popiołami. To już dwóch, a do tego dochodzili uciszacze - ten, którego zabiłam, zanim znalazłam Sama, i ten, który zginął, nim odnalazł mnie Evan. Czterech. Chyba o nikim nie zapomniałam. Im więcej trupów, tym trudniej je zliczyć.

- Też zabijałam ludzi - przyznałam cicho.

- Pytałem o zarazę.

- Nie. Moja mama...

- A tata?

- Jego zabiła inna zaraza.

Ben spojrzał na mnie przez ramię.

- Vosch - wyjaśniłam. - To on go zabił.

Opowiedziałam mu o Trupim Jarze, ciężarówkach i hummerach z żołnierzami. O absurdalnym wrażeniu, jakie robiły wśród nich żółte szkolne autobusy. Miejsca wyłącznie dla dzieci. O tym, jak zapędzono nas do baraków i jak ojciec posłał mnie i człowieka, którego zabiłam, na poszukiwania Smalca. O tym, jak kryjąc się w lesie, widziałam Voscha górującego nad tatą leżącym na ziemi, i o niemym krzyku mojego ojca: „uciekaj!”.

- Dziwne, że nie znaleźli dla ciebie miejsca w autobusie - zauważył Ben. - Przecież chcieli mieć armię dzieciaków z wypranymi mózgami.

- Brali głównie małe dzieci, takie w wieku Sama, nawet młodsze.

- W obozie wszystkich poniżej piątego roku życia trzymali w osobnym bunkrze...

Pokiwałam głową.

- Widziałam ich. - Przypomniałam sobie wpatrzone we mnie buzie, gdy szukałam Sama w schronie.

- Powinniśmy się więc zastanowić, po co je trzymają - zauważył Ben. - Może Vosch spodziewa się długiej wojny.

Słychać było, że sam wątpi w te słowa. Postukał nerwowo palcami o materac.

- Co się dzieje z tą Filiżanką? Czemu ich jeszcze nie ma?

- Pójdę sprawdzić - zaproponowałam.

- Zapomnij. To przecież scenariusz z każdego horroru, jaki kiedykolwiek nakręcono. Łapiesz? Wykończą nas jedno po drugim. Aa... - jęknął. - Daj mi jeszcze z pięć minut.

Zamilkliśmy, nasłuchując odgłosów z zewnątrz, ale docierały do nas jedynie gwizd wiatru w szparach w oknach i nieustające chrobotanie szczurów w ścianach. Filiżanka miała na ich punkcie obsesję. Całymi godzinami musiałam słuchać, jak ona i Ringer planują je wytępić. Wciąż pamiętałam protekcjonalny ton Ringer wyjaśniającej, że populacja szczurów wymknęła się spod kontroli: było ich więcej, niż mieliśmy naboi.

- Szczury - odezwał się Ben, jakby czytając w moich myślach. - Szczury, wszędzie szczury. Setki. Tysiące. Więcej niż ludzi. Planeta szczurów. - Zaśmiał się ochryple, być może majacząc w gorączce. - Wiesz, co najbardziej nie daje mi spokoju? To, co mówił Vosch: że obserwowali nas przez wieki. Jak to w ogóle możliwe? To znaczy rozumiem, w jaki sposób to robili, ale dlaczego nas wtedy nie zaatakowali? Ilu ludzi żyło na Ziemi w czasach piramid? Dlaczego czekali, aż siedem miliardów ludzi wyposażonych w o wiele bardziej zaawansowane narzędzia niż pałki i włócznie rozpełznie się po każdym kontynencie? Lubią wyzwania? Przecież jeśli chcesz się pozbyć gryzoni ze swojego nowego domu, to nie czekasz, aż osiągną przewagę liczebną. Evan wspominał coś na ten temat?

- Twierdził, że nie potrafili się dogadać, czy powinni nas wykończyć.

- Hmm. Może gadali o tym przez sześć tysięcy lat i każdy tchórzył przed podjęciem decyzji, aż w końcu znalazł się taki jeden, który stwierdził: „a co nam zależy, wykończmy ich”.

- Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Irytowało mnie trochę to wypytywanie. Tak jakby moja znajomość z Evanem oznaczała, że wiem o nich wszystko.

- A jeśli Vosch kłamał? - zastanawiał się dalej Ben. - Może chciał nam namieszać w głowach. W końcu robił to od samego początku. - Spojrzał na mnie i spuścił wzrok. - Nie powinienem tego mówić, ale wierzyłem w każde słowo tego gościa. Wydawało mi się, że jest... - Machnął dłonią, szukając właściwych słów. - Że nie ma wśród nas nikogo lepszego.

Jego ramiona zadrżały. Z początku myślałam, że to kolejny atak gorączki, potem jednak doszłam do wniosku, że to coś innego, oderwałam się więc od okna i podeszłam bliżej.

Faceci płaczą w samotności. Nie pozwalają, by ktoś zobaczył ich łzy i uznał ich za słabeuszy, mięczaków, dzieciaki, ciapy. Wierzą, że to niemęskie i w tym podobne bzdury. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że rozpłakałby się publicznie przed lądowaniem, nie Ben Parish, chłopak, który miał wszystko, obiekt zawiści wszystkich kolegów, łamacz serc, który nigdy nie przeżył rozczarowania.

Usiadłam przy nim. Nie dotykałam go, milczałam. On był w swoim świecie, a ja w swoim.

- Przepraszam - odezwał się.

- Nie masz za co. - Potrząsnęłam głową.

- Wiesz, co mi powiedział? - zapytał, ocierając policzki wierzchem dłoni. - Obiecał, że opróżni mój umysł. Wyzeruje i napełni nienawiścią. Ale nie dotrzymał tej obietnicy. Zamiast nienawiścią wypełnił mnie nadzieją.

Rozumiałam go. Pamiętałam ciągnący się w nieskończoność schron i miliony wpatrzonych we mnie twarzyczek oraz oczu, które zadawały tylko jedno nieme pytanie: „czy uda mi się przeżyć?”. Wszystko było ze sobą powiązane. Przybysze doskonale o tym wiedzieli, orientowali się lepiej od nas. Nie ma nadziei bez wiary i wiary bez nadziei, nie ma miłości bez zaufania, nie ma zaufania bez

miłości. Wystarczyło usunąć jedno z nich, a cała ludzka cywilizacja rozsypywała się jak domek z kart.
Wyglądało to tak, jakby Voschowi zależało na tym, by Ben poznał prawdę. Chciał go nauczyć, jak bezsensowna jest nadzieja. Tylko po co? Skoro chcieli się nas wszystkich pozbyć, dlaczego tego po prostu nie zrobili? Muszą istnieć dziesiątki sposobów na szybkie pozbycie się całej ludzkości, a oni zdecydowali się na pięć fal narastającej grozy. Dlaczego? Do tej pory wydawało mi się, że jesteśmy Przybyszom zupełnie obojętni, nie czują do nas niczego poza lekkim obrzydzeniem, takim, jakie my odczuwamy wobec szczurów, karaluchów, pluskiew i innych paskudztw. *Nic do was nie mamy, ludzie, ale musicie się stąd zwijać.* Nie domyśliłam się, że mogą to robić z bardziej osobistych pobudek. Że samo wykończenie ludzkości im nie wystarczy.

- Nienawidzą nas - szepnęłam. Ben popatrzył na mnie z zaskoczeniem. Odwzajemniłam mu się wystraszonym spojrzeniem. - Tego się nie da inaczej wyjaśnić.

- To nie tak, Cassie - odezwał się łagodnie jak do wystraszonego dziecka. - Po prostu mamy coś, na czym im zależy.

- Nie. - Poczułam łzy cieknące po policzkach. Piątą falę dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Pozostałe możliwe wyjaśnienia były absurdalne. - Oni nie chcą naszej planety. Chcą, żebyśmy cierpieli.

- Wystarczy tego - zadecydował Ben. - Czas ruszać.

I ruszył. Ale nie zaszedł daleko. Zdołał się podnieść tylko do połowy, gdy znowu osłabł i walnął tyłkiem o podłogę.

- Ja to sprawdzę. - Oparłam dłoń na jego ramieniu.

Strzepnął ją zniecierpliwionym gestem.

- Nie mogę na to pozwolić - wymamrotał.

Uchyliłam drzwi i wystawiłam głowę na korytarz. Na co nie mógł pozwolić? Żebyśmy stracili Filiżankę i Pączka? Żebyśmy zginęli jedno po drugim? Na przegranie walki z iniekcją? Czy po prostu na naszą przegraną?

Korytarz był pusty.

Najpierw Filiżanka, potem Pączek, a teraz Dumbo. W żadnym horrorze bohaterowie nie znikali tak szybko.

- Dumbo! - zawołałam. Idiotyczna ksywka zabrzmiała głuchym echem w lodowatym powietrzu. Przez moją głowę przelatywały kolejne wyjaśnienia, od najbardziej nieprawdopodobnych po te realne: ktoś go załatwił i ukrył ciało; porwano go; coś go zaniepokoiło i poszedł sprawdzić; zachciało mu się sikać.

Przez chwilę sterczałam w korytarzu z nadzieją, że to ostatnie okaże się prawdą. Kiedy nikt się nie pojawił, wróciłam do pokoju. Ben stał o własnych siłach i sprawdzał magazynek karabinu.

- Nie każ mi zgadywać - poprosił. - Nie muszę.

- Zostań z Samem. Ja to sprawdzę.

Podszedł do mnie, szurając nogami. Zatrzymał się dwa centymetry przed moim nosem.

- Przykro mi, Sullivan. To twój brat.

Zesztywniałam. Jego wyprany z emocji głos sprawił, że moja krew zamieniła się w lód. *Zombie. Dlaczego tak cię nazywają, Ben?*

- A ci wszyscy ludzie tam to moi bracia - dodał, a na jego twarzy pojawił się olśniewający uśmiech, prawdziwy uśmiech Bena Parisha.

Wyminął mnie i poszurał w stronę drzwi. Sytuacja zmieniała się w błyskawicznym tempie: początkowo niewyobrażalnie groźna stała się przerażająco nierealna. Miałam tylko jedno wyjście: przeskoczyłam

przez łóżko Bena i zaczęłam szarpać śpiącego Sama. Obudził się z cichym jękiem. Zatkałam mu dłonią buzię.

- Posłuchaj, Sam. Coś się tu dzieje. - Wyjęłam lugera z kabury i wcisnęłam broń w jego malutkie dłonie. Spojrzał na mnie z przestrachem i czymś, co niebezpiecznie kojarzyło się z radością. - Pójdziemy z Benem to sprawdzić. Zasuń porządnie rygiel. Wiesz, jak to zrobić, prawda?

Skinął głową, wlepiając we mnie swoje wielkie oczy.

- Zablokuj klamkę krzesłem. Możesz patrzeć na zewnątrz przez dziurkę od klucza. I nie pozwól...

Czy ja naprawdę musiałam mu to wszystko tłumaczyć?

- Posłuchaj mnie, Sam. To bardzo ważne, serio. Wiesz, jak można odróżnić złych ludzi od tych dobrych? Źli do nas strzelają.

To była najważniejsza lekcja, jaką dostałam od ojca. Pocałowałam Sama w czubek głowy i wyszłam.

Drzwi zamknęły się za mną z cichym trzaskiem. Usłyszałam, jak zasuwa wchodzi na swoje miejsce. Dobry chłopak. Ben doszedł już do połowy korytarza. Machnął ręką, żebym do niego dołączyła. Stanęłam obok niego.

- Sprawdzimy te pokoje - szepnął, dociskając rozpalone gorączką usta do mojego ucha. - A potem pójdziemy na dół.

Pracowaliśmy ramię w ramię. Sprawdzałam pokoje, a Ben mnie osłaniał. W hotelu Walker obowiązywała zasada otwartych drzwi: uchodźcy szukający schronienia przed kolejnymi lalami wyłamali wszystkie zamki. Sprawę ułatwiało również to, że był to hotel dla oszczędnych rodzin, więc pokoje miały rozmiary jak w luksusowym domku dla lalek, wystarczyło trzydzieści sekund, by je sprawdzić. Całe piętro zajęło nam cztery minuty.

Ben ponownie przycisnął wargi do mojego ucha.

- Winda.

Klęknął naprzeciw drzwi, nakazując gestem, żebym miała na oku wejście na schody. Potem wyjął nóż i wepchnął go w szparę w drzwiach windy. Czyżby podejrzewał, że ktoś wykorzystuje starą sztuczkę z ukrywaniem się w szybie? To po co w takim razie kazał mi pilnować schodów? Ben rozsunął drzwi i machnął ręką, żebym podeszła.

Zobaczyłam pordzewiałe druty i mnóstwo kurzu, powietrze śmierdziało zdechłymi szczurami. Miałam przynajmniej nadzieję, że

były to szczury. Ben wskazał dłonią w mroczną czeluść szybu. Wtedy zrozumiałam. Miałam wejść do środka.

- Sprawdzę schody - szepnął. - Zostań w szybie. Czekaj na mój sygnał.

Zaparł się plecami o jedną połowę drzwi i popchnął nogą drugą, żebym mogła wejść do środka. Poklepał dłonią framugę, nakazując mi bezgłośnie: „wchodź!" Ostrożnie przeszłam nad jego nogami i usiadłam na krawędzi. Miałam wrażenie, że od dachu windy dzieli mnie pięćdziesiąt kilometrów. Ben uśmiechnął się, próbując dodać mi odwagi, jego mina mówiła: „Nie martw się, Sullivan. Nie pozwolę ci spaść".

Przesunęłam się parę centymetrów do przodu, czując, jak moje nogi dyndają nad otwartą przestrzenią. Ale nie mogłam tego zrobić w ten sposób. Wróciłam na krawędź, przyklęknęłam i odwróciłam się tyłem. Ben złapał mnie za nadgarstek i pokazał kciukiem drugiej dłoni, że wszystko w porządku. Zaczęłam się zsuwać w dół, zapierając kolanami o ścianę, aż w końcu wyprostowałam się na całą długość, wczepiając palce w krawędź szybu. Przez moją głowę przelatywały kolejne myśli. *Dobra, Cassie, czas się puścić. Ben cię ubezpiecza. Szkoda tylko, że jest ranny i osłabiony. Jeśli się puścisz, twój ciężar pociągnie go za tobą i spadniecie oboje. Runie ci na głowę, złamiesz kark i zostaniesz w tym szybie całkowicie sparaliżowana, powoli wykrwawiając się na śmierć...*

Trudno. Raz kozie śmierć.

Zwolniłam uchwyt. Usłyszałam cichy jęk Bena, wciąż jednak mnie trzymał i nie spadł mi na głowę. Zgiął się wpół, opuszczając mnie coraz niżej. Nad sobą mogłam dostrzec jego głowę odcinającą się cieniem od otwartych drzwi szybu. Palcami u stóp dosięgłam dachu windy. Wystawiłam kciuk, pokazując, że wszystko w porządku, choć nie byłam pewna, czy w ogóle mnie widzi. Trzy sekundy. Cztery. Wreszcie mnie puścił.

Opadłam na kolana i zaczęłam macać wokół siebie, szukając włazu serwisowego. Moje dłonie pokryły się smarem i kurzem.

Przed wynalezieniem elektryczności natężenie światła mierzono w świecach. Do tego miejsca docierało go jakieś ćwierć świecy. A po zamknięciu drzwi szybu widoczność spadła do zera.

*Dzięki. Mogłeś chociaż poczekać, aż znajdę ten właz.*

Kiedy mi się to wreszcie udało, odkryłam, że zardzewiała klapa nie daje się podnieść. Sięgnęłam po pistolet z zamiarem użycia jego kolby jako młotka, przypomniało mi się jednak, że zostawiłam swoją broń w dłoniach pięciolatka. Zamiast tego wyjęłam nóż i trzykrotnie uderzyłam rękojeścią w zardzewiałą zasuwę. Metal zazgrzytał. Bardzo głośno. To by było na tyle, jak chodzi o skradanie. Na szczęście zasuwa się w końcu poddała. Uniosłam klapę, a zardzewiałe zawiasy zaprotestowały jeszcze głośniejszym zgrzytem. A może tylko mi się tak zdawało? W końcu klęczałam tuż obok. Na zewnątrz pewnie nie było prawie nic słychać. Nie powinnam popadać w paranoję, lato miał takie powiedzonko o paranoi, które nigdy nie wydawało mi się zbyt zabawne, zwłaszcza gdy powtarzał je po raz tysięczny: „Zachowuję się paranoicznie tylko dlatego, że wszyscy są przeciwko mnie". Myślałam wtedy, że to tylko taki żarcik, a nie zła wróżba.

W całkowitych ciemnościach wsunęłam się do środka wagonika windy. Ben prosił, żebym zaczekała na jego sygnał. Tylko zapomniał wspomnieć, jaki to sygnał. Przycisnęłam ucho do drzwi i wstrzymałam oddech. Policzyłam do dziesięciu. Wdech. Kolejna dziesiątka. Po sześciu odliczeniach i czterech oddechach nadal nic nie słyszałam. Zaczynałam się niecierpliwić. Co się tam dzieje? Gdzie jest Ben? Gdzie Dumbo? Nasza mała drużyna traciła po kolei wszystkich członków. Rozdzielenie się było wielkim błędem, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Ktoś grał z nami w kotka i myszkę. I ogrywał nas z dziecinną łatwością.

Albo ogrywali. *Po tym jak urwaliśmy się z Dayton, Vosch wysłał za nami w pościg dwa oddziały.*

To było to. To musieli być oni. Odnalazł naszą kryjówkę jeden z tych oddziałów. Albo oba. Zbyt długo tutaj siedzieliśmy. Czemu tak długo zwlekaliśmy? Ano tak - jakiś truposz obiecał, że mnie odnajdzie. Z zamkniętymi oczami rzuciłam się w nieznane, a teraz byłam zaskoczona, że nie czekało na mnie bezpieczne lądowanie. To moja wina. Cokolwiek się tu stanie, to ja za to odpowiadam.

Winda była niewielka, ale w tych ciemnościach wydawała się ogromna jak stadion. Sparaliżowana strachem i wątpliwościami tkwiłam w bezruchu w tej mrocznej, cichej studni, a wokół mnie rozciągała się martwa, bezdźwięczna pustka. Choć nikt mi tego nie powiedział, wiedziałam, że Ben nie da żadnego sygnału. Podobnie jak wiedziałam, że Evan nigdy się nie pojawi, choć nie miałam pojęcia, skąd to wiem.

Nigdy nie wiadomo, kiedy dotrze do ciebie cała prawda. Nie można sobie wybrać określonego momentu. To on wybiera nas. Już wcześniej miałam okazję stawić czoła prawdzie, która dopadła mnie w tej lodowatej, ciemnej przestrzeni, ale ją odrzuciłam. Nie chciałam jej przyjąć, więc teraz do mnie przyszła.

Ostatniej nocy z Evanem staliśmy się jednością, nie było miejsca, w którym zaczynałoby się jedno, a kończyło drugie, a dziś stawałam się jednością z otaczającym mnie mrokiem. Obiecywał, że mnie znajdzie. *Zawsze cię odnajduję, prawda*? A ja mu uwierzyłam. Mimo że na początku nie potrafiłam mu zaufać, uwierzyłam w ostatnie słowa, jakie do mnie powiedział.

Przycisnęłam twarz do zimnych metalowych drzwi. Miałam poczucie, że spadam w wielokilometrową, niekończącą się pustkę. Już nigdy się nie zatrzymam. *Jesteście jak jętki. Mija dzień i już was nie ma.* To nieprawda. Wciąż tu jestem. To ty zniknąłeś, Evanie.

- Wiedziałeś o tym, od kiedy opuściliśmy tę farmę - szepnęłam do siebie. - Byłeś pewien, że zginiesz. A mimo to poszedłeś.

Nie potrafiłam już dłużej ustać. Nie miałam innego wyboru. Osunęłam się na kolana. Spadałam. Nigdy nie przestanę spadać. *Zapomnij o tym, Cassie. Daj spokój.*

Zapomnieć? Przecież ja spadam, Evan. Spadam.

Wiedziałam jednak, co miał na myśli.

Nie potrafię o nim zapomnieć. Naprawdę. Powtarzałam sobie tysiące razy, że nie mógł tego przeżyć. Że czekanie w tym zapchlonym hotelu nie ma sensu, jest niebezpieczne, idiotyczne i samobójcze. Wciąż jednak kurczowo trzymałam się jego obietnicy, wiedząc, że jeśli przestanę w nią wierzyć, to będę musiała o nim zapomnieć.

- Nienawidzę cię, Evanie Walkerze - szepnęłam w pustkę. Pustka - ta na zewnątrz i ta wewnątrz mnie - odpowiedziała ciszą. Nie mogłam się cofnąć. Nie mogłam ruszyć do przodu. Nie mogłam dalej wierzyć. Nie mogłam zapomnieć. Nie mogłam, nie mogłam, nie mogłam. A co mogłam?

Podniosłam głowę do góry. To mogłam.

Wstałam. To również mogłam.

Zebrałam siły i wsunęłam palce w szparę w drzwiach.

- Wychodzę - szepnęłam do próżni. – Zapominam o tym.

Szarpnęłam, otwierając drzwi. Windę zalało światło, które wypłoszyło wszystkie cienie.

# 14

Wyszłam na korytarz na parterze wyglądający jak minia- lura całego naszego nowego wspaniałego świata. Stłuczone szkoło. Góry śmieci piętrzące się w kątach jak jesienne liście naniesione przez wiatr. Martwe owady leżące na grzbietach. Przenikliwy ziąb. Cisza, w której słyszysz jedynie swój oddech. Kiedy ucichł Szum, nadeszło Wyciszenie.

Żadnego śladu Bena. Coś się musiało z nim stać pomiędzy pierwszym piętrem a parterem. I nie było to nic dobrego. Skierowałam się w stronę drzwi prowadzących na schody, walcząc jednocześnie z instynktem, który nakazywał mi zbierać dupę w troki i biec do Sama, nim zniknie jak Ben, Dumbo, Pączek, Filiżanka i cała reszta mieszkańców naszej planety.

Pod moimi butami chrzęścił gruz. Miałam przemarznięte policzki i dłonie. Zaciskając je na karabinie, mrużyłam oczy przed słabym światłem gwiazd, które po wyjściu z całkowicie ciemnej windy wydawało się oślepiające.

Powoli. Ostrożnie. Żadnych błędów.

Dotarłam do wejścia na schody. Dobre pół minuty trzymałam rękę na klamce, przyciskając ucho do drewna, ale słyszałam jedynie bicie własnego serca. Delikatnie uchyliłam drzwi na kilka centymetrów i zajrzałam do środka. Ciemność totalna. Cisza. *Niech to szlag! Gdzie ty się podziewasz, Parish?*

Musiałam iść na górę. Wśliznęłam się na klatkę schodową. Drzwi zatrzasnęły się z cichym trzaskiem. Znów otoczył mnie mrok, tym razem jednak nie zamierzałam go wpuszczać do swego wnętrza.

W powietrzu unosił się cierpki odór śmierci. Wmawiałam sobie, że to pewnie szczury. Albo szop czy jakieś inne leśne stworzenie, które utknęło w tym miejscu. Wdepnęłam w coś miękkiego, pod moim obcasem trzasnęły drobne kostki. Otarłam podeszwę o krawędź stopnia. Bałam się, że się pośliznę, spadnę, skręcę kark i będę tu leżeć do czasu, aż ktoś mnie znajdzie i przestrzeli mi łeb. Nie chciałam tego.

Wdrapałam się na półpiętro. *Jeszcze tylko kilka schodów. Weź głęboki oddech. Jesteś już prawie na miejscu.* Nagle huknął strzał, po nim jeszcze jeden i następny, a po chwili wybuchła taka kanonada, jakby ktoś opróżniał cały magazynek. Kilkoma susami pokonałam

pozostałe schody, uderzyłam ramieniem w drzwi prowadzące na korytarz i popędziłam w stronę pokoju, gdzie zostawiłam swojego braciszka - pokoju, z którego ktoś wyrwał drzwi - gdy nagle potknęłam się o coś miękkiego i pofrunęłam w powietrze, z całej siły waląc następnie o podłogę. Zerwałam się i rzuciłam okiem za siebie, dostrzegając leżącego bez ruchu Bena Parisha, jego rozłożone ramiona i ciemną plamę krwi przesączającą się przez ten idiotyczny żółty kaptur. Wtem usłyszałam krzyk Sama. Jeszcze nie było za późno, jeszcze mogłam dorwać tego sukinsyna! Wpadłam do pokoju, dostrzegając wysoki cień pochylający się nad moim malutkim braciszkiem, który bezskutecznie szarpał raz za razem za spust opróżnionego pistoletu.

Strzeliłam. Cień zawirował i rzucił się naprzód, próbując limie dosięgnąć. Kopnęłam go w kark i wbiłam mu lufę karabinu w potylicę.

- Obawiam się, że pomyliłeś pokoje - wysapałam, nie potrafiąc złapać oddechu.

# III
# OSTATNIA GWIAZDA

W dzieciństwie śniły mu się sowy.

Od lat nie myślał o tym śnie. Wspomnienie wróciło, gdy zaczęło uchodzić z niego życie.

I nie było miłe.

Siedzący na parapecie ptak nie spuszczał spojrzenia wielkich żółtych oczu z wnętrza jego pokoju. Ruszały się tylko jego powieki mrugające z rytmiczną powolnością.

Przyglądając się patrzącej na niego sowie, czuł niezrozumiały, paraliżujący lęk, nie był w stanie przywołać matki, a po wszystkim przez wiele dni towarzyszyło mu chorobliwe, gorączkowe i przyprawiające o mdłości wrażenie ciągłego bycia obserwowanym.

Sny zniknęły, gdy skończył trzynaście lat. Doznał przebudzenia - ukrywanie prawdy stało się zbędne. Jego przebudzony umysł będzie potrzebował darów przyniesionych przez sowę, gdy nadejdzie na to pora. Zrozumiał znaczenie tych snów, gdy powiedziano mu, co ma robić.

*Przygotuj się. Oczyść nam drogę.*

Sowa była kłamstwem mającym chronić wrażliwą psychikę nosiciela. Po przebudzeniu zastąpiło ją kolejne kłamstwo: jego życie. To człowieczeństwo okazało się następnym łgarstwem, maską, snem jak ten o sowie tkwiącej w mroku.

A teraz umierał. Kłamstwo odchodziło razem z nim.

Nie pojawił się żaden ból. Nie odczuwał przenikliwego zimna. Miał wrażenie, że jego ciało unosi się w ciepłym, bezkresnym morzu. Połączenia transportujące sygnały alarmowe z nerwów do centrum odczuwania bólu w mózgu zostały odłączone. Bezbolesna, delikatna przemiana jego ludzkiego ciała w nicość była ostatnim darem.

Później, gdy zginie ostatni człowiek, czeka go odrodzenie.

Nowe ludzkie ciało, pozbawione pamięci o człowieczeństwie. Zapomni o tych osiemnastu latach. Znikną na zawsze wspomnienia i związane z nimi uczucia. Nic nie było w stanie zaradzić agonii wynikającej z tej świadomości.

Stracone. Wszystko stracone.

Wspomnienie jej twarzy. Stracone. Czas spędzony razem. Stracony. Walka o to, kim naprawdę był. Przegrana.

W zimowej ciszy lasu, unosząc się na bezkresnym morzu, próbował sięgnąć w jej stronę, a ona mu się wymykała.

Wiedział, jak się to skończy. Od zawsze. Gdy tylko odkopał ją ze śniegu i otoczył opieką, pomagając się pozbierać, zrozumiał, że zapłaci za to życiem. Dziś dobry uczynek to grzech, a ceną miłości jest śmierć. Nie cielesna, ciało było kłamstwem. Prawdziwa śmierć. Śmierć człowieczeństwa. Duszy.

Dryfując na bezkresnym morzu pośród skutych mrozem lasów, wyszeptał jej imię, powierzając wspomnienie podmuchom wiatru, ciszy panującej wśród strzegących go drzew i opiece wiernych gwiazd, jej imienniczek, czystych i wiecznych. Zawierzył im nieskończony wszechświat, kryjący się w jej wnętrzu:

Cassiopeia.

Zbudził go ból.

Oślepiające fale w głowie, piersiach, rękach, kostce. Cała skóra płonąca żywym ogniem, jakby ktoś zanurzył go we wrzątku.

Kruk przycupnięty na gałęzi nad jego głową przyglądał mu się z królewską obojętnością. Przemknęło mu przez głowę, że ten świat należy do kruków. Pozostali byli jedynie intruzami, których czas szybko przemijał.

Pomiędzy gałęziami unosiła się smuga dymu: ognisko. Oraz woń mięsa skwierczącego na patelni.

Opierał się o drzewo okryty ciężkim wełnianym kocem, mając pod głową zimową kurtkę służącą za poduszkę. Unosząc powoli głowę o jakiś centymetr, natychmiast zrozumiał, że wszelki ruch nadal jest niewskazany.

W jego polu widzenia pojawiła się wysoka dziewczyna z naręczem drewna. Zniknęła na chwilę, dokładając do ognia.

- Dzień dobry.

Jej głos był niski, melodyjny i mgliście znajomy. Usiadła przy nim, podciągając kolana pod brodę i oplatając je długimi ramionami. Jej twarz również wyglądała znajomo. Jasnoskóra blondynka, nordyckie rysy twarzy księżniczki wikingów.

- Znam cię - szepnął. Paliło go w gardle. Przytknęła mu manierkę do zeschniętych ust, pojąc przez dłuższą chwilę.

- To dobrze - ucieszyła się. - Zeszłej nocy majaczyłeś. Bałam się, że odniosłeś jakieś poważniejsze obrażenia niż wstrząs mózgu.

Podniosła się z ziemi i znów zniknęła mu z oczu. Gdy wróciła, niosła przed sobą patelnię. Położyła ją na ziemi i znów usiadła obok. Wpatrywała się w niego z tą samą wyniosłą obojętnością co widziany przed chwilą ptak.

- Nie jestem głodny - zaprotestował.

- Musisz jeść. - To nie była prośba, tylko stwierdzenie faktu. - Zrobiłam ci potrawkę ze świeżo upolowanego królika.

- Jest źle?

- Wcale nie. Potrafię gotować.

Zmusił się do uśmiechu, potrząsając głową. Wiedziała przecież, o co pyta.

- Jest źle - potwierdziła w końcu. - Szesnaście złamanych kości, pęknięcie czaszki, oparzenia drugiego stopnia na całym ciele. Ale za to wciąż masz włosy. To dobra wiadomość.

Nabrała łyżką odrobinę potrawki i podniosła ją do ust, dmuchając delikatnie i oblizując krawędź.

- A złe wieści?

- Masz poważnie roztrzaskaną kostkę. Zrośnięcie zajmie sporo czasu. Co do reszty... - Wzruszyła ramionami, siorbnęła odrobinę potrawki i skrzywiła usta. - Więcej soli...

Przyglądał się, jak grzebie w plecaku, szukając przypraw.

- Grace. Masz na imię Grace.

- Między innymi - potwierdziła, a potem podała mu swoje prawdziwe imię, to które nosiła od dziesiątków tysięcy lat. - Ale jeśli mam być szczera, Grace bardziej mi odpowiada. Zdecydowanie łatwiejsze do wymówienia.

Zamieszała potrawkę i podsunęła łyżkę do jego ust. Sama myśl o jedzeniu sprawiła, że zacisnął je jeszcze mocniej. Wzruszyła ramionami, jedząc dalej.

- Najpierw mi się wydawało, że to jakieś szczątki po wybuchu - mówiła dalej. - Nie spodziewałam się, że znajdę kapsułę ratunkową, na dodatek z tobą w środku. Co się stało z systemem naprowadzającym? Wyłączyłeś go?

- Awaria - odpowiedział ostrożnie po krótkim namyśle.

- Awaria?

- Awaria - potwierdził pewniejszym głosem. Znów piekło go w gardle. Podsunęła mu menażkę do ust.

- Nie pij za dużo - ostrzegła. - Zrobi ci się niedobrze.

Otarła wodę cieknącą mu po podbródku.

- Wdarli się do bazy - wyjaśnił.

- Jak? - Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

Pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Strasznie mnie ciekawi, co ty tam robiłeś.

- Śledziłem kogoś.

To nie miało prawa się udać. Jak na kogoś, kto spędził całe życie w kłamstwie, niezbyt dobrze sobie radził z mówieniem nieprawdy. Wiedział, że Grace nie zawaha się nawet przez chwilę przed

zlikwidowaniem jego ciała, jeśli tylko zacznie podejrzewać, że był jednym z tych, którzy „wdarli się” do bazy.

Wszyscy znali zagrożenia wynikające z korzystania z ludzkich powłok. Dzielenie ciała i psychiki mogło doprowadzić do przejęcia ludzkich wad. Oraz ludzkich zalet. A miłość była o wiele groźniejsza niż chciwość, pożądliwość, zazdrość czy jakiekolwiek inne uczucie.

- Śledziłeś kogoś? Człowieka?

- Nie miałem innego wyjścia.

To przynajmniej było prawdą.

- Jakiś człowiek wdarł się do bazy. - Potrząsnęła głową z wyraźnym zaskoczeniem. - A ty zszedłeś z patrolu, by go powstrzymać. - Zamknął oczy, jakby znów miał zapaść w drzemkę. Zapach jedzenia przyprawiał go o mdłości. - Bardzo ciekawe - kontynuowała Grace. - Zawsze istniało ryzyko, że coś się nie uda w centrum przetwarzania. Ale jak człowiek z twojego sektora mógł zdobyć jakąkolwiek wiedzę o oczyszczaniu?

Chowanie głowy w piasek nie skutkowało. Otwarł oczy. Kruk wciąż tkwił na gałęzi. Patrząc w jego ślepia, przypomniał sobie sowę na parapecie i przerażenie chłopca leżącego w łóżku.

- Nie jestem pewien, czy cokolwiek wiedziała.

- Ona?

- Tak. To była... samica.

- Cassiopeia.

- Skąd... - zapytał, nim zdążył się powstrzymać, patrząc na nią uważnie.

- Przez ostatnie trzy dni sporo się nasłuchałam.

- Trzy dni? - Poczuł przyspieszone bicie serca. Musiał ją o to zapytać, choć wiedział, że nie może. Wzbudziłby tylko jeszcze większe podejrzenia. To byłaby głupota. - Wydaje mi się, że mogła uciec - powiedział zamiast tego.

- Nawet jeśli, to na pewno ją znajdziemy - stwierdziła Grace z uśmiechem.

Powoli wypuścił powietrze z płuc. Nie miała powodu go okłamywać. Gdyby znalazła Cassie, zabiłaby ją na miejscu i opowiedziałaby mu o tym bez żadnych oporów. Wciąż jednak nie miał pewności, czy Cassie ocalała.

Grace ponownie sięgnęła do plecaka i wydobyła z niego butelkę maści.

- To na oparzenia - wyjaśniła. Ostrożnie podniosła koc, wystawiając jego nagie ciało na podmuchy lodowatego powietrzą. Kruk na gałęzi nie spuszczał z nich oka, przekrzywiając głowę.

Zimna maść. Ciepłe ręce. Grace ocaliła go z ognia, on uratował Cassie od mrozu. Przeniósł ją na własnych plecach na starą farmę, rozebrał i zanurzył jej skute lodem ciało w gorącej wodzie. Grace namaszczała jego ciało pewnymi ruchami dłoni, tak jak on wydłubywał z gęstych włosów Cassie kawałki lodu. Podczas gdy ona unosiła się w coraz mocniej różowiejącej wodzie, wyciągnął z jej ciała kulę. Tę, która miała trafić w jej serce. Własną kulę. Później wyjął Cassie z wanny, obandażował rany i położył ją w łóżku swojej siostry, starając się odwracać wzrok, gdy ubierał ją w nocną koszulę - byłaby przerażona, gdyby uświadomiła sobie, że widział ją nago.

Grace przyglądała mu się uważnie. On tamtego wieczoru starał się nie odrywać wzroku od pluszowego misia leżącego na poduszce. Nakrył Cassie kołdrą po samą brodę. Grace naciągnęła na niego koc.

„Przeżyjesz” - powtarzał wtedy, choć była to bardziej modlitwa niż obietnica.

- Przeżyjesz - stwierdziła Grace.

„Musisz przeżyć” - mówił.

- Muszę przeżyć - powiedział.

Przyglądała mu się, przekrzywiając głowę jak kruk wciąż siedzący na gałęzi, jak sowa przycupnięta na parapecie.

- Wszyscy musimy. - Pokiwała powoli głową. - Po to tu jesteśmy.

Pochyliła się do przodu, całując go delikatnie w policzek. Ciepły oddech, chłodne usta, delikatny zapach dymu z ogniska. Jej wargi zsunęły się niżej, szukając jego ust. Odwrócił głowę.

- Skąd wiedziałeś, jak miała na imię? - szepnęła mu do ucha. - Cassiopeia. Jak ją poznałeś?

- Znalazłem jej porzucony obóz. Zostawiła pamiętnik...

- Aha. I tak się dowiedziałeś, że chce zaatakować bazę?

-Tak.

- Mhm. Teraz to ma jakiś sens. Napisała może, czemu się na to porwała?

- Jej brat... zabrali go z obozu dla uchodźców, zawieźli do Wright-Patterson... jej udało się uciec...

- Niesamowite. A potem zdołała obejść nasz system obronny i zniszczyć całe centrum dowodzenia. Jeszcze bardziej niesamowite. Wręcz niewiarygodne.

Podniosła patelnię i wylała resztę zawartości w krzaki, a potem stanęła nad nim. Prawie dwumetrowa, olbrzymia blondynka o zaróżowionych policzkach. Być może z zimna, być może od pocałunku.

- Odpocznij - poleciła. - Wydobrzałeś już na tyle, byśmy pod wieczór mogli ruszać dalej.

- Dokąd? - zapytał Evan Walker.

- Do mnie - poinformowała z uśmiechem.

# 17

O zachodzie słońca Grace zasypała ognisko, przerzuciła plecak i karabin przez ramię i zgarnęła Evana z ziemi, ruszając w dwudziestopięciokilometrową wędrówkę na południowe przedmieścia Urbany, gdzie mieściła się jej baza wypadowa. Postanowiła trzymać się autostrady. Na tym etapie gry ryzyko było znikome: od tygodni nie natknęła się na żadnego człowieka. Ci, których nie zdołała zabić, zostali zapakowani do autobusów lub pochowali się przed atakiem zimy. To był czas przechodni. Niebawem - za rok, dwa, maksymalnie pięć lat - zginie ostatni człowiek, a oni będą mogli wyjść z ukrycia.

Po zmroku zrobiło się jeszcze zimniej. Północny wiatr pędził poszarpane chmury po granatowym niebie, bawiąc się grzywką Grace i kołnierzykiem jej kurtki. Zaświeciły pierwsze gwiazdy, a blask księżyca zamienił ciągnącą się przed nimi autostradę w srebrzystą wstęgę wijącą się pomiędzy ogarniętymi martwotą polami, pustymi działkami i skorupami od dawna opuszczonych budynków.

Zatrzymała się tylko raz, by się napić, odpocząć i zaaplikować maść na rany Evana.

- Masz w sobie coś dziwnego. - Zamyśliła się. - Ale nie potrafię wychwycić, co to jest.

Jej palce rozprowadzały maść po całym jego ciele.

- Moje przebudzenie nie należało do najłatwiejszych - przypomniał. - Wiesz przecież.

Westchnęła z rezygnacją.

- Straszna z ciebie zbolała maruda, Evanie - stwierdziła, owijając go ponownie kocem. Jej długie palce zanurzyły się w jego włosach. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czuję, że czegoś mi nie mówisz. - Milczał. - Czuję to - powtórzyła. - Zauważyłam to już tej nocy, gdy wywlekłam cię z wraku. - Zastanawiała się przez chwilę. - Tak jakby w twojej głowie pojawił się zamknięty pokój, którego wcześniej nie było.

- Niczego nie ukrywam. - Miał wrażenie, że jego słowa brzmią równie głucho jak wycie wiatru.

Grace parsknęła śmiechem.

- W twoim przypadku procedura integracyjna nie była dobrym pomysłem. Masz dla nich zbyt wiele współczucia, by stać się jednym z nich.

Podniosła go z łatwością jak matka dźwigająca nowo narodzone dziecko. Uniosła twarz ku niebu.

- Widzę ją! - Westchnęła z radością. - Cassiopeia, królowa nocy. - Oparła głowę o czubek jego głowy. - Nasze polowanie dobiegło końca.

# 18

Kryjówka Grace mieściła się w parterowej drewnianej chacie przy autostradzie 68, dokładnie pośrodku wyznaczonego jej sektora patrolowego obejmującego dziesięć kilometrów kwadratowych. Dom był w takim samym stanie jak wtedy, gdy go znalazła, ograniczyła się do zabicia okien deskami i naprawy drzwi zewnętrznych. Na ścianach wciąż wisiały portrety rodzinne oraz pamiątki zbyt wielkie, by się ich łatwo pozbyć, a we wszystkich pokojach walały się szczątki rozwalonych mebli, puste szuflady i tysięczne fragmenty życia poprzednich mieszkańców uznane przez szabrowników za zupełnie bezwartościowe. Grace nie zawracała sobie głowy sprzątaniem tego bałaganu. Gdy wraz z wiosną nadejdzie koniec piątej fali, porzuci to miejsce.

Zaniosła Evana do sypialni na tyłach budynku, pełnego zabawek dziecięcego pokoju oklejonego niebieską tapetą, w którym z sufitu zwieszał się przekrzywiony model Układu Słonecznego. Ułożyła go na jednym z bliźniaczych łóżek. Na zagłówku pozostały wydrapane przez dziecko inicjały: K.M. Kevin? Kyle? W pomieszczeniu było dość ciemno, Grace również i tutaj zabiła okno deskami, ale mając wzrok znacznie czulszy niż ludzie, Evan dostrzegł na jednej ze ścian ciemne plamy krwi znaczące miejsce czyjejś agonii.

Zostawiła go samego, by wrócić chwilę później z bandażami i świeżą maścią. Błyskawicznie opatrzyła mu rany, jakby ponaglała ją jakaś pilna sprawa. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki znów nie nakryła go kocem.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytała. - Jesteś głodny? Chcesz do łazienki?

- Ubrania.

- Zły pomysł. - Pokręciła głową. - Oparzenia będą się goić jeszcze przez tydzień. Kostka pewnie dwa do trzech tygodni.

Wiedział, że nie ma trzech tygodni. Już trzy dni to było zbyt długo. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może będzie musiał pozbyć się Grace.

- Wołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebował - poprosiła, dotykając jego policzka. Staraj się nie nadwyrężać tej kostki. Muszę uzupełnić zapasy, nie spodziewałam się towarzystwa.

- Długo cię nie będzie?

- Najwyżej parę godzin. Spróbuj się przespać.

- Potrzebuję jakiejś broni.

- Przecież w promieniu setek kilometrów nikogo nie ma. - Uśmiechnęła się do niego. - Ach. Niepokoisz się tą sabotażystką?

- Tak. - Pokiwał głową.

Wsunęła mu do ręki pistolet.

- Tylko mnie nie zastrzel.

- Dobrze. - Zacisnął palce na kolbie.

- Zapukam, nim wejdę.

Ponownie skinął głową.

- Dobry pomysł.

- Atak na bazę załatwił nasze drony - przypomniała sobie, zatrzymując się przy drzwiach.

- Wiem.

- Co oznacza, że nie jesteśmy monitorowani. Jeśli coś się stanie jednemu z nas, któremukolwiek z nas...

- Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie? Przecież jest już prawie po wszystkim.

Grace pokiwała głową w zamyśleniu.

- Myślisz, że będzie nam ich brakowało?

- Ludzi?

Próbowała żartować? To do niej nie pasowało.

- Nie pytam o tych tam. - Zatoczyła gest dłonią, wskazując na ściany i świat poza nimi, a potem położyła ją na piersi. - Tych tutaj, w środku.

- Nie będziesz tego pamiętać, więc nie będzie ci tego brakować.

- Wydaje mi się, że zachowam jej wspomnienia. To była radosna dziewczynka.

- W takim razie również nie będzie ci jej brakowało.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Przed chwilą chciała wyjść, a wciąż stała w miejscu. Dlaczego nie wychodzi?

- Nie zatrzymam wszystkich wspomnień - wyjaśniła. - Tylko te dobre.

- Grace, wiesz przecież, że właśnie o to martwię się od samego początku. Im dłużej bawimy się w ludzi, tym bardziej jesteśmy tacy jak oni.

Zmierzyła go zagadkowym spojrzeniem.
- Kto się bawi w ludzi? - zapytała.

Odczekał, aż odgłos jej kroków ucichnie całkowicie. Zapadła cisza przerywana jedynie odgłosem wiatru świszczącego w szparach między deskami zabezpieczającymi okna. Jego słuch był równie czuły jak wzrok - stąd usłyszałby nawet to, jak Grace czesze włosy na werandzie.

Najpierw pistolet. Sprawdził magazynek. Tak jak się spodziewał, nie było w nim ani jednego naboju. Już wcześniej wydawało mu się, że broń jest zbyt lekka. Ironia tej sytuacji sprowokowała Evana do cichego śmiechu. W końcu ich podstawowym celem nie było zabijanie, tylko sianie niepokoju wśród ocalałych, by zagonić ich jak owce do rzeźni takich jak Wright-Patterson. A jeśli siewcy niepokoju są również jego kosiarzami? Kosiarze. Z trudem powstrzymał atak histerycznego śmiechu.

Odetchnął głęboko. Zabolało. Usiadł. Pokój zawirował mu przed oczami. Przymknął powieki. Błąd. Zawroty głowy stały się gwałtowniejsze. Popatrzył przed siebie, zmuszając się do wytrwania w wyprostowanej pozycji. Jego ciało zostało przygotowane do przebudzenia. To była prawda kryjąca się we śnie o sowie. Zapomniana tajemnica przysłonięta warstwą wspomnień. Podobne dary dostarczono pod osłoną nocy dziesiątkom tysięcy śpiących dzieci, takich jak on i Grace. Dary, które miały przydać im się w przyszłości. Dary, które przemieniły ich ciała w skuteczną broń, ponieważ architekci całej inwazji zrozumieli prostą, choć z pozoru paradoksalną prawdę: to ciało kieruje umysłem.

Obdarzywszy kogoś boskimi mocami, sprawiamy, że staje się jak bogowie: obojętny i nieczuły.

Ból ustępował, zawroty głowy stawały się coraz słabsze. Przewiesił nogi przez krawędź łóżka. Musiał sprawdzić, czy strzaskana kostka go utrzyma. Tylko to miało znaczenie. Z resztą obrażeń jakoś sobie poradzi, były poważne, ale niczym mu nie groziły. Delikatnie oparł stopę na podłodze, czując momentalnie palącą iskrę bólu, która zmusiła go do poderwania nogi. Upadł na plecy, z trudem łapiąc oddech. Nad jego głową wisiały zakurzone planety tkwiące nieruchomo wokół wyszczerbionego Słońca.

Usiadł, czekając, aż przejaśni mu się w głowie. Musiał sobie jakoś poradzić z tym bólem, nie było sposobu, żeby go uniknąć.

Zapierając dłonie o krawędź łóżka, opuścił się powoli na podłogę. Odczekał chwilę, zmuszając się do odpoczynku. Nie musiał się spieszyć. W razie powrotu Grace może wyjaśnić, że spadł z łóżka. Centymetr po centymetrze przesuwał pośladki po dywanie, aż w końcu położył się na wykładzinie, widząc przed oczami deszcz wybuchających meteorytów, które przesłoniły wiszący mu nad głową model Układu Słonecznego. Pocił się obficie, mimo dojmującego zimna. Urwany oddech. Gwałtowne bicie serca. Rozpalona skóra. Skupił wzrok na planetach, wpatrując się w wyblakły błękit Ziemi i zakurzoną czerwień Marsa. Zaczął dryfować w zupełnie innym morzu niesiony kolejnymi falami bólu.

Deski łóżka były przybite gwoździami do ramy i przygniecione ciężarem materaca. Trudno. Wśliznął się w ciasną przestrzeń pod spodem, miażdżąc swoim ciałem chitynowe pancerze martwych owadów. Porzucony samochodzik i wygięte kończyny plastikowej figurki pochodzącej z czasów, gdy dziecięce sny zaludniali superbohaterowie. Trzema uderzeniami dłoni wyłamał jedną z desek, a potem obrócił się na brzuchu i zrobił to samo z kolejną. Czując tumany kurzu w ustach, zaczął kaszleć, wywołując huragan bólu, który kłuł go w piersiach, w boku i owijał się wokół żołądka niczym wąż.

Dziesięć minut później znów wbijał wzrok w Układ Słoneczny zaniepokojony, że Grace znajdzie go z krótkim kawałkiem deski przyciśniętym do piersi. Tego nie dałoby się już tak łatwo wyjaśnić.

Świat wciąż wirował. Planety tkwiły w bezruchu.

*Masz w głowie zamknięty pokój...* Stanął właśnie na jego progu, czując tysiące impulsów wypływających z prostej obietnicy *Odnajdę cię*. Obietnicy, która jak każda inna wymagała stworzenia własnego kodeksu moralnego. Aby jej dotrzymać, będzie musiał pokonać morze krwi.

Świat wyhamował. Planety zaczęły się kołysać.

Grace powróciła po zmroku. Światło przesączające się coraz mocniej pod drzwiami prowadzącymi na korytarz ostrzegło go przed jej nadejściem. Weszła do środka i postawiła lampę na stoliku, a jej twarz zniknęła w cieniach. Nie protestował, gdy zdjęła z niego koc i bandaże, wystawiając jego nagie ciało na pastwę lodowatego powietrza.

- Tęskniłeś? - zapytała cicho, rozprowadzając palcami maść. - Nie dziś, tylko tak w ogóle. Pamiętasz, ile wtedy mieliśmy lat? Piętnaście?

- Szesnaście - poprawił.

- Hmm. Zapytałeś, czy boję się przyszłości, pamiętasz?

- Tak.

- To było takie... strasznie ludzkie pytanie.

Masując jego skórę jedną dłonią, drugą zaczęła rozpinać guziki swojej bluzki.

- Nie aż tak jak to drugie, które ci zadałem.

Przekrzywiła głowę, patrząc na niego dociekliwie. Długie włosy opadły jej na ramię, twarz ukryła się w cieniach, a rozpięta bluzka rozchyliła się jak teatralna kurtyna.

- O co pytałeś? - szepnęła.

- Czy nie czułaś się od bardzo dawna całkowicie opuszczona.

Chłód jej dotyku. Ciepło jego poparzonej skóry.

- Strasznie wali ci serce - powiedziała prawie bezgłośnie.

Podniosła się. Zamknął oczy, przypominając sobie o obietnicy. Stojąc poza kręgiem światła rzucanego przez lampę, Grace opuściła spodnie do kostek. Nadal na nią nie patrzył.

- Nie byłam taka samotna. - Jej oddech musnął jego ucho. - Uwięzienie w tych ciałach ma swoje zalety.

Obietnica. Musiał przepłynąć morze krwi i odnaleźć Cassie wynurzającą się z niego jak odizolowana wyspa.

- Nie byłam samotna, Evanie - powtórzyła, głaskając palcami jego usta i przytykając wargi do jego szyi.

Nie miał wyjścia. Obietnica nie dopuszczała żadnych wyjątków. Grace nigdy nie pozwoli mu odejść, a jeśli spróbuje uciec, nie zawaha się go zabić. Dogoniłaby go bez trudu, nie zdołałby się przed nią schować. Nie miał wyboru.

Rozchylił powieki i pogładził ją prawą dłonią po włosach. Lewa wciąż spoczywała pod poduszką. Pozbawione potomstwa Słońce lśniło nad jego głową odbitym blaskiem lampy. Bał się, że Grace zapyta, gdzie się podziały planety, dlaczego się ich pozbył. A to nie one były mu potrzebne. Musiał zdobyć drut.
Ona jednak nie zwróciła na to żadnej uwagi. Jej myśli krążyły wokół innych rzeczy.

- Przytul mnie, Evanie - szepnęła.

Przetoczył się gwałtownie na prawy bok, uderzając ją w szczękę lewym ramieniem. Upadła na plecy, gdy zerwał się z łóżka, waląc ją barkiem w brzuch. Jej paznokcie pozostawiły głębokie zadrapania na jego poparzonych plecach. Przez chwilę pociemniało mu w oczach, ale nie musiał jej widzieć, wystarczyło, że była blisko.

Albo coś ją ostrzegło albo dopisało jej szczęście, bo zdołała opleść palce wokół zmontowanej z drutu i połamanej deski prowizorycznej garoty, którą próbował zacisnąć na jej gardle. Zdrową nogą kopnął ją i rzucił na podłogę, wbijając jej kolano w nerki.

Nie miał wyboru.

Zaciskając uchwyt, musiał przywołać wszystkie siły, jakie otrzymał od nich w darze, by drut w końcu przeciął jej dłoń i dotarł do kości.

Miotała się na wszystkie strony przytłoczona jego ciężarem. Prawym kolanem docisnął jej głowę do ziemi. Mocniej, leszcze mocniej. Zapach krwi. Jego krwi. Jej krwi.

Świat zaczął wirować. Tonąc w morzu krwi, jej krwi, swojej krwi, Evan Walker zacisnął mocniej uchwyt.

Po wszystkim podczołgał się do łóżka i podniósł wyłamaną deskę. Niezbyt dobrze nadawała się na laskę, była zbyt krótka i musiał trzymać ją pod niewygodnym kątem, ale nie miał innego wyboru. Pokuśtykał do sąsiedniej sypialni, gdzie znalazł porozrzucane ubrania: dżinsy, gładką koszulę, sweter wydziergany na drutach i skórzaną kurtkę ozdobioną na plecach nazwą drużyny kręglarskiej, do której należał poprzedni właściciel: Tumany z Urbany. Materiał ocierał się o jego poparzoną skórę, a każdy ruch wywoływał kolejne natarcie bólu. Powłócząc nogami, przeszedł do salonu, gdzie znalazł karabin i plecak Grace. Przerzucił je sobie przez ramię.

Sprawdził zawartość plecaka kilka godzin później, podczas odpoczynku pod osłoną plątaniny ośmiu wraków, które zbiły się na autostradzie w coś w rodzaju wielkiego gniazda. Znalazł w nim kilkadziesiąt opisanych czarnym mazakiem woreczków strunowych - zawierały pojedyncze kosmyki ludzkich włosów. Z początku nie rozumiał, na co patrzy. Opisane skrupulatnie datami woreczki z włosami z niczym mu się nie kojarzyły. Aż wreszcie do niego dotarło: Grace kolekcjonowała pamiątki po swoich ofiarach.

To ciało kieruje umysłem.

Znalazł dwa kawałki metalu i za pomocą resztek bandaża usztywnił kostkę prowizoryczną szyną. Upił odrobinę wody. Ciało domagało się snu, ale Evan nie mógł sobie na to pozwolić, musiał dotrzymać obietnicy. Uniósł twarz ku punkcikom czystego światła migocącym w bezkresnych ciemnościach nad jego głową. *Przecież wiesz, że zawsze cię odnajduję.*

Reflektor pobliskiego samochodu eksplodował nagle chmurą szkła i plastikowych odłamków. Evan rzucił się pod najbliższy samochód, ciągnąc za sobą karabin.

Grace. To musiała być ona. Jakoś przeżyła.

Zbyt szybko uznał, że ma ją z głowy. Miał zbyt wielkie na dzieje, zbyt wiele przyjął za pewnik. Utknął w pułapce bez wyjścia, uświadamiając sobie w jednej chwili, w jak niespodziewany sposób spełniła się jego obietnica: znalazł Cassie, stając się takim jak ona.

Ranny, uwięziony pod samochodem, niezdolny do walki czy ucieczki, skazany na miłosierdzie niewidocznego, bezlitosnego zabójcy, uciszacza stworzonego do tropienia ludzi.

Mieli po szesnaście lat, gdy po raz pierwszy spotkał Grace, u raczej natknął się na nią na jarmarku w Hamilton. Czekał przed wejściem do namiotu z niewielkim zoo, słuchając Val, swojej młodszej siostry, która odkąd tam rano przyjechali, marudziła, że chce zobaczyć białego tygrysa. Był wrzesień. Kolejka zdawała się nie mieć końca. Val była zmęczona, spocona i naburmuszona. Evan próbował ją zniechęcić: widok zwierząt w niewoli budził w nim niepokój. Patrząc na nie, miał wrażenie, że dostrzega jakieś obce spojrzenie kryjące się w głębi ich oczu.

Pierwszy raz wpadł na Grace obok stoiska z goframi. Trzymała w dłoni ociekający sokiem kawałek arbuza. Jasne włosy sięgające do połowy pleców, chłodne, lodowate wręcz piękno jej twarzy, zwłaszcza mroźnych, błękitnych oczu, cyniczne skrzywienie lśniących wilgotnych ust. Spojrzała na niego, na co on odwrócił wzrok, patrząc na siostrzyczkę, której zostały niecałe dwa lata życia. Nosił tę świadomość w głowie zamkniętą w kolejnym ukrytym pokoju. Czasem nie potrafił się pogodzić z tym, że każda twarz, jaką znał, już wkrótce będzie należeć do nieboszczyka. Jego świat zaludniały żyją ce duchy.

- Na co patrzysz? - zapytała Val.

Odwrócił głowę. To nic takiego. Odetchnął głęboko i spojrzał ponownie w stronę wysokiej blondynki. Dziewczyna zniknęła. Wewnątrz dusznego namiotu małe dzieci tłoczyły się przed klatką z drucianej siatki, w której ciężko dyszał biały tygrys. Rodzice z telefonami i kamerami filmowali zza ich pleców. Zwierzę reagowało na to wszystko z królewską obojętnością.

- Piękny. - W uchu Evana zabrzmiał czyjś chrapliwy szept. Nie odwrócił się, wyczuwając, że to ta sama długowłosa blondynka, której usta lśniły od soku z arbuza. Jej nagie ramię ocierało się o niego w tłoku.

- I smutny - odpowiedział.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Grace. - Mógłby się stamtąd wyrwać w dwie sekundy. Odgryźć temu dziecku głowę. Ale wybrał pozostanie w klatce. To piękne.

Spojrzał na nią. Z bliska jej oczy były jeszcze bardziej zachwycające. Zmiękły mu kolana, gdy wbiła wzrok w jego twarz. Zrozumiał wtedy, co kryje się wewnątrz ciała należącego do Grace.

- Powinniśmy pogadać - szepnęła.

O zmierzchu na diabelskim młynie rozbłysły światła, tandetna muzyka zrobiła się jeszcze głośniejsza, a tłum złożony z rozsiewających za sobą kokosową woń kremu do opalania ludzi w wystrzępionych szortach i klapkach, wśród których kręcili się brzuchaci mężczyźni o dłoniach pokrytych odciskami, człapiący dostojnie z wypchanymi tylnymi kieszeniami kryjącymi portfele przymocowane klamerką do paska, rozproszył się po całym jarmarku. Evan odprowadził Val do matki, a potem wrócił pod diabelski młyn, gdzie z narastającym niepokojem oczekiwał na Grace. Wyłoniła się z tłumu, taszcząc ze sobą wielkiego pluszowego białego tygrysa o błękitnych plastikowych oczach odrobinę tylko ciemniejszych niż jej własne.

- Jestem Evan - przedstawił się.

- Grace.

Spojrzeli na wielkie koło obracające się na tle fioletowego nieba.

- Myślisz, że będzie nam tego brakować? - zapytał.

- Mnie nie. - Zmarszczyła nos. - Okropnie cuchną. Nie mogę się przyzwyczaić.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem żadnego z...

Dziewczyna skinęła głową.

- Ja też. Myślisz, że to przypadek?

- Nie.

- Wcale się tu nie wybierałam, ale rano, po przebudzeniu, jakiś głosik we mnie powiedział: „jedź”. Też go usłyszałeś?

- Tak. - Tym razem to on pokiwał głową.

- To dobrze - w jej głosie zadźwięczała ulga. - Od trzech lat się zastanawiam, czy przypadkiem nie oszalałam.

- Nie.

- Ciebie to nie martwi?

- Już nie.

- Przejdziemy się? - zaproponowała z filuternym uśmiechem na ustach.

Przysiedli na trybunach otaczających opustoszałą arenę wystawową, na której jeszcze niedawno oglądali zwierzęta. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy, a powietrze mimo ciepłej nocy przyniosło nieco wilgoci. Grace miała na sobie białą bluzeczkę bez rękawów

ozdobioną koronkowym kołnierzykiem oraz szorty. Siedząc obok, mógł wyczuć bijącą od niej woń lukrecji.

- Tak to właśnie będzie wyglądało - stwierdził, wskazując na puste zagrody, w których walały się trociny i zwierzę ce odchody.

- Co?

- Przyszłość.

Zaśmiała się, jakby usłyszała świetny dowcip.

- Nowy początek po końcu świata. Zawsze tak jest.

- Nie boisz się tego, co nas czeka? W ogóle?

- W ogóle. - Przytuliła mocniej pluszowego tygrysa. Jej oczy zdawały się zmieniać kolor w zależności od tego, na co patrzyła. Gdy spoglądała w ciemniejące niebo, stawały się czarne jak bezdenna otchłań.

Przez kilka minut próbowali rozmawiać w swoim rodzimym języku, ale okazało się to trudne i szybko się zniechęcili. Zbyt wielu słów nie dało się wymówić. Zauważył jednak, że trochę ją to uspokoiło. Faktycznie nie bała się przyszłości, to przeszłość była dla niej przerażająca, lęk, że istota w jej wnętrzu może być jedynie wymysłem zrodzonym w okaleczonym umyśle ludzkiej dziewczynki. Dzięki spotkaniu z Evanem zyskała potwierdzenie prawdziwości swej egzystencji.

- Nie jesteś sama - uspokoił ją i spuścił wzrok, odkrywając, że trzyma Grace za rękę. Jedną dłoń dała jemu, drugą tygrysowi.

- Ta samotność była najgorsza - wyznała. - Poczucie, że jesteś jedyną istotą w całym wszechświecie. Że to wszystko istnieje tylko tutaj. - Dotknęła swojej piersi. - I nigdzie indziej.

Lata później przeczytał podobne wyznanie w pamiętniku kolejnej szesnastolatki, tej, którą odnalazł, zgubił, ponownie odnalazł i znów stracił: *Czasem wydawało mi się, że jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi.*

Podwozie samochodu wbijające się w plecy. Policzek ocierający się o chłodny asfalt. Dłonie zaciśnięte na bezużytecznym karabinie. Był w pułapce.

Grace mogła przebierać w możliwościach. Jego wybór ograniczał się do dwóch.

Nie. Jeśli chciał dotrzymać obietnicy, pozostało mu jedno wyjście: postąpić tak jak Cassie.

Ona również złożyła samobójczą i niemożliwą do spełnienia obietnicę jedynemu człowiekowi na Ziemi, który wciąż miał dla niej jakieś znaczenie, który znaczył dla niej więcej niż własne życie. Wyszła naprzeciw niewidocznemu łowcy, wiedząc, że jej śmierć to nic w porównaniu z niedotrzymaniem obietnicy. Jeśli gdziekolwiek kryła się jeszcze odrobina nadziei, należało jej szukać w szalonych obietnicach złożonych z miłości.

Wyczołgał się spod zderzaka na otwartą przestrzeń i tak jak Cassie stanął o własnych siłach, prostując się na całą wysokość. Jego napięte ciało czekało na ostatni strzał. Tamtego pochmurnego jesiennego popołudnia uciszacz uciekł, widząc stojącą dziewczynę. Grace raczej tego nie zrobi. Skończy to, co zaczęła.

Nic się jednak nie działo. Żadna kula nie połączyła go na zawsze srebrzystym łańcuszkiem z Grace. Ale nadal tam była. Evan był pewien, że dziewczyna widzi jego pochyloną sylwetkę stojącą przed samochodem. Miał świadomość, że nie zdoła uciec przed przeszłością, musiał przyjąć jej nieuniknione konsekwencje: ból, jaki sprawił Cassie, jej przerażenie i niepewność stały się teraz jego udziałem.

Gwiazdy nad głową. Ciągnąca się przed nim droga oświetlona ich blaskiem. Ukąszenia lodowatego powietrza i chemiczna woń maści, którą Grace smarowała jego oparzenia. *Strasznie wali ci serce.*

Zaczął sobie powtarzać, że na pewno go nie zabije. To nie było jej celem. Gdyby chciała to zrobić, nie chybiłaby za pierwszym razem. Może postanowiła go śledzić. Stanowił dla niej zagadkę, którą mogła rozwiązać, tylko idąc w ślad za nim. Wymknął się z pułapki tylko po to, by wpaść w jeszcze głębszy dół. Dotrzymanie obietnicy nie miało polegać na dochowaniu wierności, stało się aktem zdrady.

Na pewno nie mógł przed nią uciec, nie z taką kostką. Rozmowa również nie wchodziła w grę, sprecyzowanie powodów, jakie nim kierowały, przychodziło mu z coraz większą trudnością. Mógł spróbować przeczekać. Nie ruszać się z miejsca... ryzykując, że Cassie zostanie odnaleziona przez oddziały piątej fali albo opuści hotel, nim ta patowa sytuacja się jakoś rozstrzygnie. Nie wierzył w powodzenie bezpośredniej konfrontacji, raz już tego próbował i zawiódł. Był zbyt mocno osłabiony i pokaleczony. Potrzebował czasu, by dojść do siebie, ale to właśnie czas stanowił najbardziej deficytowy towar.

Oparł się o maskę samochodu i spojrzał w gwiazdy skrzące się na niebie, wreszcie nieprzyćmione blaskiem ludzkich świateł i trującymi oparami, świecące tak samo jak przed nalaniem ludzkości. Jarzyły się tak od miliardów lat, czymże był dla nich czas?

- Jętka - szepnął Evan. - Jętka.

Przewiesił karabin przez ramię i przeczołgał się pomiędzy wrakami po plecak, który zarzucił na plecy Pod drugie ramię wepchnął prowizoryczną kulę. Każdy najwolniejszy nawet ruch sprawiał mu ból, ale musiał sprowokować Grace do podjęcia decyzji. Mogła go puścić i ruszyć za nim, porzucając wyznaczony posterunek, co może mieć poważne konsekwencje i odbić się na pieczołowicie skonstruowanym planie Inwazji. Chciał ruszyć na północ od hotelu, ku najbliższej bazie. To właśnie tam wycofały się siły wroga, przegrupowując się przed nadejściem wiosny i rozpoczęciem ostatecznego natarcia.

Ich jedyna nadzieja spoczywała od samego początku na ramionach dzieci o wypranych mózgach - małych żołnierzy piątej fali.

# 25

W dzień ich pierwszego spotkania Grace i Evan spacerowali wieczorem po jarmarku, przeciskając się wśród tłumów oślepionych blaskiem lamp rozpraszających ciemności i mijając kolejne stoiska, gdzie można było porzucać plastikowymi kółkami, piłkami baseballowymi i celować w balony metalowymi strzałkami. Z głośników umieszczonych na słupach grzmiała muzyka, a tysiące rozmów tworzyły nieustający szum przywodzący na myśl bulgotanie strumienia. Tłum również zachowywał się jak rzeka, krążył i meandrował, to przyspieszając tempa, to zwalniając kroku. To, że wraz ze swoją równie wysoką, smukłą i atrakcyjną jak on towarzyszką przyciągał zaciekawione spojrzenia przechodniów, wzbudzało w Evanie niepokój. Nigdy nie przepadał za tłumami, zdecydowanie wolał samotność lasów i pól otaczających rodzinną farmę, skłonność ta okazała się zresztą niezwykle przydatna, gdy nadszedł czas czystek.

Czas. Gwiazdy nad ich głowami wirowały niczym reflektory na diabelskim młynie, obracając się jednak zbyt wolno, by ludzkie oko zarejestrowało ich ruch. Wskazówki zwalniającego od zarania dziejów zegara wszechświata wprawiały wszystko w ruch, więżąc ludzi i gwiazdy w strumieniu upływającego czasu. Evan i Grace nie byli więźniami. Udało im się ujarzmić nieujarzmione, zaprzeczyć temu, co niezaprzeczalne. Kiedy zgaśnie ostatnia gwiazda i zniknie cały wszechświat, oni wciąż będą trwali.

- O czym myślisz? - zapytała.

- „Nie może pozostawać duch mój w człowieku na zawsze, gdyż człowiek jest istotą cielesną...”*

- Słucham? - Uśmiechnęła się do niego.

- To z Biblii.

Przełożyła tygrysa do drugiej ręki i złapała Evana za dłoń.

- Daj spokój z tym ponuractwem. Mamy piękny wieczór i spotkamy się ponownie dopiero wtedy, gdy wszystko się skończy. Twój problem polega na tym, że nie wiesz, co robić, zanim nadejdzie ta chwila.

Pociągnęła go za sobą pomiędzy dwa namioty, gdzie zaczęli się całować. Czując, jak Grace napiera na niego całym ciałem, Evan odniósł wrażenie, że coś otwarło się w jego wnętrzu. Wpuścił ją do

środka, łagodząc potworną samotność, jaka towarzyszyła mu od momentu przebudzenia.

Grace odsunęła się od niego. Jej policzki były zaczerwienione, a w oczach płonął blady ogień.

- Zastanawiam się czasem, jak to będzie, kiedy zabiję po raz pierwszy.

- Też o tym myślę. - Evan pokiwał głową. - Chociaż częściej myślę o tym, kiedy zrobię to po raz ostatni.

---

* Księga Rodzaju 6,3, [w:] Biblia Tysiąclecia, Poznań 2012 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

# 26

Opuścił autostradę i poszedł na przełaj przez pola i opustoszałe wiejskie drogi, zatrzymując się tylko po to, by napełnić manierkę lodowatą wodą ze strumieni, orientując się w swoim położeniu według Gwiazdy Polarnej, tak jak robili to starożytni wędrowcy. Poranione ciało wymagało częstego odpoczynku i za każdym razem Evan widział Grace czekającą w oddali. Nie zamierzała się ukrywać. Chciała, żeby miał świadomość, że za nim idzie, trzymając się tuż poza zasięgiem jego karabinu. O świcie dotarł do drogi numer 68, głównej arterii komunikacyjnej pomiędzy Huber Heights a Urbaną. Zgromadził stertę chrustu na ognisko pod kępą drzew przy drodze. Dłonie mu drżały, czuł, jak trawi go gorączka. Bał się, że oparzenia uległy infekcji. Jego ciało było przygotowane na wiele, ale nawet ulepszone ciało mogło osiągnąć stan krytyczny, z którego nie było już odwrotu. Opuchnięta kostka dwukrotnie zwiększyła swoją objętość, napięta skóra była gorąca, a rana pulsowała bólem z każdym uderzeniem serca. Uznał, że zatrzyma się na dzień lub dwa przy ognisku. Jego łuna miała ich wciągnąć w pułapkę. Jeśli się tu gdzieś kręcili. Jeśli dadzą się wciągnąć.

Przed nim droga. Za nim lasy. Postanowił się trzymać otwartego terenu. Grace zostanie pomiędzy drzewami, będzie z nim czekać. Nie mogła się teraz cofnąć, porzuciwszy z własnej woli powierzony jej posterunek.

Ogrzewał się ogniem. Ona nie. On był światłem i ciepłem, ona mrokiem i chłodem. Pozbył się kurtki, zdjął sweter i koszulę. Pokryte strupami oparzenia potwornie swędziały. Próbując zająć umysł czym innym, zabrał się do strugania nowej laski z solidnej gałęzi znalezionej pomiędzy drzewami.

Zastanawiał się, czy Grace zaryzykuje sen tej nocy. Wiedziała przecież, że z każdą chwilą odzyskuje siły, a każda kolejna mijająca godzina zmniejsza jej szanse na sukces.

Dostrzegł ją drugiego dnia, gdy około południa ruszył po nowy zapas drewna - cień kryjący się wśród cieni. Stała pomiędzy drzewami, trzymając w obandażowanej ręce karabin snajperski, kolejny bandaż owijał jej szyję. W mroźnym powietrzu jej głos zdawał się nieść w nieskończoność.

- Dlaczego mnie nie wykończyłeś, Evanie?

Milczał przez chwilę, schylając się po kolejne gałązki.

- Myślałem, że wykończyłem - wyjaśnił w końcu.

- Nie. Nie mogłeś tak pomyśleć.

- Może po prostu mam dość zabijania.

- To znaczy?

Potrząsnął głową.

- Nie zrozumiesz.

- Kim jest Cassiopeia?

Wyprostował się. Z szarych chmur sączyło się, przenikające pomiędzy drzewami słabe światło które pozwoliło mu dostrzec cynicznie skrzywione usta i blady ogień płonący w jej oczach.

- Kimś, kto się podniósł, kiedy nikt inny nie ruszyłby się z miejsca - wyjaśnił. - Kimś, o kim myślałem, nim dowiedziałem się o jej istnieniu. Ostatnim człowiekiem na Ziemi, Grace.

Przez długą chwilę nie odezwała się ani słowem. Trwali na swoich miejscach.

- Zakochałeś się w człowieku - w jej głosie słychać było zaskoczenie. Wiedział, co zaraz powie: - To przecież niemożliwe.

- Nieśmiertelność też wydawała się niemożliwa.

- To przecież tak jakby jedno z nich zakochało się w rybie. - Uśmiechnęła się. - Oszalałeś. Odbiło ci.

- Tak - Odwrócił się do niej plecami gotów przyjąć kulę. Szaleństwo było jego zbroją.

- To nieprawda! - wrzasnęła za nim. - Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Zatrzymał się, upuszczając pozbierany chrust na skutą lodem ziemię. Odwrócił głowę w jej stronę, nie ruszając się /, miejsca.

- Kryj się - polecił spokojnym głosem.

Drżenie palca na spuście. Ludzkie oko na pewno by tego nie dostrzegło. Evan nie miał z tym problemu.

- Bo co? - krzyknęła. - Znów mnie zaatakujesz?

Potrząsnął głową.

- Nie mam zamiaru cię atakować. Ale oni tak.

Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę jak kruk, którego zobaczył, ocknąwszy się w jej obozie.

- Uważaj - ostrzegł.

Pierwsza kula trafiła Grace w udo. Uderzenie ją odrzuciło, ale zdołała utrzymać się na nogach. Druga trafiła w ramię, wytrącając jej karabin z rąk. Trzecia, wystrzelona z innego miejsca, wbiła się w drzewo parę milimetrów nad jego głową.

Grace runęła na ziemię.

Evan rzucił się do ucieczki.

# 27

Nazwanie tego ucieczką to spora przesada. Evan skakał jak oszalały, próbując utrzymać większość swego ciężaru na zdrowej stopie, a za każdym razem, gdy jego pięta dotykała ziemi, przed oczami wybuchały mu fajerwerki białego światła. Wyminął dogasające ognisko, do którego dorzucał od dwóch dni, by dymem wskazać kryjówkę. Szybkim ruchem zgarnął leżący na ziemi karabin i opuścił obozowisko. Grace ściągnie na siebie ogień dwuosobowego patrolu. Być może było ich więcej. Evan miał taką nadzieję. Na jakiś czas uwolniłby się od Grace.

Jak daleko jest w stanie odejść? Piętnaście kilometrów? Trzydzieści? Nie da rady zbyt długo utrzymać takiego tempa, ale dopóki będzie parł do przodu, istniała szansa, że przed świtem dotrze w okolice hotelu.

Wciąż słyszał dobiegające zza pleców sporadyczne strzały. Oznaczało to, że Grace zabrała się do systematycznej eliminacji przeciwników. Żołnierze na pewno mieli wizjery, dzięki którym ich szanse nieco rosły. Ale tylko odrobinę.

Rezygnując z zachowania jakiejkolwiek ostrożności, pokuśtykał środkiem autostrady, samotna postać pod ciągnącymi się w nieskończoność ołowianymi chmurami. Nad jego głową krążyło olbrzymie stado kruków złożone co najmniej z tysiąca trzepocących skrzydłami ptaków. Każdy kolejny krok był nową lekcją bólu, każde niepewne stąpnięcie przypominało o cierpieniu, a mimo to szedł dalej. Miał gorączkę, w jego płucach szalał żywy ogień, a serce waliło jak oszalałe. Materiał ubrań ocierał się o wciąż gojące się oparzenia, które po chwili zaczęły krwawić. Koszula kleiła mu się do pleców, przez nogawki spodni przesączała się krew. Wiedział, że ten wysiłek może go zabić. System, który zapewniał większą wytrzymałość ludzkiemu ciału, również miał swoje ograniczenia.

Słońce zsunęło się za krawędź kopuły niebios, a on potknął się i upadł w zwolnionym tempie, uderzając ramieniem o ziemię i staczając się na pobocze, gdzie leżał z szeroko rozrzuconymi ramionami kompletnie sparaliżowany od pasa w dół, trzęsąc się z gorączki, która paliła jego ciało mimo przejmującego zimna. Gdy nad obliczem ziemi zapadły ciemności, Evan Walker stoczył się w mroczną otchłań,

odnajdując ukryty pokój wypełniony roztańczonym światłem, którego źródłem była jej twarz, choć nie pojmował, jakim cudem udawało jej się świecić w tych całkowicie ciemnych głębinach. *Oszalałeś. Odbiło ci.* On również odnosił takie wrażenie. Bronił jej życia, choć każdej nocy odbierał je innym. Dlaczego ona miałaby przetrwać w świecie skazanym na zagładę? Ponieważ potrafiła rozświetlić mrok panujący w jego wnętrzu. Jej życie było jak światło lampy, ostatniej gwiazdy w umierającym wszechświecie.

Napisała kiedyś: *To ja jestem ludzkością.* Samolubną, upartą, sentymentalną, dziecinną i próżną. *To ja jestem ludzkością.* Cyniczną, naiwną, dobrą, okrutną, jednocześnie miękką jak puch i twardą jak najtęższa stal.

Musiał wstać. Jeśli tego nie zrobi, to światło zniknie na zawsze. Świat ogarną ciemności. Ale atmosfera wciąż przybijała go do ziemi, naciskając na jego kości ciężarem milionów ton.

System nie wytrzymał. Obca technologia zainstalowana w jego ludzkim ciele, gdy miał trzynaście lat, przestała działać. Wyczerpał jej wszystkie możliwości. Już nic go nie chroniło ani nie pomagało mu utrzymać się przy życiu. Ta poparzona i połamana powłoka niczym się nie różniła od ciał jego byłych ofiar. Była krucha, delikatna, wrażliwa i opuszczona.

Już nie był jednym z tamtych. Stał się jednym z nich. Całkowicie obcym. Prawdziwym człowiekiem.

Przetoczył się na bok. Jego plecy przeniknął bolesny skurcz. Wypluł krew gromadzącą się w ustach.

Najpierw obrócić się na brzuch. Potem na kolana. Ręce. Drżące nadgarstki i łokcie, które w każdej chwili mogły przesiać utrzymywać ciężar jego ciała. Samolubny, uparty, sentymentalny, dziecinny i próżny. *To ja jestem ludzkością.* Cyniczny, naiwny, dobry, okrutny, jednocześnie miękki jak puch i twardy jak najtęższa stal.

*To ja jestem ludzkością.*

Czołgał się.

*To ja jestem ludzkością.*

Upadł.

*To ja jestem ludzkością.*

Wstał.

# 28

Wieki później przyczajony za nasypem autostrady przyglądał się przemykającej przez parking ciemnowłosej dziewczynie, która minęła rampę prowadzącą na autostradę i przeszedłszy kilkaset metrów na północ drogą numer 68, przykucnęła za samochodem i spojrzała na budynek hotelu. Podążył za jej wzrokiem, dostrzegając na pierwszym piętrze przesuwający się za oknem cień, który zniknął w ułamku sekundy.

Jętka.

Dziewczyna zniknęła pomiędzy drzewami wzdłuż pobocza. Nie miał pojęcia, dlaczego opuściła kryjówkę ani dokąd zmierza. Być może postanowili się rozdzielić, by zwiększyć choć trochę szansę na przetrwanie, mogła również wyruszyć na poszukiwanie bezpieczniejszej kryjówki, która pozwoliłaby im przetrwać zimę. Niezależnie od powodów miał przeczucie, że odnalazł ich w ostatnim momencie.

Po odejściu ciemnowłosej w hotelu pozostała ich jeszcze co najmniej czwórka pilnująca okien. Nie był pewien, które z nich przetrwało eksplozję. Nie wiedział nawet, czy cień widziany przed chwilą to była Cassie.

Nie miało to znaczenia. Złożył obietnicę. Musiał się dostać do środka.

Nie mógł tego zrobić tak po prostu. Zbyt wiele niewiadomych komplikowało sytuację. A jeśli to nie Cassie, tylko jeden z oddziałów piątej fali odcięty od zniszczonej bazy, taki jak ten, który zaatakował jego i Grace? Nie zdąży zrobić nawet dziesięciu kroków, nim go zabiją. A nawet jeśli to była ona i jacyś ocalali, ryzyko wcale nie stawało się mniejsze: mogli go rozwalić, zanim zdąży powiedzieć, kim jest.

Zakradnięcie się do środka również wiązało się z ryzykiem. Nie wiedział, ilu ich tam jest. Nie miał pojęcia, czy poradzi sobie z dwoma osobami, nie mówiąc już o całej czwórce uzbrojonych po zęby, nabuzowanych adrenaliną dzieciaków gotowych rozwalić wszystko, co się rusza. Układy wspomagające jego ciało przestały działać. Powiedział kiedyś Cassie, że jest prawdziwym człowiekiem. W tej chwili była to najszczersza prawda.

Nadal zastanawiał się nad jakimś rozwiązaniem, gdy na parkingu pojawiła się kolejna niewielka postać w mundurze oddziałów piątej fali.

To nie mógł być Sam - miałby na sobie biały kombinezon przynależny najmłodszym, których dopiero poddano przeprocesowaniu - ale dziecko nie było od niego wiele starsze. Evan ocenił je na jakieś sześć-siedem lat. Ruszyło tą samą drogą co ciemnowłosa dziewczyna i również zatrzymało się przy samochodzie, by spojrzeć na hotel. Tym razem w oknie nie pojawił się żaden cień. Ktokolwiek przy nim stał, opuścił swój posterunek.

Pozostała więc czwórka. Czyżby zamierzali opuścić hotel pojedynczo? Ze strategicznego punktu widzenia miało to jakiś sens. Może wystarczy, że poczeka tu na Cassie zamiast ryzykując życiem próbować wedrzeć się do środka?

Gwiazdy krążyły nad jego głową, zaznaczając coraz wolniejszy upływ czasu.

Podniósł się i natychmiast schował za nasypem. Z hotelu wyłonił się kolejny dzieciak, tym razem znacznie większy - potężny chłopak z wielką głową, uzbrojony w karabin. Wśród trójki, która opuściła budynek, nie było jak na razie ani Cassie, ani Sama, ani jej przyjaciela z liceum. Jak on miał na imię? Ken? To, że Cassie znajduje się w tej grupie, stawało się coraz bardziej nieprawdopodobne. Nadal nie wiedział, czy podejmować ryzyko.

Instynkt kazał mu spróbować. Bez zadawania zbędnych pytań, bez broni i u kresu sił. Tylko to mu pozostało. Instynkt.

Poszedł.

Przez pięć lat nauczył się polegać na potencjale, który pod każdym względem przewyższał ludzkie możliwości. Słuch. Wzrok. Odruchy. Zwinność. Siła. Te dary go zepsuły. Zapomniał, jak wygląda normalność.

Teraz czekał go przyspieszony kurs.

Przez wybite okno dostał się do pokoju na parterze. Pokuśtykał do drzwi i przycisnął do nich ucho, ale usłyszał tylko bicie własnego serca. Uchylił je odrobinę, wślizgując się na korytarz i czekając na próżno, aż jego wzrok oswoi się z ciemnością. Ruszył dalej, kierując się do westybulu. Otaczała go cisza, a para oddechu zamarzała w mroźnym powietrzu. Parter był najwyraźniej opuszczony. Wiedział, że ktoś pilnuje niewielkiego okna w korytarzu na piętrze, dostrzegł jakąś sylwetkę, przekradając się w stronę budynku.

Dwie kondygnacje schodów. Stracił resztki powietrza w płucach, nim udało mu się wgramolić na szczyt, i świat znowu zawirował. Smak krwi w ustach. Żadnego światła. Czuł się, jakby pogrzebano go żywcem w absolutnych ciemnościach.

Będzie miał kilka sekund, jeśli po drugiej stronie drzwi natknie się tylko na jedną osobę. Jeśli zastanie ich więcej, czas przestanie mieć znaczenie: Evan i tak zginie. Instynkt nakazywał mu czekać.

Nie posłuchał.

W szerokim korytarzu Evan natknął się na dzieciaka z nadzwyczaj wielkimi uszami, który rozdziawił buzię ze zdziwienia na jego widok. Natychmiast przydusił go ramieniem, naciskając na tętnicę i odcinając dopływ krwi do mózgu. Zaciągnął swoją wciąż wierzgającą ofiarę na pogrążone w mroku schody. Zanim drzwi na klatkę zamknęły się z cichym trzaskiem, dzieciak stracił przytomność.

Evan odczekał kilka sekund. Korytarz był pusty, cała akcja odbyła się szybko i we względnej ciszy. Upłynie dłuższa chwila, zanim pozostali - jeśli byli jeszcze jacyś pozostali - odkryją zniknięcie wartownika. Zaniósł dziecko na dół i ułożył nieprzytomne ciało w niewielkiej wnęce między ścianą a schodami. Wrócił na górę i wyjrzał na korytarz. Gdzieś w połowie otwarły się kolejne drzwi i stanęły w nich dwie niewyraźne postacie. Przyglądał się, jak wchodzą do pokoju

po drugiej stronie korytarza. Chwilę później znowu je zobaczył, kiedy wchodziły do sąsiedniego pomieszczenia.
Sprawdzali każdy pokój. Za chwilę dotrą do schodów. Lub do windy, o której całkowicie zapomniał. Mogą skorzystać z szybu i wrócić schodami na górę.

Nie. Skoro jest ich tylko dwoje, na pewno się rozdzielą. Jedno sprawdzi schody, drugie windę, spotkają się na parterze.

Przyglądał się przez szparę w uchylonych drzwiach, jak wychodzą z ostatniego pokoju i zbliżają się do windy. Jedno z nich przytrzymało rozsunięte drzwi, podczas gdy drugie zsunęło się do szybu. Ten, który pozostał na piętrze, z trudem trzymał się na nogach i jęczał cicho, obejmując ręką brzuch, gdy kuśtykał w stronę Evana.

Czekał. Pięć metrów. Trzy. Jeden. W prawej ręce karabin, lewa przytknięta do brzucha. Stojący po drugiej stronie drzwi Evan uśmiechnął się do siebie. Ben. Nie Ken, tylko Ben.

Znalazłem cię.

Nie mógł liczyć, że Ben go rozpozna, zanim zacznie strzelać. Evan wypadł na korytarz i walnął go z całej siły pięścią w obolały brzuch. Wyprowadzenie tego ciosu odebrało mu resztki sił, ale Ben wciąż trzymał się na nogach. Chwiejąc się w miejscu, sięgnął po karabin. Evan zrobił unik i uderzył go raz jeszcze w to samo miejsce. Tym razem Ben osunął się na podłogę u jego stóp, odchylając głowę. Spojrzeli sobie w oczy.

- Wiedziałem, że kłamiesz - jęknął Ben.

- Gdzie jest Cassie? - Przyklęknął przy nim i szarpnął za żółtą bluzę, przybliżając jego twarz do swojej. - Gdzie Cassie?

Gdyby układy zainstalowane w organizmie Evana nie zawiodły, być może udałoby mu się dostrzec błysk zbliżającego się ostrza lub usłyszeć jego cichuteńki świst, gdy przecinało powietrze. A tak poczuł je, dopiero gdy Ben zagłębił nóż w jego udzie.

Evan padł na plecy, pociągając przeciwnika za sobą. Czując, jak Ben wyrywa ostrze z rany, odepchnął go na bok, przyciskając kolanem jego nadgarstek, by zneutralizować zagrożenie, i obiema dłońmi zatkał mu usta i nos. Czas zawirował. Ben rzucał się we wszystkie strony i wierzgał głową, machając bezsilnie rękami w poszukiwaniu karabinu, który leżał jakieś dwa centymetry poza jego zasięgiem. Czas zamarł.

Ben wreszcie przestał się rzucać. Skąpane we krwi i pocie ciało Evana zdawało się płonąć żywym ogniem, gdy osunął się na bok, próbując złapać oddech. Nie miał jednak czasu na odzyskanie sił: zza uchylonych drzwi w głębi korytarza ukazała się niewielka, pociągła twarzyczka.

Sam.

Evan spróbował się podnieść, stracił równowagę, podparł się ręką o ścianę i upadł. Znów wstał, pewien, że to Cassie zeszła do szybu. Najpierw jednak musiał zająć się Samem. Tyle tylko że dzieciak zdążył już zatrzasnąć drzwi i obrzucał go przekleństwami, a kiedy Evan dotknął klamki, natychmiast zaczął strzelać.

Oparty o ścianę czekał, aż Sam opróżni cały magazynek. Kiedy nastała cisza, nie wahał się ani chwili. Musiał zneutralizować dzieciaka, nim ten przeładuje broń.

Miał dwa wyjścia: kopnąć w drzwi nadwyrężoną nogą lub oprzeć na niej cały ciężar i wykorzystać zdrową nogę do ich wyważenia. Żadna z tych możliwości mu się nie uśmiechała, ale wiedząc, że nie może sobie pozwolić na utratę równowagi, zdecydował się na pierwszą z nich.

Trzy potężne kopniaki sprawiły mu taki ból, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy wcześniej. Zasuwa odpadła z hukiem i drzwi uderzyły o ścianę. Evan wpadł do środka, widząc, jak braciszek Cassie cofa się bokiem w stronę okna. Jakaś siła wciąż pozwalała mu się utrzymać na nogach i popychała w stronę dziecka. Wyciągnął do niego rękę. *Pamiętasz mnie? Już raz cię ocaliłem. Teraz też cię uratuję...*

I wtedy za jego plecami ta, którą przeniósł na własnych plecach przez bezkresne morze bieli, jedyna osoba na tym świecie, za jaką chciał poświęcić życie, ostatni człowiek, ostatnia gwiazda, nacisnęła spust.

Połączyły ich zaślubiny kuli z kością, wiążąc oboje niczym cienki srebrzysty łańcuszek.

# IV
# MILIONY

Gdy nadeszło lato zarazy, chłopiec zamilkł.

Jego ojciec zniknął. Pewnego ranka wyszedł w poszukiwaniu świec, których zaczynało im brakować. I już nie wrócił.

Mama była chora. Bolała ją głowa. Wszystko ją bolało, nawet zęby. Tak mówiła. Najgorsze były noce. Rozpalała ją gorączka. Wymiotowała. Ale rankiem czuła się lepiej. - Może mi w końcu przejdzie - powtarzała. Nie chciała iść do szpitala. Wciąż docierały do nich okropne opowieści o tym, co działo się w szpitalach, na pogotowiu i w schronach.

Sąsiedztwo stopniowo opustoszało, rodzina za rodziną. Nocą po ulicach grasowały gangi, szabrownicy stawali się coraz śmielsi. Mężczyzna mieszkający dwa domy dalej został zastrzelony, bo odmówił podzielenia się zapasem wody. Czasem trafiał tu jakiś obcy wędrowiec, przynosząc historie o trzęsieniach ziemi i gigantycznych ścianach wody docierających w głąb lądu aż do Las Vegas. Tysiące zabitych. Miliony.

Gdy matka całkowicie opadła z sił, to on musiał się zaopiekować dzidziusiem. Wciąż tak na niego mówili, chociaż mały miał prawie trzy lata. - Tylko go do mnie nie przynoś - ostrzegała mama. - Jeszcze się rozchoruje.

Opieka nad dzieckiem nie zajmowała dużo czasu. Dzidziuś dużo spał, rzadko chciał się bawić. Nie wiedział, co się dzieje, był za mały. Czasem tylko pytał, kiedy wróci tatuś albo co się dzieje z mamusią. Głównie jednak dopytywał się o jedzenie.

A zapasy się kończyły. Ale matka nie pozwoliła mu wychodzić. Zbyt niebezpiecznie. Zgubisz się. Porwą cię. Zastrzelą. Spierał się z nią. Jak na swoje osiem lat był naprawdę duży, już od szóstego roku życia musiał znosić szkolne docinki z tego powodu. Potrafił o siebie zadbać. Był silny. Ale matka mu nic pozwalała. Mówiła, że sama i tak nie potrafi niczego przełknąć, a jemu przyda się zrzucić trochę wagi. To nie była złośliwość; próbowała go rozbawić. Nie udało się.

Została im ostatnia puszka zupy i opakowanie przeterminowanych herbatników. Podgrzał zupę w kominku nad ogniem podsycanym kawałkami mebli i starymi magazynami myśliwskimi należącymi do ojca. Dzidziuś zjadł wszystkie herbatniki, ale nie chciał zupy. Domagał

się hamburgera. Nie mamy takich rzeczy, mamy tylko zupę i herbatniki. Dziecko zaczęło płakać i tarzać się po podłodze, krzycząc, że chce hamburgera.

Zaniósł mamie kubek zupy. Znów miała wysoką gorączkę. Poprzedniej nocy wymiotowała krwią i czarnymi grudami, które były wyściółką jej własnego żołądka, choć wtedy chłopak jeszcze tego nie wiedział. Matka przyglądała mu się martwym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem, prawdziwa maska Czerwonego Moru.

- Co ty robisz? Nie jestem w stanie tego przełknąć. Zabierz to.

Zrobił, jak mówiła, zjadł zupę przy zlewie, podczas gdy jego braciszek wciąż wrzeszczał i szamotał się po podłodze, a wirus w mózgu ich matki rozprzestrzeniał się coraz szybciej, odbierając jej rozum. Aż w końcu ona sama zniknie. Zanim podda się jej ciało, straci osobowość, wspomnienia, to, kim była. Dokończył ledwie letnią zupę i wylizał miskę do czysta. Rano będzie musiał wyjść po jedzenie. Każe braciszkowi nie ruszać się z domu i nie wróci, dopóki nie znajdzie czegoś jadalnego.

Wymknął się o świcie. Przeszukał opuszczone sklepy spożywcze i piekarnie. Zaglądał do splądrowanych restauracji i bud z jedzeniem. Odkrył wypełnione gnijącymi odpadkami kosze na śmieci, z których wysypywały się rozerwane plastikowe worki przeszukane już wcześniej przez setki rąk. Do południa udało mu się znaleźć tylko jednego pączka wielkości jego dłoni, wciąż opakowanego w plastik - wygrzebał go spod regału w ruinach stacji benzynowej. Robiło się późno, słońce chowało się za horyzontem. Postanowił wrócić do domu i ruszyć na kolejną wyprawę o poranku. Musiał się lepiej rozejrzeć, być może gdzieś jeszcze walają się jakieś pączki albo Inne jedzenie.

Po powrocie do domu zastał uchylone drzwi frontowe. Zaniepokoił się, pamiętając, że je zamykał. Wbiegł do środka, wołając braciszka. Sprawdził wszystkie pokoje. Zajrzał pod łóżka, do szaf, przeszukał tkwiące w garażu samochody, martwe i zupełnie bezużyteczne. Matka przywołała go do swojego pokoju. Gdzie się podziewał? Dzidziuś cały czas płakał. Kiedy zapytał ją, gdzie jest dziecko, zaczęła na niego krzyczeć. - Naprawdę go nie słyszysz?!

Niczego nie słyszał.

Wyszedł przed dom i zaczął wołać dzidziusia po imieniu. Sprawdził podwórze, zapukał do drzwi sąsiedniego domu i do

wszystkich pozostałych drzwi na ich ulicy. Żadnej reakcji. Albo kryjący się w nich ludzie byli zbyt przestraszeni, by wyjść, albo zachorowali, umarli lub odeszli. Przeszedł kilka przecznic i wrócił inną drogą, tracąc głos od bezustannych nawoływań. Jakaś wymachująca bronią staruszka nawrzeszczała na niego ze swojej werandy, zmuszając go do ucieczki Wrócił do domu.

Dzidziuś zniknął. Postanowił nie wspominać o tym mamie. W końcu i tak nie mogła pomóc. Nie chciał, by pomyślała, że nie powinien wychodzić na zewnątrz. Mógł go ze sobą zabrać, fakt, ale uznał, że w domu dzidziuś będzie bezpieczniejszy. W końcu rodzinny dom to najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Ta noc była najgorsza. Matka wołała go do siebie, pytając o dzidziusia. Odpowiadał, że dziecko śpi. Jej łóżko pokrywały kawałki zakrwawionej tkanki, na podłodze i stoliku walały się stosy przesiąkniętych czerwienią chusteczek.

- Przynieś mi dzidziusia.

- Śpi.

- Chcę go zobaczyć.

- Zarazi się.

Zaczęła go przeklinać. Posłała go do wszystkich diabłów. Opluła go krwią. Stał w progu, trzymając ręce w kieszeniach, skubiąc nerwowo szeleszczące opakowanie pączka, plastik nadtopiony od gorąca.

- Gdzie byłeś?

- Szukałem jedzenia.

- Nawet mi o tym nie wspominaj! - Zadławiła się i spojrzała na niego przekrwionymi oczami.

- Dlaczego to zrobiłeś? Nie potrzebujemy żadnego jedzenia. I tak jesteś najobrzydliwszym tłustym wieprzem, jakiego widziałam! Z takimi zapasami sadła możesz przetrwać całą zimę.

Nie odezwał się. Wiedział, że mówi choroba, nie jego mama. Mama go kochała. Kiedy wciąż mu dokuczano w szkole, sama poszła do dyrektora i postraszyła go procesem, jeśli nie powstrzyma łobuzów.

- Co to za hałas? Co to za okropny hałas?

Odpowiedział, że niczego nie słyszy. Wściekła się i znów zaczęła przeklinać, kaszląc krwią na zagłówek łóżka.

- To ty wydajesz ten dźwięk! Pokaż, co masz w kieszeni?

Nie miał innego wyjścia. Wyjął pączek, a ona wrzasnęła, by natychmiast zabrał jej go sprzed oczu. Nic dziwnego, że był taki gruby. Nic dziwnego, że jego braciszek umierał z głodu, skoro on się obżerał pączkami, słodyczami i hamburgerami. Dlaczego był takim potworem, że nawet się nie podzielił hamburgerem z bratem?

Próbował się bronić. Kiedy tylko otwierał usta, wrzeszczała na niego, by się zamknął, zamknął, zamknął! Jego głos przyprawiał ją o mdłości. To przez niego się rozchorowała. On za to odpowiada. Skrzywdził jej męża, skrzywdził dzidziusia i truje ją, truje tak, że się rozchorowała.

Nie pozwalała mu dojść do słowa. - Zamknij się, zamknij, zamknij!

Umarła dwa dni później

Owinął ciało prześcieradłem i wyniósł na podwórze. Rozpalił ogień, oblawszy zwłoki podpałką do grilla. Płomienie pochłonęły zwłoki i łóżko. Kolejny tydzień czekał na brata, ten jednak nie wrócił. Szukał go przez ten cały czas, podobnie jak jedzenia, ale udało mu się znaleźć tylko to drugie. Przestał wykrzykiwać jego imię. W ogóle przestał mówić. Zamknął się.

Sześć tygodni później, gdy wlókł się autostradą pełną porzuconych pojazdów i wraków, dostrzegł w oddali kłąb czarnego dymu, a kilka minut później żółty szkolny autobus pełen dzieci. Żołnierze jadący razem z nimi zapytali go o imię, skąd jest i ile ma lat, a on, wepchnąwszy ręce do kieszeni, odkrył, że wciąż ma przy sobie nieodpakowanego pączka.

„Tłusty wieprz. Z takim brzuchem przetrwasz całą zimę”.

- Co się dzieje, dzieciaku? Nie umiesz mówić?

Sierżant uczący ich musztry usłyszał gdzieś, że gdy chłopiec dotarł do obozu, miał tylko to, co na sobie, i pączka w kieszeni. Od tej pory przestał wołać na niego Tłuścioch i zaczął nazywać go Pączek.

- Lubię was, Pączek. Podoba mi się, że jesteście urodzonym strzelcem. Założę się, że załatwiłeś swoją matkę, trzymając w jednej ręce spluwę, a w drugiej pączka. Podoba mi się, że wyglądasz jak Elmer Fudd, ale masz serce cholernego Mufasy. A najbardziej mi się podoba, że w ogóle nie gadasz. Nikt nie wie, skąd jesteś, gdzie byłeś, co myślisz, jak się czujesz. Nawet ja tego nie wiem. I gówno mnie to obchodzi. Ciebie również nie powinno obchodzić. Jesteś milczącym,

bezwzględnym zabójcą o sercu równie mrocznym jak ciemności, z których wy pełzłeś. Prawda, szeregowy Pączek?

Nie był.

Jeszcze nie.

# V
# CENA

Chciałam go zabić, jak tylko się ocknie.

O ile się ocknie.

Dumbo nie był tego wcale taki pewien.

- Jest potwornie poharatany - stwierdził, gdy zdjęliśmy z niego ciuchy i przyjrzał się obrażeniom. Rana po nożu w jednej nodze, druga noga przestrzelona, skóra pokryta oparzeniami, połamane kości, wysoka gorączka i dreszcze, choć przykryliśmy go całym stosem koców. Trząsł się tak bardzo, ze wprowadzał w drżenie całe łóżko.

- Posocznica - wymamrotał Dumbo. Widząc moje tępe spojrzenie, dodał: - Zakażenie krwi. Sepsa.

- Co możemy zrobić?

- Antybiotyki.

- Których nie mamy.

Usiadłam na pustym łóżku. Sam pomknął do drzwi, wciąż ściskając pistolet z pustym magazynkiem. Nie chciał mi go oddać. Ben opierał się o ścianę i trzymając karabin w ramionach, przyglądał się uważnie Evanowi, jakby z obawą, że chłopak zerwie się na nogi i znów nas zaatakuje.

- Nie miał wyboru - próbowałam wyjaśniać. - Przecież ktoś by go zastrzelił, gdyby tak po prostu wychynął z mroku,

- Muszę wiedzieć, co się stało z Pączkiem i Filiżanką - wymamrotał Ben przez zaciśnięte zęby.

Dumbo zmienił mu opatrunki i kazał odpocząć. Stracił mnóstwo krwi. Ben zbył go machnięciem ręki. Odepchnął się od ściany, pokuśtykał do łóżka, na którym leżał Evan, i wierzchem dłoni wymierzył mu siarczysty policzek.

- Obudź się! - Znów uderzenie. - Ocknij się, sukinsynu!

Zerwałam się z łóżka i złapałam Bena za nadgarstek, gdy zamierzył się do kolejnego ciosu.

- Ben! To nie...

- W porządku. - Wyrwał się z mojego uścisku i ruszył ku drzwiom. - Sam ich znajdę.

- Zombie! - Sam stanął u jego boku. - Idę z tobą.

- Przestańcie! - wrzasnęłam. - Obaj. Nikt nigdzie nie wy chodzi, dopóki...

- Dopóki co?! - nie wytrzymał Ben. - Dopóki co, Cassie?
Otwarłam usta, ale nie wydobyłam z siebie ani słowa. Sam wczepiał się w jego ramię.
- Chodźmy, Zombie.
Mój pięcioletni brat wymachujący nienaładowanym pistoletem. Masz swoją metaforę.
- Posłuchaj mnie, Ben. Proszę. Słuchasz? Jeśli teraz wyjdziesz...
- Wyjdę...
- ... to ciebie również możemy stracić - krzyknęłam. - Nic masz pojęcia, co się tam mogło wydarzyć! Evan pewnie ich tylko ogłuszył, tak jak ciebie i Dumbo. A może nie, może właśnie do nas wracają i nie musisz tak idiotycznie ryzykować, wychodząc na zewnątrz...
- Przestań mi prawić kazania na temat ryzyka. Doskonale wiem... - Zachwiał się i pobladł na twarzy, osuwając się na jedno kolano, podczas gdy Sam wciąż szarpał go za rękaw. Razem z Dumbo zawlekliśmy Bena na puste łóżko. Upadł na plecy, przeklinając Evana Walkera i całą tę totalnie pieprzoną sytuację. Dumbo zmierzył mnie wzrokiem przerażonego jelonka, szukając potwierdzenia, że na pewno wiem, co się dzieje. Wiem, co mamy zrobić.
Błąd.

Podniosłam karabin Dumbo i wcisnęłam mu go do ręki.

- Nikt nas nie pilnuje - powiedziałam. - Sprawdź schody, okna w korytarzu, pokoje we wschodnim i w zachodnim skrzydle, zajrzyj wszędzie i miej oczy dookoła głowy. A ja spróbuję powstrzymać tych dwóch samców alfa przed skoczeniem sobie do gardeł.

Dumbo kiwał potakująco głową, ale nie ruszył się z miejsca. Oparłam dłonie na jego ramionach i spojrzałam mu w rozbiegane oczy.

- Rusz się, Dumbo! Rozumiesz? Do roboty.

Pokiwał głową w górę i w dół jak kukiełka i szurając nogami, opuścił pokój. Samotny patrol był ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, ale od dłuższego czasu znajdowaliśmy się w takim położeniu, że każdy musiał robić to, czego najbardziej nie chciał.

- Czemu nie strzeliłaś mu w głowę? - warknął Ben za moimi plecami. - Dlaczego mierzyłaś w kolano?

- Wyrównałam rachunki - odburknęłam pod nosem, siadając obok Evana. Jego powieki drżały. Myślałam, że zginął.
Już się z nim pożegnałam. A teraz był tutaj żywy, ale nie wiedziałam, czy będę w stanie się przywitać. *Jesteśmy tylko dziesięć kilometrów od obozu Przystań. Dlaczego zajęło ci to tyle czasu?*

- Musimy stąd spadać - oznajmił Ben. - Wysłanie Ringer przodem było idiotycznym pomysłem. Tak jak mówiłem, nic powinniśmy się rozdzielać. Zrywamy się o świcie.

- Niby jak? - zapytałam. - Jesteś ranny. A Evan...

- Tu nie chodzi o niego. Chyba że tobie...

- Tylko dzięki niemu wciąż żyjesz i możesz marudzić.

- Wcale nie marudzę.

- Oczywiście, że tak. Jojczysz jak jakaś zdzirowata miss nastolatek.

Sam parsknął śmiechem. Byłabym mniej zaskoczona, gdy bym znalazła jezioro na środku pustyni. Od śmierci matki nic słyszałam jego śmiechu.

- Cassie powiedziała, że jesteś zdzirą - poinformował Bena mój braciszek, tak jakby chciał się upewnić, że jego kumpel dosłyszał.

Ben nie zwracał na niego uwagi.

- Najpierw musieliśmy tu na niego czekać, a teraz z jego powodu nie możemy się ruszyć. Rób, co chcesz, Sullivan. Ja rano stąd spadam.

- Ja też - dołączył do niego Sam.

- Ben podniósł się z łóżka, oparł się o nie, łapiąc przez chwilę oddech, a potem pokuśtykał do wyjścia. Sam poszedł za nim, a ja nie próbowałam ich powstrzymać. Po co? Ben zawołał cicho przez uchylone drzwi, by Dumbo do niego nie strzelał, bo idzie mu z pomocą. Zostałam sama z Evanem.

Usiadłam na opuszczonym przez Bena łóżku wciąż rozgrzanym ciepłem jego ciała. Przytuliłam do siebie misia należącego do Sama.

- Słyszysz mnie? - Pytanie było skierowane do Evana, nie do pluszaka. - Chyba jesteśmy teraz kwita, no nie? Ty strzeliłeś mi w kolano, ja przestrzeliłam twoje. Widziałeś mnie na golasa i ja ciebie też widziałam. Modliłeś się za mnie i ja...

Pokój rozmazał się przed moimi oczami. Walnęłam miśkiem w pierś nieprzytomnego chłopaka.

- I co to w ogóle za idiotyczna kurtka? „Tumany z Urbany”. To by się zgadzało. W punkt. - Znów pacnęłam go pluszakiem. - Tuman. - Jeszcze raz. - Tuman. - Ponownie. – Masz tu zamiar umrzeć? Tak po prostu? Teraz?

Jego usta drgnęły i wypłynęło z nich jedno słowo, powoli jak powietrze uciekające z opony: Jętka.

Otworzył oczy. Przypomniałam sobie, jak opisywałam ich czekoladowy odcień w swoim pamiętniku, i poczułam się głupio. Dlaczego zawsze miękły mi od tego kolana? To przecież nie w moim stylu. Dlaczego pozwalałam mu się przytulać, całować i otaczać opieką, jakbym była małym zagubionym stworzonkiem? Dlaczego właśnie jemu? Dlaczego jego pokręcona rzeczywistość zmieszała się z moją pokręconą rzeczywistością? Nic się tu nie zgadzało. Wszystko było bez sensu. Jego miłość do mnie mogła się kojarzyć z miłością człowieka do karalucha, ale jak nazwać to, co ja do niego czułam?

- Masz szczęście, że umierasz, inaczej posłałabym cię do diabła.

- Wcale nie umieram. - Drżące powieki. Spocona twarz. Roztrzęsiony głos.

- W takim razie idź do diabła. Zostawiłeś mnie, Evanie. Po prostu porzuciłeś w ciemnościach i wysadziłeś w powietrze wszystko dookoła. Mogłeś nas pozabijać. Opuściłeś mnie, gdy...

- Wróciłem. - Wyciągnął do mnie rękę.

- Nie dotykaj mnie. - Wolałam, żeby sobie darował te swoje telepatyczne wolkańskie sztuczki, od których mieszało mi się w głowie.

- Dotrzymałem obietnicy - wyszeptał.

Na to nie miałam żadnej złośliwej riposty. W końcu to obietnica doprowadziła do naszego pierwszego spotkania. Po raz kolejny uderzyła mnie dziwność tej sytuacji, to że zamieniliśmy się miejscami. Jego obietnica zastąpiła moją. Moja kula za jego kulę. Musieliśmy się wzajemnie obnażyć, bo nie mieliśmy innego wyboru - nadeszła epoka Przybyszy, trzymanie się dawnej wstydliwości było równie sensowne jak próby wywołania deszczu przez złożenie ofiary ze zwierząt.

- Wiesz, idioto, że omal nie odstrzeliłam ci łba? - zapytałam. - Nie mogłeś zawołać: „Hej, to ja. Nie strzelajcie”?

Potrząsnął głową.

- Za duże ryzyko.

- Ano tak. To było dużo mniej ryzykowne niż wchodzenie pod kule. Gdzie jest Filiżanka? Gdzie Pączek?

Potrząsnął głową, patrząc na mnie pytająco. Kto?

- Dziewczynka, która pobiegła autostradą. I chłopak, który za nią poszedł. Musiałeś ich widzieć.

Skinął głową.

- Poszli na północ.

- Wiem, dokąd poszli...

- To nie idź za nimi.

- To znaczy? - Poczułam ukłucie niepokoju.

- Tam nie jest bezpiecznie

- Nigdzie nie jest. - Wywrócił nieprzytomnie oczami. Znów tracił świadomość.

- Tam jest Grace.

- Kto? Jaka Grace? Mamroczesz, jakbyś się modlił. Co to za Grace?

- Grace - szepnął i stracił przytomność.

Siedziałam przy nim aż do świtu. Tak jak on siedział przy mnie wtedy, na farmie. Zaniósł mnie tam wbrew mojej woli, a teraz moja wola sprowadziła go tutaj, więc może faktycznie byliśmy sobie przeznaczeni. Albo sobie coś winni. Ale tych najważniejszych długów nigdy nie udawało się spłacić. Kiedy powiedział mi wtedy, że go ocaliłam, nie rozumiałam, co ma na myśli, przed czym go ocaliłam. Później, gdy przyznał, kim jest, pomyślałam, że ocaliłam go przed udziałem w ludobójstwie. Teraz wydawało mi się, że nie ocaliłam go przed czymś, tylko w jakimś celu. Problem w tym, że nie potrafiłam odpowiedzieć, co to było, i śmiertelnie mnie to przerażało.

Evan jęczał przez sen, wczepiając palce w okrywające go koce. Majaczył. Też kiedyś przez to przechodziłam. Trzymałam go za poparzoną, posiniaczoną i połamaną rękę, zastanawiając się, dlaczego nie dotarł tu wcześniej. Coś musiało mu stanąć na przeszkodzie. Jego dłoń była gorąca, twarz lśniła od potu. Zaczęło do mnie powoli docierać, że Evan może umrzeć, choć tak niedawno udało mu się wymknąć śmierci.

- Przeżyjesz - mówiłam do niego. - Musisz. Obiecaj mi to, Evanie. Obiecaj, że nie umrzesz. Proszę. - Rozkleiłam się. Próbowałam się powstrzymać, ale nie potrafiłam. - Tylko tak uda nam się domknąć ten krąg, dopiero wtedy będzie po wszystkim. Przeżyłam, kiedy do mnie strzeliłeś. Teraz ty musisz przeżyć mój postrzał, rozumiesz? Tak to właśnie działa. Każdy ci to powie. W końcu jesteś żyjącą od dziesięciu wieków istotą, której przeznaczeniem jest ocalenie żałosnych resztek ludzkości z łap kosmicznej hordy. To twoja robota. Po to przyszedłeś na świat. Do tego cię wychowano. Nieważne zresztą. Swoją drogą ten wasz plan podbicia świata wyszedł jakoś trochę krzywo, no nie? My wciąż tu jesteśmy, a ty padłeś na plecy jak robak i cieknie ci z ust. - To akurat była prawda. Otarłam skrajem koca jego zaśliniony policzek.

W drzwiach pokoju stanął nagle stary dobry Pączek. Za nim pojawił się wyszczerzony od ucha do ucha Dumbo, później Ben, a na końcu Sam. Na końcu, co oznaczało, że nie było z nimi Filiżanki.

- Co z nim? - zainteresował się Ben.

- Gorączkuje - poinformowałam. - Majaczy. Wciąż gada o jakiejś Grace.

- Grace? - Ben zmarszczył brew.

- Może to „gorące”? - zastanawiał się na głos Dumbo. - Może skarży się na gorączkę?

Przyglądałam się Pączkowi, który pochylając smutno głowę jak Kłapouchy, podszedł do okna i zapatrzył się na skuty lodem parking.

- Co się stało? - zapytałam, odwracając się do Bena.

- Nie chce powiedzieć.

- To go zmuś. W końcu to ty jesteś sierżantem.

- To raczej niemożliwe.

- Czyli co, Filiżanka zaginęła, a my nawet nie wiemy dlaczego ani gdzie?

- Pewnie udało jej się dogonić Ringer - zasugerował Dumbo. - A ona wzięła ją ze sobą do jaskiń, żeby nie marnować czasu na odprowadzenie jej do hotelu.

- A co z nim? - Wskazałam głową na Pączka.

- Znaleźliśmy go na zewnątrz - wyjaśnił Ben.

- Co tam robił?

- Nic... Kręcił się tylko.

- Kręcił się? Serio? Zastanawialiście się kiedyś chłopaki, czy Pączek faktycznie jest z nami?

- Sullivan - Ben potrząsnął głową z wyraźnym zmęczeniem. - Daj spokój...

- Mówię serio. W końcu on może tylko udawać niemowę. Dzięki temu nie musi odpowiadać na niewygodne pytania. Nie da się ukryć, że umieszczenie kogoś w każdym oddziale na wypadek, gdyby dzieciakom z wypranymi mózgami przyszły do głowy jakieś głupoty, to całkiem sensowny pomysł.

- Oczywiście. Wcześniej oskarżałaś o to samo Ringer. - Ben stracił cierpliwość. - Kolejny pewnie będzie Dumbo. Albo ja. Za to pozwalasz trzymać się za rękę leżącemu na tym łóżku kolesiowi, który sam się przyznał, że jest naszym wrogiem.

- To ja go trzymam za rękę. I wcale nie jest naszym wrogiem. Myślałam, że już to do ciebie dotarło.

- Skąd możemy wiedzieć, że nie załatwił Filiżanki? Albo Ringer? Nic przecież nie wiemy.

- Jezu... Wystarczy na niego popatrzeć. Nie zabiłby nawet... nawet... - Jedynym słowem, jakie podsunął mój przemęczony,

pozbawiony snu mózg, poszukujący stworzeń, z którymi mógłby sobie poradzić Evan w tym stanie, była „jętka”, nie mogłam się jednak zdobyć na to, by je wypowiedzieć. To słowo było jak mimowolny omen, o ile istnieją mimowolne omeny.

Ben odwrócił się na pięcie i spojrzał na Dumbo. Chłopak wyglądał na przestraszonego, pewnie wolałby, żeby Ben skupił się na kimś innym.

- Przeżyje?

Dumbo z poczerwieniałymi uszami potrząsnął głową.

- Jest w paskudnym stanie.

- O to właśnie pytam. Jak bardzo paskudnym? Kiedy będzie mógł się ruszać?

- Nieprędko.

- Do diabła, Dumbo! Mów kiedy.

- Kilka tygodni? Miesiąc? Ma strzaskaną kostkę, ale to jeszcze nie jest najgorsze. Gorsza jest infekcja i ryzyko gangreny...

- Miesiąc? - Ben zaśmiał się ponuro. - Miesiąc! Najpierw wpada tu jak burza, załatwia nas obu, a zaledwie parę godzin później jest w takim stanie, że nie ruszy się przez miesiąc!?

- Możecie sobie iść! - wrzasnęłam na niego z drugiego końca pokoju. - Wszyscy! Zostanę z nim i pójdziemy za wami, jak tylko będziemy mogli.

Ben gwałtownie zamknął usta. Sam zaczepił palec o szlufkę jego spodni, nie odstępując ani na krok od nogi kumpla. Westchnęłam w duchu. Ben wspominał, że w obozie nazywali mojego braciszka „szczeniak Zombie’ego”, bo zawsze się przy nim kręcił.

- Jak dla mnie to ma sens. - Dumbo kiwał potakująco głową.

- Mieliśmy plan. - Ben zacisnął usta. - I będziemy się go trzymać. Jeśli Ringer nie wróci w ciągu dwudziestu czterech godzin, zmywamy się z tego hotelu. Wszyscy. - Wbił we mnie wzrok, a potem wskazał na Pączka i Dumbo. - Mogą nieść twojego chłopaka, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Odwrócił się gwałtownie, odbił się od ściany i pokuśtykał ku drzwiom na korytarz.

Dumbo ruszył za nim.

- Sierżancie, dokąd...

- Do łóżka. Idę się położyć, Dumbo. Dłużej już nie ustoję. Obejmij pierwszą wartę. Nugget... Sam... czy jak ci tam... Co ty właściwie robisz?

- Idę z tobą.

- Zostajesz z siostrą. Albo nie. Masz rację. I tak ma pełne ręce roboty. Pączek! Sullivan jest zajęta, zastąpisz ją przy oknie, ty cichy... - Jego głos zanikł w oddali.

Dumbo ponownie stanął przy łóżku Evana.

- Sierżant jest roztrzęsiony - wyjaśnił, jakbym sama tego nie zauważyła. - Zwykle jest bardziej wyluzowany.

- To tak jak ja - stwierdziłam. - Kompletnie rozluźniona. Żadnych zmartwień.

Wpatrywał się we mnie, nie ruszając się z miejsca, a jego policzki były równie zaczerwienione jak uszy.

- To naprawdę twój chłopak? - zapytał.

- Kto? Oczywiście, że nie, Dumbo. Poznałam go, gdy chciał mnie zabić.

- To dobrze. - Na jego twarzy malowała się ulga. - On jest taki sam jak Vosch, wiesz?

- Nie. Jest zupełnie inny.

- Chodzi mi o to, że jest jednym z nich. - Ściszył głos, jakby dzielił się wielką tajemnicą. - Zombie mówi, że oni wcale nie są jak robaki w naszych mózgach, tylko jak programy komputerowe, wirusy załadowane do naszych ciał.

- Tak, można to tak opisać.

- Pokręcone.

- Cóż, pewnie mogli się też załadować do ciał kotów, ale wtedy wykończenie ludzkości zajęłoby im dużo więcej czasu.

- No tak, pewnie z miesiąc czy dwa dłużej - odpowiedział, a ja parsknęłam śmiechem. Zaskoczyło mnie to równie mocno jak słyszany wcześniej śmiech Sama. Przyszło mi do głowy, że jeśli ktoś chciałby odrzeć ludzi z resztek człowieczeństwa, wystarczyłoby, że zakazałby śmiechu. Nie byłam może najlepsza z historii, ale miałam wrażenie, że tacy durnie jak Hitler nie śmiali się zbyt często. - Wciąż tego nie rozumiem - zastanawiał się na głos Dumbo. - Dlaczego jeden z nich chce być po naszej stronie?

- Wydaje mi się, że on sam chyba nie zna tak do końca odpowiedzi na to pytanie.

Chłopak pokiwał głową, wyprostował ramiona i wziął głęboki oddech. Padał z nóg. Jak my wszyscy. Ruszył na zewnątrz.

- Dumbo - zawołałam cicho, nim wyszedł, zadając mu to samo pytanie co Ben: - Przeżyje?

Milczał przez długą chwilę.

- Gdybym mógł tak jak Przybysze wybrać każde ciało - wyjaśnił w końcu powoli - to szukałbym jakiegoś naprawdę silnego. A potem, żeby się upewnić, że przetrwam tę wojnę, zaszczepiłbym się przeciwko wszystkim wirusom i bakteriom żyjącym na Ziemi. Albo przynajmniej starałbym się zwiększyć odporność. Jak u psa, któremu podajesz szczepionkę na wściekliznę.

Popatrzyłam na niego z uśmiechem.

- Jesteś całkiem rozgarnięty, wiesz?

Poczerwieniał.

- Wiem, te uszy mogą mylić.

Wyszedł. Nagle poczułam się obserwowana. Słusznie: Pączek przyglądał mi się uważnie ze swojego miejsca przy oknie.

- A ty? - zapytałam. - Jaka jest twoja historia? Dlaczego nie chcesz gadać?

Odwrócił się, a jego oddech zaparował szybę.

Cassie! Obudź się, Cassie! - Natychmiast się zerwałam. Spałam obok Evana, wtulając w niego głowę i trzymając go za rękę, choć nie miałam pojęcia, jak do tego doszło. Stojący przy łóżku Sam ciągnął mnie za rękaw. - Wstawaj, Sullivan!

- Nie mów tak do mnie - wymamrotałam. Do pokoju wlewało się światło późnego popołudnia. Przespałam cały dzień. - Co?...

Mój braciszek przyłożył palec do ust, a drugim wskazał na sufit.

- Słuchaj.

Do moich uszu dotarł łoskot nadlatujących helikopterów, daleki, ale niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym. Zbliżały się w naszym kierunku. Wyskoczyłam z łóżka, zgarniając karabin. I ruszyłam z Samem na korytarz, gdzie Pączek i Dumbo naradzali się z Benem kucającym na podłodze jak futbolista przed meczem.

- Może to tylko patrol - szepnął. - I to nie nas szukają. Przed wybuchem dwa oddziały opuściły obóz. A oni lecą z misją ratunkową.

- Namierzą nas - panikował Dumbo. - Jesteśmy skończeni, sierżancie.

- Może nie. - W głosie Bena pojawiła się nadzieja. - Słyszysz? Odlatują...

Faktycznie: dźwięk stawał się coraz cichszy. Musieliśmy wstrzymywać oddechy, by w ogóle coś usłyszeć. Staliśmy tak jeszcze dobre dziesięć minut, upewniając się, czy naprawdę niczego już nie słychać. Kiedy po kolejnych dziesięciu mi nutach dźwięk nie powrócił, Ben głośno wypuścił powietrze,

- Chyba już po wszystkim...

- Tylko na jak długo? - dopytywał Dumbo. - Nie powinniśmy tu zostawać tej nocy. Moim zdaniem musimy ruszać do jaskiń.

- I rozminąć się z Ringer? - Ben potrząsnął głową. - Albo natknąć się na otwartej przestrzeni na powracające helikoptery? Nie. Trzymajmy się planu, Dumbo. - Wyprostował się i spojrzał w moją stronę. - I co tam z Buzzem Astralem? Nadal bez zmian?

- Ma na imię Evan. I tak, żadnych zmian.

Na twarzy Bena pojawił się uśmiech. Zaczynałam podejrzewać, że nieustające zagrożenie dodawało mu energii do życia, był jak zombie, które szukają tylko jednego rodzaju pokarmu. Nikt nigdy nie słyszał o

zombie wegetarianach. Rzucenie się na talerz szparagów nie niesie ze sobą żadnego wyzwania.

- A Zombie nazwał twojego chłopaka kosmicznym kadetem. - Sam zachichotał.

- Nie jest kadetem, to jedno, a drugie: chciałabym się dowiedzieć, czemu wszyscy mówicie, że to mój chłopak.

- A nie jest? - Uśmiech Bena stał się jeszcze szerszy. - Całował cię przecież...

- Tak na całego? - chciał wiedzieć Dumbo.

- O tak. Zdecydowanie. Widziałem ich dwa razy.

- Z języczkiem?

- Ble. - Sam skrzywił się z obrzydzeniem.

- Mam broń i potrafię jej użyć - przypomniałam półżartem.

- Nie widziałem żadnych języków - odparł Ben.

- A chcesz? - Wywaliłam do niego jęzor na całą długość.

Dumbo zarechotał, nawet Pączek się uśmiechnął.

To właśnie wtedy z klatki schodowej wyszła na korytarz ta dziewczynka i w mgnieniu oka wszystko stało się bardzo dziwne.

Poplamiona błotem (lub krwią) dziurawa koszulka z Hello Kitty. Krótkie spodenki, które być może kiedyś były beżowe, ale sprały się do przybrudzonej bieli. Toporne klapki z kilkoma plastikowymi kamykami uporczywie trwającymi przy paskach. Wąska, chochlikowata twarz zdominowana przez olbrzymie oczy i zwieńczona szopą splątanych czarnych włosów. Mogła być w wieku Sama, ale wycieńczenie sprawiało, że wyglądała jak drobniutka staruszka.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Sparaliżowało nas. Widząc ją na końcu korytarza - zmarzniętą, szczękającą zębami z potwornego zimna - poczułam się jak w Trupim Jarze, gdy po raz pierwszy zobaczyłam żółte autobusy pełne dzieci. To było po prostu niemożliwe.

Nagłe usłyszałam szept Sama.

- Megan?

- Kim u diabła jest Megan? - zapytał Ben w imieniu nas wszystkich.

Sam podbiegł do dziewczynki, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać. Zatrzymał się w połowie drogi. Mała nie ruszyła się z miejsca. Nawet nie mrugnęła. Jej oczy lśniły w półmroku, były jasne i ptasie, nadawały jej wygląd baj marszczonej sowy.

Sam odwrócił się w naszą stronę.

- To Megan! - powtórzył, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego nie jest to dla nas oczywiste. - Zombie! To przecież Megan. Była ze mną w autobusie. - Spojrzał ponownie na dziewczynkę. - Cześć, Megan - przywitał ją zwyczajnym głosem, jakby spotkali się przypadkiem w piaskownicy.

- Pączek, sprawdź schody - poprosił łagodnie Ben. - Dumbo, okna. Potem obaj zejdziecie na parter. Nie wierzę, że przyszła tu sama.

Nagle dziewczynka otwarła buzię, a brzmienie jej przeraźliwie piskliwego głosu kojarzyło się z drapaniem paznokcia mi po tablicy.

- Boli mnie gardło.

Oczy zapadły się jej wewnątrz czaszki i na ugiętych kolanach osunęła się na ziemię. Sam natychmiast skoczył ku niej, ale było już za późno: nim zdążył ją złapać, dziewczynka z głuchym hukiem uderzyła czołem o wykładzinę. Podbiegłam do niej z Benem, który przykucnął obok dziecka i próbował wziąć je na ręce, ale go odepchnęłam.

- Nie powinieneś dźwigać - fuknęłam.

- Przecież jest lekka jak piórko - oburzył się.

Podniosłam Megan z podłogi. Miał rację, dziewczynka ważyła tyle co worek mąki: skóra, kości, zęby, włosy i to wszystko. Zaniosłam ją do pokoju, w którym leżał Evan, położyłam na pustym łóżku i nakryłam jej drżące ciało sześcioma kocami. Poprosiłam Sama, by przyniósł mi karabin porzucony na korytarzu.

- Sullivan. - Na progu pokoju pojawił się Ben. - Coś tu śmierdzi.

Skinęłam głową. To, że przypadkiem dotarła do naszej kryjówki w hotelu, było bardziej prawdopodobne niż to, że udało jej się przy tej pogodzie przetrwać w letnich ciuszkach. Oboje pomyśleliśmy o tym samym - mała Megan pojawiła się zaledwie dwadzieścia minut po tym, gdy usłyszeliśmy helikoptery.

Nie przyszła tutaj o własnych siłach. Została dostarczona.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - skwitowałam.

- I przysłali ją zamiast zbombardować cały hotel? Po co?

Sam wrócił z moją bronią.

- To Megan - przypomniał. - Jak nas wieźli autobusem do obozu Przystań, siedziała obok mnie.

- Ale ten świat mały, no nie? - Odepchnęłam go delikatnie od łóżka i spojrzałam na Bena. - Jakieś pomysły?

Potarł brodę. Ja poskrobałam się po karku. W naszych głowach krążyły dziesiątki najróżniejszych myśli. Wciąż się drapaliśmy, gdy nagle na mnie spojrzał.

- Urządzenie namierzające. Na pewno jej je zainstalowali.

Oczywiście. To właśnie dlatego Ben dowodził oddziałem. Potrafił myśleć. Przesunęłam dłonią po chudym jak u gęsi karku Megan, szukając znajomego wybrzuszenia. Nic. Spojrzałam na Bena, potrząsając głową.

- Wiedzieli, że tam sprawdzimy - żachnął się, coraz bardziej zniecierpliwiony. - Przeszukaj ją. Dokładnie. Każdy centymetr. Sam, idziesz ze mną.

- Czemu nie mogę zostać? - rozżalił się mój braciszek, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego musi porzucić dopiero co odzyskaną koleżankę

- Chciałbyś zobaczyć całkiem gołą dziewczynę? - zapytał Ben, robiąc zdegustowaną minę. - Ohyda - dodał i pchnął go ku drzwiom.

Wyszli. Potarłam zmęczone oczy. Niech to szlag.

Odsunęłam koce na krawędź łóżka, wystawiając wycieńczone ciało dziewczynki na przygasające światło zimowego wieczoru. Była podrapana i posiniaczona, krwawiące otarcia pokrywał brud wrastający z okrutną obojętnością i bezwzględnym okrucieństwem aż do kości - była jedną z nas, była nami wszystkimi. Była arcydziełem stworzonym przez Przybyszy, ich *opus magnum*, przeszłością i przyszłością łudź kości, tym, co chcieli z nami zrobić i zrobili. Zaczęłam płakać. Płakałam nad Megan, nad sobą, nad swoim braciszkiem i nad wszystkimi innymi, którzy do tej pory nie umarli.

Powtarzałam sobie, że mam przestać o tym myśleć. Daj spokój, Sullivan. Jesteśmy, a potem nas nie ma, tak było za wsze, jeszcze zanim oni się tu pojawili. Przybysze nie wymyślili śmierci: oni tylko dopracowali ją do perfekcji. Nadali jej twarz, wiedząc, że tylko tak zdołają nas przestraszyć i złamać. Ta wojna nie skończy się na kontynentach, oceanach, w górach czy na równinach, w dżungli lub na pustyni. Skończy się dokładnie tam, gdzie się zaczęła, gdzie trwa od samego początku - na polu bitewnym ostatniego bijącego ludzkiego serca.

Zdjęłam z Megan brudne, poszarpane letnie ubrania. Rozłożyłam jej ręce i ramiona, tak że wyglądała jak ten nagi gość ze szkicu Leonarda da Vinci, narysowany w kwadracie wpisanym w okrąg. Zmusiłam się, by przeszukać ją bardzo skrupulatnie, centymetr po centymetrze, zaczynając od głowy i przesuwając się w dół ciała.

- Przepraszam - szeptałam ciągle, naciskając, ugniatając i sprawdzając we wszystkich zakamarkach. - Przepraszam.

Nagle przestałam być smutna. Przypomniałam sobie paluch Voscha oparty na przycisku, który miał usmażyć mózg mojego pięcioletniego braciszka, i tak bardzo zapragnęłam krwi tego sukinsyna, że aż zaczęłam się ślinić.

*Wydaje ci się, że rozumiesz, jak myślimy, więc powinieneś wiedzieć, co zamierzam zrobić. Oderwę ci twarz szczypcami. Wyrwę ci serce za pomocą szydełka. Zostawię na tobie siedem miliardów nacięć, po jednym za każde z nas. Taka właśnie będzie cena. Lepiej się przygotuj, bo odbierając ludzkości człowieczeństwo, sprawiłeś, że nie mamy żadnych skrupułów.*

*Innymi słowy: odpłacimy ci pięknym za nadobne, skurwysynu.*

Przyprowadziłam Bena do pokoju.

- Nic - oznajmiłam. - A sprawdziłam naprawdę wszędzie.

- Zajrzałaś jej do gardła? - zapytał cicho, słysząc resztki wściekłości w mym głosie. Obchodził się ze mną tak ostrożnie, jakbym była chora psychicznie. - Zanim zemdlała, mówiła coś o bólu gardła.

Pokiwałam głową.

- Też nic. Sprawdziłam. Nie ma przy sobie żadnego urządzenia namierzającego.

- Jesteś na sto procent pewna? To dość dziwne, żeby wygłodzone, zmarznięte dziecko zaczęło się od progu skarżyć właśnie na ból gardła.

Podszedł ostrożnie do łóżka, zachowując się tak, jakby się obawiał, że skoczę na niego w ataku szału. A przecież nigdy mi się coś takiego nie przytrafiło. Położył dłoń na czole Megan, a drugą rozchylił jej usta. Pochylił się, patrząc do środka.

- Nic nie widać - wymamrotał.

- Może ci się przydać - podałam mu ołówkową latarkę za braną przez Sama z obozu.

Poświecił dziewczynce w usta.

- Mocno zaczerwienione - zauważył.

- Tak. To właśnie dlatego się skarżyła.

Podrapał się po zaroście, zupełnie nie wiedząc, co z tym począć.

- Dlaczego nie: „pomóżcie”? Albo: „wasz opór jest daremny”? Dlaczego: „boli mnie gardło”?

- „Wasz opór jest daremny”? Serio? - Spojrzałam na niego, krzyżując ramiona na piersi.

W drzwiach stanął Sam, który spojrzał na mnie tymi swoimi wielkimi brązowymi ślepiami.

- Nic jej nie jest? - zapytał.

- Żyje - potwierdziłam.

- Musiała to połknąć - odezwał się nagle Ben jak zwykle pełen pomysłów. - To właśnie dlatego nie potrafiłaś niczego znaleźć.

- Przecież te urządzenia są wielkości ziarenka ryżu - przypomniałam. - Dlaczego miałoby jej podrażnić gardło?

- Wcale nie mówię, że to nadajnik podrażnił jej gardło. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

- To dlaczego się przejmujesz, że skarżyła się na ból gardła?

- Posłuchaj, powiem ci, czym się naprawdę przejmuję. - Ze wszystkich sił próbował zachować spokój, wiedząc, że ktoś musi. - Przejmuję się tym, że jej niespodziewane pojawienie się może oznaczać setki rzeczy, i to żadnej dobrej. A meganajgorsze jest to, że nie mamy pojęcia, po co ją tu przysłano.

- Meganajgorsze?

- Ha, ha, ha. Pośmiej się z głupka, który nie potrafi się nawet wysłowić. Przysięgam, że kolejna osoba, która będzie mnie poprawiać, dostanie w dziób.

Westchnęłam. Gniew powoli mnie opuszczał, pozostawiając pustą, odsączoną z krwi skorupę w kształcie ludzkiego ciała. Ben wciąż wpatrywał się w Megan.

- Musimy ją obudzić - zdecydował.

W tym samym momencie do pokoju wparował Dumbo w towarzystwie Pączka.

- Możesz nie mówić. - Ben popatrzył na milczącego wielkoluda, który oczywiście nie miał zamiaru się odezwać. - Nie znaleźliście nic.

- Nie znaleźliśmy niczego - poprawił go Dumbo.

Ben nie strzelił go w dziób. Zamiast tego wyciągnął do niego rękę.

- Daj mi swoją manierkę - polecił. Zdjął nakrętkę i przechylił naczynie nad czołem Megan. U wylotu pojawiła się kropla wody, która zdawała się wisieć na krawędzi przez całą wieczność.

Nim wieczność dobiegła końca, za naszymi plecami dał się słyszeć ochrypły głos.

- Nie robiłbym tego na waszym miejscu.

Evan Walker odzyskał przytomność.

Wszyscy zamarli. Nawet kropla wody wciąż nie poddała się grawitacji. Evan przyglądał nam się ze swojego łóżka rozpalonym od gorączki spojrzeniem, czekając, aż ktoś zada oczywiste pytanie. Padło na Bena.

- Dlaczego?

- Jeśli obudzicie ją w ten sposób, weźmie głęboki oddech. To bardzo zły pomysł.

Ben odwrócił się w jego stronę. Krople wody pociekły na podłogę.

- O czym ty gadasz?

Evan z wyraźnym trudem przełknął ślinę. Jego pobladła twarz ledwie odcinała się od bieli poduszki.

- Ma w sobie implant - wyjaśnił. - Ale to nie jest urządzenie naprowadzające.

Ben zacisnął usta w wąziutką białą kreskę. Prawda dotarła do niego wcześniej niż do nas. Spojrzał na Dumbo i Pączka.

- Na korytarz - rozkazał. - Natychmiast. Ty, Sullivan, też. Weź brata.

- Nigdzie nie idę - zaprotestowałam.

- Powinnaś - wtrącił Evan. - Nie wiadomo, jaką ustawili czułość.

- Czułość czego? - domagałam się odpowiedzi.

- Zapalnika działającego na dwutlenek węgła - wyjaśnił, odwracając wzrok, nim wymówił kolejne słowa. - Aktywowanego ludzkim oddechem.

Do tej pory wszyscy rozumieli, o co chodzi. Istnieje jednak różnica między rozumieniem czegoś a pogodzeniem się z tym. Trudno było przyjąć już sam pomysł takiego urządzenia. Mimo wszystkich przejść pewne rzeczy wciąż wydawały nam się niewyobrażalne.

- Wszyscy na dół - warknął Ben. - I to już.

Evan potrząsnął głową.

- To może nie wystarczyć. Musicie opuścić budynek.

Ben złapał Dumbo i Pączka za ramiona i wypchnął ich za drzwi. Sam wsadził piąstkę do buzi i stał jak sparaliżowany w drzwiach łazienki.

- Myślę, że warto otworzyć okno - zauważył Evan.

Wyprowadziłam brata na korytarz i podbiegłam do okna.

Pchnęłam z wszystkich sił, ale było tak zamarznięte, że nawet nie drgnęło. Obok mnie pojawił się Ben, który bez żadnych ceregieli walnął w szybę kolbą karabinu. Lodowate powietrze wdarło się do środka. Ben wrócił do leżącego na łóżku Evana i przyglądał mu się przez jakąś sekundę, nim złapał go za włosy i przyciągnął do siebie.

- Ty sukinsynu...

- Ben. - Położyłam dłoń na jego ramieniu. - Zostaw go. On nic...

- Ach tak. Zapomniałem. To przecież ten przyjazny obcy Przybysz. - Puścił go, sugerując, by zajął się pewną obrzydliwą i anatomicznie raczej niemożliwą czynnością. Evan upadł na plecy, nie miał nawet siły, by się podnieść. Odwrócił wzrok w moją stronę.

- Zapalnik jest w gardle - wycharczał. - Zawieszony tuż pod języczkiem.

- Zamontowali w niej bombę. - Głos Bena drżał z gniewu i niedowierzania. - Zamienili dziecko w broń masowego rażenia.

- Możemy ją rozbroić? - zapytałam.

- Jak? - Evan potrząsnął głową.

- Przecież właśnie o to cię pyta, kretynie - warknął Ben.

- Ładunek jest połączony z zapalnikiem umieszczonym w jej gardle. Jeśli połączenie zostanie zerwane, bomba wybucha.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie - upomniałam go. - Możemy to jakoś usunąć, nie wysadzając przy tym wszystkiego w powietrze?

- Jest to wykonalne...

- Wykonalne. Wykonalne! - W gardle Bena wezbrał wariacki śmiech. Zaczynałam się obawiać, czy przypadkiem nie rzuciło mu się na rozum.

- Evanie - odezwałam się tak spokojnie, jak tylko umiałam. - Czy możemy się tego pozbyć bez...

Nie musiałam kończyć.

- Będziecie mieli dużo większe szanse, jeśli najpierw to zrobicie.

- Co zrobimy? - Ben najwyraźniej pogubił się w tej rozmowie. Jego myśli wciąż dryfowały w jakichś niewyobrażalnych miejscach niczym słabi pływacy zniesieni falą przypływu.

- Musicie ją najpierw zabić - wyjaśnił Evan.

Zwołaliśmy w korytarzu kolejne zebranie z cyklu „słuchajcie, mamy przewalone”. Ben kazał wynieść się wszystkim na drugi koniec parkingu i schować się w restauracji, dopóki nie da sygnału, że wszystko w porządku albo hotel nie wyleci w powietrze. Sam zaczął protestować, ale Zombie pozostał nieugięty. Widząc jego łzy i dąsy, przypomniał mojemu bratu, że jest żołnierzem, a powinnością dobrego żołnierza jest wykonywanie rozkazów. Dodał również, że nie może puścić Dumbo i Pączka bez ochrony.

Wielkouchy chłopak nie miał problemu z domyśleniem się, co zamierza Ben.

- To ja powinienem to zrobić. Mam szkolenie lekarskie - przypomniał.

Ben potrząsnął głową.

- Znikajcie stąd - ponaglił ich ochrypłym głosem.

Zostaliśmy sami. Ben miał rozbiegane spojrzenie uwięzionego karalucha. Szczura w pułapce. Człowieka, który właśnie runął z klifu i nie ma się czego uczepić.

- Domyślam się, że tym samym rozwiązaliśmy dzisiejszą zagadkę - stwierdził. - Tyle że wciąż nie rozumiem, dlaczego nie walnęli w nas po prostu rakietami. Wiedzą, że tu jesteśmy.

- To nie w ich stylu - odpowiedziałam.

- Jakim znowu stylu?

- Nie zwróciłeś uwagi, jak bardzo osobiście to wszystko traktują? I to od samego początku. Zabijanie ludzi daje im prawdziwego kopa.

Ben popatrzył na mnie z wyraźnym niesmakiem.

- No tak. Cóż. To w końcu ty chcesz chodzić z jednym z nich. - Błyskawicznie uświadomił sobie, że to było wredne, i natychmiast się wycofał. - A zresztą kogo my oszukujemy, Cassie? Tu nie ma miejsca na żadną decyzję poza tym, kto powinien to zrobić. Równie dobrze możemy rzucić monetę.

- Może faktycznie powinniśmy zawołać Dumbo? Mówiłeś przecież, że uczyli go w obozie, jak przeprowadzić operację w warunkach polowych.

- Operację? - Zmarszczył brwi. - Żartujesz, prawda?

- A jak inaczej masz zamiar...

Nagle zrozumiałam. Nie mogłam się z tym pogodzić, ale rozumiałam. Myliłam się co do Bena. Jego umysł pogrążył się w mroku o wiele głębiej niż mój. Jakieś pięć kilometrów głębiej.
Opuścił brodę na pierś, widząc moją minę. Jego policzki były rozpalone. Rumieniec nie oznaczał jednak wstydu, tylko gniew, wściekłość wykraczającą poza wszelkie słowa.

- Nie, Ben - sprzeciwiłam się. - Nie możemy tego zrobić.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie rozpalonym wzrokiem.

Jego ręce drżały.

- Ja mogę to zrobić.

- Nie. Nie możesz.

Widziałam, że jego umysł pogrąża się coraz bardziej. Tonął tak głęboko, że nie byłam pewna, czy zdołam go jeszcze dosięgnąć, czy uda mi się go wyciągnąć na powierzchnię.

- Nie prosiłem się o to - warknął. - W ogóle o nic się nie prosiłem.

- Ona też nie, Ben - przypomniałam łagodnie.

Pochylił się tak blisko, że dostrzegłam zupełnie inny ogień płonący w jego oczach.

- Ona nie ma dla mnie znaczenia. Jeszcze godzinę temu nie wiedziałem, że istnieje. Rozumiesz? Była niczym. Dosłownie. Miałem ciebie, twojego braciszka, Pączka i Dumbo. A oni mieli ją. Należy do nich. To nie ja ją porwałem, nie ja okłamałem, żeby wsiadła do autobusu, wmawiając, że jest bezpieczna, i nie ja wepchnąłem jej bombę do gardła. To nie moja wina. Nie biorę za to odpowiedzialności. Ale odpowiadam za to, by utrzymać swoje i twoje dupsko przy życiu. I to jak najdłużej. A jeśli to oznacza, że musi umrzeć ktoś, kto nie ma dla mnie znaczenia, to trudno.

Byłam w rozsypce. Ben odleciał zbyt daleko, napięcie panujące między nami było tak wielkie, że nie potrafiłam oddychać.

- Właśnie tak - odezwał się z goryczą. - Płacz, Cassie. Płacz za nią. Płacz za tymi wszystkimi dziećmi. Nie mogą cię zobaczyć ani usłyszeć i nigdy się nie dowiedzą, jak bardzo im współczułaś, ale tak, płacz nad nimi. Łza za każde dziecko, cały pierdolony ocean łez.

Przepchnął się obok mnie i powłócząc nogami, wyszedł przez roztrzaskane drzwi na korytarz. Nie potrafiłam się ruszyć. Nie umiałam wydobyć z siebie ani słowa. Nie zrobiłam nic, by go powstrzymać.

Dotarłam do stanu, w którym zabrakło mi słów, a każdy gest wydawał się bezsensowny.

*Powstrzymaj go, Evanie. Błagam. Zrób to, bo ja nie potrafię.*

Przypomniałam sobie schron i wpatrzone we mnie buzie oraz moją cichą modlitwę, niewypowiedzianą obietnicę: *Wyniosę was stąd na własnych plecach. Wyniosę. Wyniosę.*

Nie mógł jej zastrzelić. Zbyt duże ryzyko. Musi ją udusić. Dociśnie jej do twarzy poduszkę i przytrzyma ją tak długo, jak będzie trzeba. Nie zostawi tu jej ciała. Zbyt duże ryzyko. Wyniesie je na zewnątrz, ale ani go nie pochowa, ani nie spali - ryzyko. Porzuci ją w lesie, na zamarzniętej ziemi, zostawiając na żer sępom, krukom i robakom.

Oparłam się o ścianę, podciągając kolana pod brodę, opuściłam głowę i otoczyłam ją ramionami tak, by niczego nie słyszeć. Zamknęłam oczy. Natychmiast zobaczyłam Voscha wduszającego przycisk, poduszkę w rękach Bena, swój palec na spuście. Sam. Megan. Żołnierz z krzyżykiem. I głos Ringer - dobiegający z cichego mroku: *Czasem trafiasz w złe miejsce i w złym czasie. Nikt nie ponosi winy za to, co się wtedy dzieje.*

Kiedy wróci Ben, wstanę z łóżka, podejdę do niego i spróbuję go pocieszyć, sprawić, by zapomniał, jaki jest rozdarty i opuszczony. Wezmę go za rękę, którą zamordował dziecko, i razem zapłaczemy nad sobą i nad wyborami, pozostawiającymi nas bez żadnego wyboru.

Ben wrócił. Usiadł pod ścianą w korytarzu dziesięć pokoi dalej. Minutę później wstałam i podeszłam do niego. Nie podnosił głowy. Wbijał wzrok w podłogę, opierając ramiona na ugiętych kolanach. Usiadłam obok.

- Mylisz się - powiedziałam. Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „i co z tego”. - Ona należy do nas. One wszystkie są nasze. Oparł głowę o ścianę.

- Słyszysz? - zapytał. - Wszędzie te cholerne szczury.

- Wydaje mi się, że nie powinieneś czekać do rana, Ben. Musicie stąd odejść. I to teraz. Zabierz ze sobą Pączka i Dumbo, idźcie do jaskiń.

Może Ringer będzie mogła mu pomóc. Potrafiła do niego dotrzeć, bał się jej, a nawet trochę ją podziwiał.

Nagle z jego ust dobył się gardłowy śmiech.

- Całkiem się rozsypałem, Sullivan - przyznał, patrząc na mnie. - Jestem kompletnie załamany. A Walker się do tego nie nadaje.

- Do czego się nie nadaje?

- Daj spokój. Wiesz, że jesteś jedyną, która ma choć cień szansy...

- Nie zrobiłeś tego?

- Nie mogłem. - Zaśmiał się ponownie. Uniósł wreszcie głowę i wziął głęboki oddech. - Nie mogłem.

W pokoju, gdzie leżała dziewczynka, było zimniej niż w psiarni. Evan siedział na łóżku, nie spuszczając mnie z oczu. Podniosłam poduszkę upuszczoną przez Bena na podłogę i przysiadłam obok Evana. W powietrzu unosiła się para, w którą przemieniały się nasze oddechy, a w gęstniejącej ciszy słychać było jedynie bicie naszych serc.

- Po co? - zapytałam w końcu.

- Żeby zniszczyć to, co jeszcze pozostało - wyjaśnił. - Zerwać tę ostatnią, nienaruszalną więź.

Przytuliłam poduszkę do piersi i zaczęłam się kołysać w przód i w tył.

Zimno. Tak bardzo zimno.

- Nikomu nie możemy zaufać. Nawet dzieciom. - Czułam, jak chłód przenika aż do wnętrza moich kości. - Czym ty jesteś, Evanie Walkerze? Czym wy jesteście?

- Mówiłem ci już - odpowiedział, nawet nie patrząc w moją stronę.

- Tak. - Pokiwałam głową. - Mówiłeś. Jesteś wielkim białym rekinem. Ale ja nie. Jeszcze nie. Nie zabijemy jej. Zamierzam wyciągnąć z niej to paskudztwo, a ty mi w tym pomożesz.

Nie próbował się sprzeczać. Wiedział, że to bez sensu.

Przed dołączeniem do pozostałych, oczekujących w restauracji po drugiej stronie parkingu, Ben pomógł mi zgromadzić niezbędny sprzęt. Ściereczki. Ręczniki. Odświeżacz powietrza w sprayu. Przybornik medyczny należący do Dumbo. Pożegnaliśmy się przed drzwiami prowadzącymi na schody. Ostrzegłam go, by uważał na rozdeptane, śliskie flaki szczurów, niewidoczne w tych ciemnościach.

- Nie dałem rady - przyznał ze spuszczoną głową i szurając nogą po podłodze jak zawstydzony chłopaczek. - To nie było właściwe z mojej strony.

- Nic się nie martw. Twoja tajemnica to moja tajemnica.

Uśmiechnął się.

- Sullivan... Cassie... gdybyśmy się mieli już więcej... muszę ci powiedzieć, że... - Milczałam. Nie chciałam go ponaglać. - Popełnili naprawdę poważną pomyłkę - wydukał w końcu. - Jeśli ci idioci chcieli wygrać, powinni byli na samym początku zabić ciebie.

- Benjaminie Thomasie Parish, to najmilszy i najbardziej zryty komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam.

Pocałowałam go w policzek. On pocałował mnie w usta.

- Wiesz, że jeszcze rok temu oddałabym duszę za taką chwilę? - szepnęłam.

Potrząsnął smutno głową.

- To byłby najgorszy interes w twoim życiu.

Przez jedną dziesięciotysięczną sekundy miałam przed sobą starego Bena, Bena, który powrócił z martwych wolny od bólu, gniewu i głodu. Bena z przeszywającym spojrzeniem i zabójczym uśmiechem. Wrażenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło i znów stał przede mną nowy Ben, ten, na którego wołano Zombie. Wreszcie coś do mnie dotarło: obiekt moich szkolnych westchnień był równie martwy jak dziewczyna, która do niego wzdychała.

- Wynoś się już - ponagliłam go. - A jeśli pozwolisz, żeby coś się stało mojemu braciszkowi, znajdę cię i obiję jak psa.

- Jestem może i durniem, ale nie aż takim - odpowiedział i odszedł, znikając w mroku klatki schodowej.

Wróciłam do pokoju. Nie byłam w stanie tego zrobić, ale nie miałam innego wyjścia. Evan skulił się w rogu łóżka, opierając plecami o zagłówek. Ostrożnie dźwignęłam Megan i przeniosłam na jego łóżko, układając mu głowę dziewczynki na podołku. Sięgnęłam po odświeżacz powietrza (Subtelną Wiązankę Zapachów!) i spryskałam nim ściereczkę. Trzęsły mi się ręce. Nie dam rady tego zrobić. Nie jestem w stanie.

- Haczyk z pięcioma zagięciami - wyjaśnił spokojnie Evan. - Tuż pod prawym migdałkiem. Nie próbuj go wyrywać. Znajdź drucik, złap jak najbliżej haczyka i spróbuj go powoli, jak najwolniej odczepić. Jeśli drut się zerwie, kapsułka...

- Pierdut! Wiem. Mówiłeś już. - Pokiwałam niecierpliwie głową.

Otworzyłam przybornik ze sprzętem medycznym, wyjęłam szczypce i nożyczki chirurgiczne, które wydawały się ogromne, choć były niewielkie. Włączyłam latarkę i przytrzymałam ją zębami. Podałam Evanowi zalatującą sosnowym zapachem ściereczkę, a on przycisnął ją do nosa i ust Megan. Dziewczynka wierzgnęła, jej drżące powieki otwarły się na całą szerokość, odsłaniając białka wywróconych

oczu. Przez chwilę trzęsły jej się złożone do tej pory na brzuchu ręce, potem się uspokoiła. Evan położył ściereczkę na jej piersi.

- Jeśli się obudzi, kiedy będę zaglądać do... - wymamrotałam, trzymając latarkę w zębach, co zamieniło moje słowa w niezrozumiały bełkot.

Evan pokiwał głową.

- Znam sto powodów, dlaczego to się może nie udać, Cassie.

Przekręcił jej głowę i siłą rozwarł szczęki. Spojrzałam w czerwony tunel szerokości brzytwy i głębokości co najmniej kilometra. Szczypce w lewej ręce, nożyczki w prawej Moje ręce wydawały się wielkie jak piłki futbolowe, nie miałam pojęcia, jak je zmieszczę w tych ustach.

- Możesz otworzyć jej buzię trochę szerzej? - poprosiłam Evana.

- Złamię jej szczękę, jeśli to zrobię.

Wydawało mi się, że to i tak lepsze wyjście niż ryzykowanie, że ktoś będzie musiał nas potem zbierać pęsetą. Ale co tam. Niech będzie.

- Ten? - zapytałam, dotykając delikatnie migdałka dziewczynki szczypcami.

- Nie widzę.

- Mówiłeś, że pod prawym migdałkiem. Po jej prawej stronie czy po mojej?

- Jej prawa. Twoja lewa.

- W porządku. - Wzięłam głęboki oddech. - Wolałam się upewnić. Nic nie widziałam. Udało mi się wsunąć szczypce do jej ust, ale nie miałam pojęcia, jak mam tam zmieścić jeszcze nożyczki.

- Spróbuj złapać drucik szczypcami - zasugerował Evan. - Przesuń go delikatnie, żebyś mogła zobaczyć, co robisz. Tylko nie szarp. Jeśli zerwiesz połączenie zapalnika z kapsułką...

- Jezu, Walker! Nie musisz mi tego powtarzać co dwie minuty! Wiem, co się stanie, jeśli zerwę ten pieprzony drucik. - Poczułam, że końcówki szczypiec o coś zaczepiły. - Dobra. Chyba mam.

- Powinien być bardzo cienki. Czarny i lśniący. Poświeć latarką, odbije światło.

- Ciszej - poprosiłam, choć z latarką W ustach brzmiało to jak „łszej”.

Cała się trzęsłam, ale moje dłonie jakimś cudem były idealnie spokojne. Przesunęłam szczypce w prawo, dociskając je do policzka i zrobiłam miejsce na czubek nożyczek. Czy to faktycznie to? Naprawdę

namierzyłam ten drucik? W świetle latarki połyskiwała cienka metalowa nić, nie grubsza niż ludzki włos.

- Powoli, Cassie.

- Zamknij. Się.

- Jeśli przełknie teraz ślinę, to...

- Zabiję cię. Naprawdę.

Trzymałam drucik końcówkami szczypiec. Wreszcie mogłam dostrzec niewielki haczyk wbity w zaczerwienioną tkankę. Powoli. Powoli. Wolniej. Upewnij się, tniesz z właściwej strony. Przy haczyku.

- Jesteś za blisko - ostrzegł Evan. - Nie odzywaj się teraz i nie dmuchaj jej w usta.

Nie ma sprawy. Mogę zamiast tego walnąć cię w dziób.

Twierdził, że zna sto powodów, dlaczego to może się nie udać. Ale są lepsze i gorsze powody. Kiedy Megan gwałtownie wierzgnęła i otwarła oczy, pomyśleliśmy o najgorszym.

- Budzi się! - wrzasnęłam bez sensu.

- Puść drucik! - odwrzasnął w pełni sensownie.

Jej zęby wbiły się w moją dłoń. Miotała głową na wszystkie strony. Utknęłam z palcami w jej ustach. Wciąż trzymałam drucik w szczypcach, ale wystarczy jedno mocniejsze szarp nięcie i kapsułka...

- Evan! Zrób coś!

Zaczął szukać po omacku szmatki nasączonej odświeżaczem.

- Nie! - krzyknęłam. - Przytrzymaj jej głowę, durniu! Nie pozwól...

- Tnij! - sapnął.

- Co? Przecież mówiłeś, żeby...

Ścisnął jej nos palcami. Ciąć? Jeśli to zrobię, drut może zahaczyć się o szczypce i zerwać. Jeśli tego nie zrobię, zerwie się od tego całego szamotania. Megan znów pokazała białka oczu, jej twarz wykrzywiała mieszanka bólu, przerażenia i zagubienia dostarczanych nam bez ustanku przez Przybyszy. Otwarła buzię na całą szerokość, a ja wepchnęłam jej nożyczki do gardła.

- Nienawidzę cię - wysyczałam do Evana. - Nienawidzę cię najbardziej na świecie.

Musiałam mu to powiedzieć, zanim złączą się ostrza nożyczek. Zanim wylecimy w powietrze.

- Masz to? - zapytał.

- Nie wiem! Nie mam pojęcia!

- Tnij! - Uśmiechnął się. Uśmiechnął! - Tnij, Jętko!
Przecięłam.

- To test - wyjaśnił Evan.

Zielonkawa kapsułka spoczywała bezpiecznie - taką przynajmniej mieliśmy nadzieję - na stole zapakowana w woreczek foliowy, taki sam, jakich dawno temu używały nasze matki, pakując w nie kanapki na drugie śniadanie.

- Chcesz powiedzieć, że ludzkie bomby są dopiero w fazie testów? - zapytał go Ben. Opierał się o framugę rozbitego okna. Trząsł się z zimna, ale ktoś musiał obserwować parking, a on nie chciał narażać nikogo innego. Za to pozbył się wreszcie tej zakrwawionej, idiotycznej żółtej bluzy i naciągnął na siebie czarny sweter, w którym wyglądał prawie na tak samo muskularnego jak przed lądowaniem.

Sam zachichotał w swoim łóżku nie do końca pewien, czy jego ukochany przywódca próbował żartować. Żaden ze mnie psycholog, ale miałam wrażenie, że mój braciszek dokonał przeniesienia swoich poważnych traum w związku ze śmiercią ojca na miłość do Zombie'ego.

- Nie testują bomb, tylko nas - odpowiedział Evan.

- Cudownie - warknął Parish. - Pierwszy test, jaki zdałem od trzech lat.

- Przestań - przerwałam mu. Kto wymyślił, że każdy sportowiec musi zachowywać się jak dureń? - Doskonale wiem, że w zeszłym roku dostałeś stypendium dla najzdolniejszych uczniów.

- Serio? - Dumbo nadstawił uszu. No dobra, nie powinnam śmiać się z jego uszu, ale wyglądał na naprawdę zaskoczonego.

- Serio. - Ben obdarzył go tym swoim patentowanym uśmiechem. - Ale to był słaby rok. Inwazja obcych i takie tam. - Spojrzał na Evana, a jego uśmiech natychmiast zgasł. Jak zawsze, gdy na niego patrzył. - W takim razie powiedz mi, co chcą przetestować.

- Wiedzę.

- To rozumiem. Zwykle taki jest cel testów. Wiesz, co by się nam teraz naprawdę przydało? Żebyś wreszcie odpuścił z tym zgrywaniem się na tajemniczego przybysza z kosmosu i zaczął normalnie gadać. Bo każda sekunda, jaką tu tracimy, podwaja wiszące nad nami ryzyko. To, że to jeszcze nie wybuchło - wskazał głową na woreczek - wcale nie

oznacza, że prędzej czy później nie wylecimy w powietrze. Jeszcze chwila i nasze dupska wylądują w Dubuque.

- Dubuque? - zdziwił się Dumbo. Niezrozumiała aluzja wzbudziła jego lęk. Co było nie tak z Dubuque?

- To tylko takie miasto - uspokoił go Ben. - Zupełnie przypadkowe.

Evan kiwał głową. Rzuciłam okiem na Pączka, który stał w progu z rozchylonymi ustami i wodził wzrokiem od jednego rozmówcy do drugiego, jak na meczu ping-ponga.

- Wrócą tutaj - poinformował Evan. - Chyba że oblejemy test. Wtedy nie będzie takiej potrzeby.

- Oblejemy? Przecież właśnie go zdaliśmy. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Wzrok Bena powędrował w moją stronę. - A ty jak myślisz?

- Żeby oblać, musielibyśmy ją bez żadnych pytań wpuścić do środka - wyjaśniłam. - A potem nasze dupska doleciałby aż do Dubuque.

- Dubuque - powtórzył Dumbo wciąż zafascynowany tą nazwą.

- Brak wybuchu może oznaczać trzy rzeczy - kontynuował Evan. - Urządzenie mogło się zepsuć. Mogło być źle skalibrowane. Albo...

Ben przerwał mu, podnosząc rękę.

- Albo ktoś w hotelu wiedział, że dzieci przenoszą bomby, potrafił rozbroić ładunek, wpakować go do plastikowego woreczka, a potem poprowadził wykład, jak wzbudzić panikę i paranoiczne podejrzenia wśród otępiałych ludzi. Testują, czy nie ma między nami jakiegoś uciszacza.

- Jest! - wrzasnął Sam, wskazując na Evana. - Ty jesteś uciszaczem!

- Nie mogliby się tego dowiedzieć, zrównując hotel z ziemią za pomocą rakiet - dokończył Ben.

- Co prowadzi nas do pytania: dlaczego w ogóle mają takie podejrzenia? - dodał cicho Evan.

Zapadła cisza. Ben postukiwał palcami o przedramię. Pączek zamknął buzię. Dumbo szarpał się za ucho. Ja kołysałam się w przód i w tył, skubiąc pluszową łapkę miśka. Nawet nie wiedziałam, dlaczego mam go ze sobą. Być może zgarnęłam go odruchowo, gdy Pączek przenosił Megan do sąsiedniego pokoju. Widziałam, że pluszak leży na podłodze, ale nie pamiętałam, żebym go podnosiła.

- To chyba oczywiste - stwierdził Ben. - Muszą jakoś wiedzieć, gdzie jesteś. Prawda? W przeciwnym razie ryzykowaliby strzelanie do swoich.

- Gdyby to wiedzieli, nie musieliby przeprowadzać testu. Ale mają podejrzenia.

Nagle zrozumiałam. Ale nie przyniosło mi to pociechy.

- Ringer.

Ben odwrócił się w moją stronę. Wyglądał tak, jakby najlżejszy podmuch wiatru mógł go zdmuchnąć z tej grzędy na parapecie.

- Złapali ją - wyjaśniłam. - Albo Filiżankę. Lub obie. - Spojrzałam na Evana, bo wyraz twarzy Bena był nie do wytrzymania.

- Brzmi całkiem logicznie - zgodził się Walker.

- Bzdura! - warknął Ben. - Ona nigdy by nas nie wydala

- Nie mówię, że z własnej woli - bronił się Evan.

- Kraina Czarów - uświadomiłam sobie z głośnym westchnieniem. - Załadowali jej wspomnienia...

Zombie zeskoczył z parapetu, stracił równowagę, a kiedy poniosło go do przodu, uderzył się o krawędź łóżka Sama. Drżał, ale tym razem nie z zimna.

- Nie. To niemożliwe. Nie. Nie. I jeszcze raz nie. Ringer wciąż jest wolna. Bezpieczna. Filiżanka też. Nie mam zamiaru w to wierzyć...

- Nie musisz - odpowiedział Evan.

Zeskoczyłam z krzesła i podeszłam do Bena. Była to jedna z tych chwil, kiedy wiesz, że musisz coś zrobić, ale nie masz pojęcia co.

- Ben. On ma rację. To on jest powodem, dla którego wciąż żyjemy. To dlatego przysłali tu Megan.

- Co jest z tobą? - warknął. - Wierzysz w każde jego słowo jak jakiemuś Mojżeszowi. Jeśli domyślają się, że tu jest, to niezależnie od jego powodów mają go za zdrajcę. Nic ich nie powstrzymuje przed wysłaniem nas do Dubuque.

Wszyscy spojrzeli na Dumbo, oczekując jego reakcji.

- Oni nie chcą mnie zabić - wyjaśnił Evan. Na jego twarzy pojawił się ogromny smutek.

- No tak, zapomniałem. Tylko ja tego chcę. - Ben westchnął, odsuwając się ode mnie i wracając na posterunek przy oknie. Oparł dłonie na parapecie i spojrzał w nocne niebo. - Zginiemy, jeśli tu zostaniemy. Zginiemy, jeśli spróbujemy uciekać. Mamy tak dużą szansę

na przetrwanie jak pięciolatek grający w szachy z Bobbym Fischerem na zwycięstwo. - Ponownie spojrzał na Evana. - Mogli cię przecież śledzić, posłać za tobą jakiś patrol, który doszedł aż tutaj. - Wskazał na woreczek. - To jeszcze nie oznacza, że dopadli Ringer albo Filiżankę. Znaczy to tylko tyle, że nie mamy czasu. Nie możemy się ukryć, nie mamy gdzie uciec, więc wracamy do punktu wyjścia. Pytanie nie brzmi, czy zginiemy, tylko jak zginiemy. Jak byś chciał umrzeć, Dumbo?

Chłopak stanął z wyprostowanymi ramionami i zadarł brodę do góry.

- Na stojąco, sierżancie - odpowiedział.

Wzrok Bena powędrował na Pączka.

- A ty? Też chcesz umrzeć na stojąco?

Pączek również zdążył się już pozbierać i pokiwał z namysłem głową.

Sama nie trzeba było o nic pytać. Mój braciszek po prostu wstał z łóżka i powolnym wyćwiczonym gestem zasalutował swojemu dowódcy.

No tak. Faceci.

Rzuciłam miśka na stół.

- Przerabiałam to już - oznajmiłam, patrząc na Testosteronową Brygadę. - Ucieczka to śmierć. Pozostanie tu to śmierć. Ale może zanim rozpętamy strzelaninę jak w O.K. Corral, spróbujmy przemyśleć trzecie rozwiązanie: wysadźmy to wszystko w powietrze.

Zatkało ich. Jako pierwszy na moją propozycję zareagował Evan, kiwając powoli głową, choć wyraźnie nie był zachwycony tym pomysłem. Zbyt wiele niewiadomych. Jedna jedyna szansa i tysiące możliwości porażki.

Ben od razu przeszedł do sedna.

- Niby jak? Kto weźmie na siebie obowiązek dmuchania i da się wysadzić razem z budynkiem?

- Ja to zrobię, sierżancie - zaoferował Dumbo. Miał tak zaczerwienione uszy, jakby wstydził się własnej odwagi. Uśmiechnął się delikatnie, dochodząc do puenty: - Zawsze chciałem odwiedzić Dubuque.

- Są też jeszcze inne źródła dwutlenku węgla niż ludzki oddech - przypomniałam zdobywcy stypendium dla najzdolniejszych.

- Coca-cola! - zawołał Dumbo.

- Powodzenia. Spróbuj jakąś znaleźć - zgasił go Ben. Miał rację. Słodkie napoje oraz alkohol zniknęły zaraz na początek ku inwazji.

- W puszce albo w butelce nie znajdziemy - potwierdził Evan. - Cassie, mówiłaś, że zaraz obok jest jakaś restauracja, prawda?

- Zbiorniki z dwutlenkiem węgla do dystrybutorów piwa przypomniałam sobie.

- Pewnie wciąż tam są - dodał.

- Przymocujemy bombę do zbiornika...

- Odkręcimy zawór, wypuszczając dwutlenek węgla...

- Powoli...

- W zamkniętym pomieszczeniu...

- Winda! - zawołaliśmy jednym głosem.

- Och - westchnął Ben. - Genialne. Choć nadal nie wiem, jak to rozwiązuje nasz problem.

- Pomyślą, że umarliśmy - wyjaśnił Sam. Było to zrozumiałe nawet dla pięciolatka, który jednak w odróżnieniu od Bena nigdy nie próbował przechytrzyć Voscha i jego bandy.

- Ale potem przyjdą sprawdzić, odkryją brak ciał i się domyślą - zaprotestował Ben.

- Ale zyskamy trochę czasu - zauważył Evan. - I zanim się we wszystkim zorientują, będziemy już daleko.

- Bo co, jesteśmy aż tacy sprytni? - uparcie powątpiewał Ben.

- Bo nigdy nie wpadną na to, gdzie nas szukać - Evan uśmiechnął się ponuro.

Nie mieliśmy czasu na dalsze dyskusje: musieliśmy rozpocząć Operację Wymeldowanie, nim wymeldują nas stąd żołnierze piątej fali. Ben i Pączek poszli do restauracji szukać zbiornika. Dumbo objął wartę w korytarzu. Poprosiłam Sama, by pilnował Megan, w końcu była jego kumpelą z autobusu. Domagał się, bym oddała mu broń. Przypomniałam, że ostatnio pistolet okazał się niezbyt przydatny: opróżnił cały magazynek i nawet nie drasnął celu. Zaproponowałam, że zamiast tego dam mu misia. Wywrócił oczami ze zniecierpliwieniem: misiek to już kompletnie przebrzmiała historia.

W końcu zostałam sama z Evanem. Ja, on i maleńka zielona bomba dopełniająca trójcy.

- Walisz - rozkazałam.

- Co mam walić? - Zdziwione spojrzenie wielkich, niewinnych oczu jak u misia.

- Mów. Przestań to w sobie dusić.

- O czym ty...

- Bo zawsze tak jest. To twój styl i sposób działania. Jesteś jak góra lodowa, prawie wszystko ukryte pod powierzchnią. Ale nie pozwolę, żebyś zamienił ten hotel w Titanica.

Westchnął, unikając mojego spojrzenia.

- Masz kartkę i coś do pisania?

- Słucham? Masz zamiar napisać czuły wiersz miłosny?

To również byłoby w jego stylu. Za każdym razem, gdy naciskałam zbyt mocno, robił unik, mówiąc, jak bardzo mnie kocha, lub dziękując po raz kolejny za ocalenie, albo dzieląc się jakąś przegiętą, pseudogłęboką obserwacją na temat mojej rzekomej wspaniałości. Ale i tak zgarnęłam z biurka notes i długopis, bo w końcu kto nie lubi dostawać czułych wierszy miłosnych?

Zamiast wiersza dostałam mapę.

- Jednopiętrowy drewniany budynek, biały, przynajmniej kiedyś był biały, nie pamiętam dokładnego adresu, ale tuż przy drodze 68. Zaraz obok warsztatu samochodowego. Wisi przed nim stary metalowy szyld. „Havoline Oil” czy coś w tym rodzaju.

Oderwał kartkę i wcisnął mi ją w dłoń.

- Dlaczego mieliby nas tam nie szukać? - Znów dałam się nabrać na jego taktykę uników, choć trudno było znaleźć coś czułego w nazwie Havoline Oil. - I po co rysujesz mi mapę, skoro idziesz z nami?

- Na wszelki wypadek. Gdyby coś się stało.

- Tobie. A jeśli nam obojgu coś się stanie?

- Masz rację. Narysuję jeszcze pięć mapek.

Przyglądałam się przez chwilę, jak kreśli po kartce, a potem wyrwałam mu notatnik i trzasnęłam go nim w głowę.

- Ty sukinsynu! Wiem doskonale, co robisz.

- Rysowałem mapę, Cassie.

- Chcesz sam się zabawić w *Mission: Impossible* i zmontować detonator z syfonu. Kiedy my będziemy uciekali jak zające pod szyld „Havoline Oil", ty ze swoją strzaskaną kostką, zranioną nogą i czterdziestokilkustopniową gorączką...

- Już bym nie żył, gdybym miał czterdzieści kilka stopni gorączki - zauważył.

- Nie. A wiesz dlaczego? Bo martwi mają temperaturę zera stopni!

Pokiwał głową z namysłem.

- Naprawdę się za tobą stęskniłem.

- No i znowu! Znów to robisz. Dokładnie tak jak na farmie, jak w Trupim Jarze, jak w obozie śmierci Voscha. Kiedy tylko zagnam cię w kozi róg...

- Zagnałaś mnie tam od razu, gdy tylko pierwszy raz cię ujrzałem...

- Przestań!

Posłuchał, a ja usiadłam przy nim na łóżku. Może źle do tego podchodziłam. W końcu, jak powtarzała moja babcia, najwięcej much łapie się na miód. Problem w tym, że niezbyt się znałam na tych wszystkich kobiecych manewrach. Przytrzymałam jego dłoń. Spojrzałam mu głęboko w oczy. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie rozpiąć górnych guzików koszuli, ale uznałam, że mógłby wtedy przejrzeć moją małą sztuczkę. Choć przecież moje sztuczki nie były aż tak małe.

- Nie pozwolę, żebyś mi znów wyciął taki numer jak w obozie Przystań - zapowiedziałam, mając nadzieję, że nadałam moim słowom zmysłowe brzmienie. – Zapomnij o tym. Idziesz z nami. Dumbo i Pączek cię poniosą.

Dotknął mojego policzka. Pamiętałam ten dotyk. Stęskniłam się za nim.

- Wiem - odpowiedział. W jego czekoladowych (ble!) oczach malował się wyraźny smutek. To spojrzenie również znałam. Widziałam je wtedy w lesie, gdy powiedział mi, kim naprawdę jest. - Ale nie wiesz o wszystkim. Nie słyszałaś jeszcze o Grace.

- Grace - powtórzyłam, odsuwając jego dłoń od policzku i zapominając o jakimkolwiek miodzie. Uznałam, że za bardzo podoba mi się ten dotyk. Musiałam popracować nad tym, by lubić go mniej. Podobnie jak nad tym, by nie zachwycać się tym, że na mnie patrzy, jakbym była ostatnią osobą na Ziemi. Sama przecież w to wierzyłam, nim mnie znalazł. To naprawdę straszliwy ciężar, gdy ktoś obdarza cię takim uczuciem. Uzależnienie własnej egzystencji od innego człowieka to proszenie się o kłopoty. Wystarczy sobie przypomnieć jakąkolwiek klasyczną historię miłosną. Gdyby zależało to od mojej decyzji, nigdy nie chciałabym zostać Julią dla żadnego Romea. Nawet gdyby jedyny dostępny kandydat bardzo chętnie oddał za mnie życie i siedział tuż obok, trzymając mnie za rękę i patrząc na mnie oczami koloru stopionej czekolady, które nagle przestały wzbudzać moją niechęć. Na dodatek pod tymi kocami kryło się zupełnie nagie ciało jak u modela z reklamy... musiałam przestać o tym myśleć.

- Znów Grace. Gdy cię postrzeliłam, też tak majaczyłeś - dodałam.

- Nie znasz Grace. - Zabolało. Jeszcze nigdy nie słyszałam takiego tonu w jego głosie. - Posłuchaj, Cassie. Muszę ci się z czegoś wyspowiadać...

- Zrobiłeś się religijny?

- Tego dnia na autostradzie, po tym... po tym, jak cię wypuściłem, ogarnął mnie potworny strach. Nie rozumiałem, co się stało, dlaczego nie potrafiłem zrobić... tego, co powinienem. Do czego zostałem stworzony. To nie miało żadnego sensu. I z wielu powodów nie ma do dziś. Wydaje nam się, że wiemy, kim jesteśmy. Że znamy osobę, którą widzimy przed sobą w lustrze. A ja się pogubiłem, gdy cię odnalazłem. Wszystko stało się zagmatwane, już nic nie było jasne i proste.

- Pamiętam. - Pokiwałam głową. - Pamiętam.

- Kiedy cię przyniosłem, z początku nie byłem pewien,czy dasz sobie radę. Siedziałem obok ciebie, myśląc, że być może nie powinnaś przeżyć.

- Och, jakie to romantyczne, doprawdy, Evanie.

- Wiedziałem, co nadciąga - odpowiedział tym razem jasno i prosto. Ujął moje dłonie i przyciągnął mnie bliżej, a ja zapadłam się w te cholerne, bezdenne oczy. To właśnie dlatego taktyka z miodem w moim przypadku wcale się nie sprawdzała: w pobliżu Evana to raczej ja byłam muchą. - Wiedziałem, co będzie dalej, i aż do teraz myślałem, że ci, którzy zginęli wcześniej, byli szczęściarzami. Ale już wiem, że to nieprawda. Zrozumiałem to.

- Co? Co takiego zrozumiałeś? - Głos mi zadrżał. Zaczynałam się bać. Może przemawiała przez niego gorączka, ale Evan zachowywał się bardzo dziwnie.

- Jak się z tego wyplątać. Jak to zakończyć. To Grace jest problemem. Nie dasz sobie z nią rady. Ani żadne z was. Grace to nasza jedyna droga i tylko ja mogę nią przejść. Załatwię to. Oraz czas. Mając czas i Grace, będziesz mogła to skończyć.

Dumbo wykazał się doskonałym wyczuciem czasu, niemal w tej samej chwili zaglądając do pokoju przez otwarte drzwi.

- Wrócili, Sullivan. Zombie mówi... - Zamilkł, orientując się najwyraźniej, że to niewłaściwy moment. Dobrze, że nie rozpięłam tej bluzki. Puściłam dłonie Evana i wstałam.

- Znaleźli zbiornik?

Dumbo pokiwał głową.

- Właśnie wstawiają go do windy - Spojrzał na Evana. - Zombie mówi, że możemy zaczynać, jak tylko będziesz gotowy.

- W porządku. - Evan skinął potakująco, ale nie ruszył się z miejsca. Ja też nie. Dumbo wciąż stał na progu.

- W porządku - stwierdził w końcu. Evan milczał. Ja też.

- Do zobaczenia w Dubuque. Ha, ha - dodał wielkouchy chłopak i zostawił nas samych.

Odwróciłam się na pięcie, mierząc Evana wzrokiem.

- Pamiętasz, co powiedział ci Ben? To o zgrywaniu się na tajemniczego ufola z kosmosu?

Nagle Evan Walker zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. A dokładniej nie słyszałam.

- Gówno! - zaklął.

Dumbo znów stał w drzwiach, miał zaczerwienione uszy i rozdziawioną buzię, przyduszała go wysoka dziewczyna z burzą miodowozłocistych długich włosów i twarzą nordyckiej modelki z błękitnymi oczami, pełnymi kolagenowymi ustami i figurą top modelki.

- Czołem, Evanie - odezwała się Dziewczyna Cosmo głębokim i nieco ochrypłym głosem uwodzicielskiej hollywoodzkiej aktorki.

- Czołem, Grace - powitał ją Evan.

Czyli faktycznie istniała jakaś Grace, nie była jedynie majakiem. Na dodatek miała ze sobą całą zbrojownię: karabin należący do Dumbo oraz solidną snajperkę przewieszoną przez ramię. Wepchnęła dzieciaka do pokoju i spojrzała na mnie z promiennym uśmiechem.

- A ty to pewnie Cassiopeia, królowa nocnego nieba. Zaskoczyłeś mnie, Evanie. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałam. A tu taka wiewióra. Nie wiedziałam, że lecisz na takie.

- Kim u diabła jest to coś? - Spojrzałam na Evana.

- Grace jest taka sama jak ja - wyjaśnił.

- Znamy się dość długo. Mniej więcej tysiąc lat. A przy okazji... - Grace wskazała na mój karabin. Rzuciłam jej go pod nogi. - Poproszę też pistolet - dodała. - I ten nóż, który przypięłaś do kostki pod spodniami.

- Odpuść im, Grace - poprosił Evan. - Nie potrzebujemy ich.

Zignorowała go. Kopnęła moją broń na bok, nakazując, bym wyrzuciła lugera i nóż przez okno. Evan skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że lepiej będzie, jeśli zastosuję się do tych poleceń. Tak też zrobiłam. Myśli wirowały mi w gin wie jak szalone, ale nie potrafiłam żadnej z nich złapać. Wiedziałam tylko tyle, że Grace była uciszaczem tak jak Evan, i tej myśli trzymałam się ze wszystkich sił. Skąd jednak znała moje imię, jak nas tu znalazła i dlaczego Evan spodziewał się jej przybycia oraz co miał na myśli, mówiąc, że Grace jest naszą drogą? Drogą do czego?

- Wiedziałam, że będzie człowiekiem. - Dziewczyna wróciła do ulubionego tematu Evana. - Ale nie wyobrażałam sobie, że aż tak bardzo.

Wiedział, co za chwilę nastąpi, ale i tak próbował to powstrzymać.

- Cassie...

- Pierdol się ty i twoje pchły, kosmiczny zjebie!

- Poetyckie. Pomysłowe. Ładne. - Machnęła karabinem, każąc mi usiąść.

Evan po raz kolejny potwierdził wzrokiem, żebym robiła, co mówi. Usiadłam więc na sąsiednim łóżku tuż obok Dumbo, który dyszał przez otwarte usta jak astmatyk. Graco wciąż stała w drzwiach, skąd mogła obserwować korytarz. Istniała szansa, że nie wie o Megan i Samie w

sąsiednim pokoju ani o Benie i Pączku czekających na Evana w windzie. Zrozumiałam, na czym polega strategia Walkera: czekamy, Kupujemy sobie czas. Kiedy Ben i Pączek przyjdą sprawdzić, co się dzieje, dostaniemy swoją szansę. Pamiętałam w końcu, jak Evan załatwił w kompletnych ciemnościach cały oddział piątej fali, choć żołnierze byli lepiej uzbrojeni i mieli przewagę liczebną. Z drugiej strony to ona mogła dostać szansę, gdy pojawi się tutaj tych dwóch.

Przyglądałam jej się uważnie, gdy krzyżując nogi w kostkach, oparła się plecami o framugę, a fala złotych włosów opadła jej na jedno ramię, odsłaniając przed nami olśniewający nordycki profil. Pomyślałam, że jej uroda ma sens. Skoro mogli się zainstalować w dowolnym ludzkim ciele, to dlaczego nie wybierać tych najlepszych? Evan w końcu też taki był. Wielcy pozerzy. Czułam się dziwnie, myśląc o nim w ten sposób. Ciało, na którego widok miękły mi kolana, było jedynie skorupą, maską nałożoną na twarz bez oblicza. Dziesięć tysięcy lat temu oboje wyglądali zapewne jak ośmiornice czy coś równie obrzydliwego.

- Trzeba przyznać, że ostrzegali nas przed ryzykiem związanym ze zbyt długim przebywaniem wśród ludzi. - Grace przerwała milczenie. - Powiedz mi coś, Cassiopeio. Nie wydaje ci się, że Evan jest doskonały w łóżku?

- Może ty mi to powiesz, pozaziemska szmato! - warknęłam.

- Ostra jest. - Grace uśmiechnęła się do Evana. - Dokładnie jak jej imienniczka.

- Oni nie mają z tym nic wspólnego. Pozwól im odejść - poprosił.

- Nie jestem pewna, o czym mówisz, Evanie. - Opuściła stanowisko przy drzwiach i podpłynęła, naprawdę nie da się tego inaczej określić, do łóżka Evana. Pochyliła się, ujmując twarz chłopaka w dłonie, i pocałowała go namiętnie, wpijając się długo w jego usta. Widziałam, że próbuje z nią walczyć, ale jej kosmiczne kobiece manewry, których miała w zanadrzu aż nadto, wywarły na niego paraliżujący wpływ. - Powiedziałeś jej o wszystkim? - szepnęła tak, bym musiała usłyszeć. - Wie, jak to się skończy?

- Wiem. Tak! - Rzuciłam się na nią, celując twardym czubkiem głowy w jej miękki policzek. Siła uderzenia rzuciła nią o drzwi szafy. Ja rozciągnęłam się w poprzek Evana. - Cudownie. - pomyślałam trochę bez związku. - Doskonale.

Odepchnęłam się, próbując wstać, ale Evan objął mnie w pasie i pociągnął w dół.

- Nie, Cassie!

Był jednak osłabiony, a ja w pełni sił, więc wyrwałam mu się bez trudu i skoczyłam Grace na plecy Duży błąd: złapała mnie za rękę i rzuciła mną w drugi koniec pokoju. Walnęłam o ścianę obok okna, padając na tyłek i czując ból przenikający cały kręgosłup. Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi na korytarzu, więc zaczęłam wrzeszczeć:

- Uciekaj, Sam! Zombie! Uciek...

Wypadła na zewnątrz, nim zdołałam dokończyć. Ostatni raz widziałam, by ktoś tak szybko biegał, gdy żołnierze z bazy Wright-Patterson gonili mnie po lasach wokół Trupiego Jaru, Naprawdę wyglądało to jak w kreskówce i byłoby nawet śmieszne, gdyby nie cel, ku któremu pędziła.

O nie, ty suko. Nie dopadniesz mojego braciszka!

Przemknęłam obok Dumbo i Evana, który odrzucił koce, próbując wygramolić swoje pokaleczone ciało z łóżka, i wybiegłam na korytarz - był zupełnie pusty. To nie był dobry znak. Ani trochę. Zrobiłam dwa kroki do pokoju Sama, a kiedy moje palce dotknęły klamki, coś uderzyło mnie z potworną siłą w tył głowy i walnęłam nosem o drzwi. Usłyszałam chrupnięcie i to na pewno nie był odgłos pękającego drewna. Zrobiłam krok do tyłu, po mojej twarzy ciekła krew. Czułam jej smak i w jakiś sposób to właśnie pozwalało mi się utrzymać na nogach. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że wściekłość też ma swój smak i że smakuje krwią.

Lodowate palce oplotły się wokół mojej szyi i mogłam jedynie patrzeć, jak moje stopy odrywają się od ziemi, a wokół bryzga krew. Przeleciałam przez cały korytarz i uderzyłam barkiem o ziemię, przetaczając się pod okno.

- Leżeć - warknęła Grace.

Widziałam ją przez zasłonę łez, nad którymi straciłam panowanie i ciekły po moich policzkach, mieszając się z krwią - mroczna sylwetka w ciemnym korytarzu, stojąca pod drzwiami pokoju Sama.

- Zostaw. Mojego brata. W spokoju!

- Mówisz o tym uroczym chłopczyku? To twój braciszek? Przykro mi, Cassiopeio, nie wiedziałam. - Pokręciła głową z udawanym smutkiem. Udawanym, jak wszystko, co robili. - On już nie żyje.

W tej samej sekundzie wydarzyły się trzy rzeczy. Cztery, jeśli doliczyć to, że pękło mi serce.

Zerwałam się i rzuciłam na nią gotowa rozdrapać jej tę śliczną twarzyczkę. Chciałam wyrwać jej to nieludzkie serce spomiędzy idealnych ludzkich cycków. Mogłam to zrobić gołymi rękami.

To była pierwsza rzecz.

Drugą było to, że w otwartych drzwiach na klatkę schodową stanął Pączek, który spojrzał na mnie jak Kłapouchy, a potem odsunął jedną ręką na bok, mierząc z karabinu do Grace. Strzał na pewno nie należał do łatwych, ale zgodnie ze słowami Bena Pączek, nie licząc Ringer, był najlepszym strzelcem w jego oddziale.

Trzecią rzeczą było pojawienie się Evana, który w samych bokserkach wygramolił się z pokoju za plecami Grace. Strzelec wyborowy czy nie, Pączek zawsze mógł spudłować... albo Grace mogła zdążyć w ostatniej sekundzie rzucić się na podłogę.

Ruszyłam się pierwsza, łapiąc Pączka za nogi. Poleciał do przodu, jego broń wypaliła, a od strony schodów doleciał mnie krzyk Bena: „stój!”, dokładnie taki sam jak na filmach, tyle że nikt się nie zatrzymał - ani ja, ani Pączek, ani Evan, a już na pewno nie Grace, która zniknęła. Tak po prostu. Ben przeskoczył nade mną i Pączkiem, kuśtykając przez korytarz do drzwi naprzeciw pokoju Sama.

Sam.

Zerwałam się na nogi i popędziłam korytarzem. Ben przywoływał do siebie Pączka:

- Tu się schowała.

Złapałam za klamkę. Zamknięte. Dzięki Bogu. Zastukałam pięścią do drzwi.

- Sam! Otwieraj! To ja, Sam!

Ze środka dobył się głosik cieńszy niż pisk myszy.

- Nie wierzę ci! Kłamiesz!

Całkowicie straciłam nad sobą kontrolę. Przyłożywszy zakrwawiony policzek do drzwi, pozwoliłam sobie na porządne i satysfakcjonujące krótkie załamanie nerwowe. Znów pozwoliłam się im podejść. Zapomniałam, jak okrutni potrafią być Przybysze. Nie wystarcza im, że strzelą ci w serce. Nie. Najpierw muszą je wyrwać i

zmiażdżyć, ściskać w dłoniach, aż zacznie im przeciekać między palcami jak plastelina.

- Dobrze, już dobrze - jęknęłam. - Zostań tam, w porządku? Nie ruszaj się. Pod żadnym pozorem nie wychodź, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Pączek stał przy drzwiach w korytarzu. Ben pomagał Evanowi podnieść się z podłogi. Za każdym razem, gdy tylko odrobinę poluźnił uchwyt, Walker z powrotem osuwał się na kolana. W końcu Zombie oparł go o ścianę. Evan zaczął się kołysać w tył i w przód, walcząc o każdy oddech, a jego skóra przybrała odcień popiołów, jakie widziałam w obozie, gdzie zabito mego ojca. Spojrzał na mnie i wycharczał ostatkiem sił:

- Wynoś się z tego korytarza! I to już!

Tuż przed Pączkiem ściana eksplodowała tynkiem i strzępami spleśniałej tapety. Chłopak zatoczył się niezgrabnie i wypuścił karabin z bezwładnych palców. Wpadł na Bena, a ten szarpnął go za ramiona, wrzucając do pokoju, gdzie był już Dumbo. Ben wyciągał w moją stronę ręce, ale odtrąciłam go, mówiąc, by zajął się Evanem, i z karabinem Pączka stanęłam przed drzwiami do pokoju, w którym ukryła się Grace. Opróżniłam cały magazynek, nim Ben odciągnął mnie do tyłu.

- Zachowujesz się jak kretynka! - ryknął mi do ucha, wkładając w dłoń pełny magazynek i rozkazując pilnować drzwi i nie strzelać. Słyszałam jedynie głosy, coś jak program telewizyjny, dochodzące z sąsiedniego pokoju. Leżąc na brzuchu, opierałam się na łokciach i celowałam z karabinu w drzwi naprzeciwko. Wychodź, Królewno Śnieżko. Mam tu coś dla ciebie. Przesunęłam językiem po zakrwawionych ustach. Nienawidziłam tego smaku. Uwielbiałam go. Wychodź, ty szurnięta Szwedko.

Ben: Dumbo! Odezwij się, Dumbo!

Dumbo: Nie jest dobrze, sierżancie.

Ben: Jak źle?

Dumbo: No... źle...

Ben: Jezu, przecież tyle wiem, Dumbo!

Evan: Ben, posłuchaj... Musisz mnie posłuchać. Trzeba stąd spadać. Natychmiast.

Ben: Czemu? Przecież ją przygwoździliśmy...

Evan: Nie na długo.

Ben: Sullivan sobie z nią poradzi. Kim ona tak w ogóle jest, do cholery?

Evan:...

Ben: No tak. Im więcej, tym lepiej. Chyba czas na plan B. Ja się zajmę tobą, Walker. Dumbo, zaopiekuj się Pączkiem. Sullivan zgarnie dzieciaki.

Ben przykucnął obok, kładąc mi dłoń na plecach. Skinął głową w kierunku drzwi.

- Nie możemy się stąd zwijać, dopóki nie zneutralizujemy zagrożenia - szepnął. - Co ci się stało w nos?

Wzruszyłam ramionami, znów przesuwając językiem po wargach.

- Jak mamy to zrobić? - zachrypiałam jak przeziębiona.

- To proste. Ktoś osłania drzwi. Jeden celuje w górę, drugi w dół, pierwszy idzie na prawo, drugi na lewo. Najgorsze jest pierwsze dwie i pół sekundy.

- A najlepsze?

- Ostatnie dwie i pół sekundy. Gotowa?

- Cassie! Zaczekaj! - Evan pełzł ku nam na kolanach jak pielgrzym do ołtarza. - Ben nie wie, z czym macie do czynienia. Ale ty przecież wiesz. Powiedz mu. Powiedz, do czego jest zdol...

- Zamknij się, lowelasie - warknął Ben, ciągnąc mnie jednocześnie za koszulę. - Ruszamy.

- Gwarantuję, że jej tam nawet nie ma - Evan podniósł głos.

- Tak? Wyskoczyła z pierwszego piętra? - Ben parsknął śmiechem. - To ułatwia nam zadanie. Jeśli połamała sobie nogi, tylko ją dobijemy.

- Najpewniej wyskoczyła, ale niczego sobie nie złamała. Grace jest taka jak ja. - Choć kierował te słowa do obojga z nas, Evan nie spuszczał ze mnie pełnego rozpaczy spojrzenia. - Dokładnie taka jak ja, Cassie.

- Ale ty jesteś człowiekiem. Masz ludzkie ciało - zauważył Ben. - A żadne ludzkie ciało nie...

- Jej ciało tak. Moje już nie. Wszystko się w nim... posypało.

- Rozumiesz coś z tego? - Ben spojrzał na mnie. - Bo jak dla mnie to E.T. znów coś bredzi.

- Co mamy w takim razie zrobić? - zapytałam Evana. W moich ustach wciąż dominował smak krwi, ale wściekłość powoli wygasała

zastąpiona przez znajomo męczące wrażenie, że tonę na głębokości dziesięciu tysięcy metrów.

- Spadać stąd. I to już. To nie po was przyszła.

- Kozioł ofiarny. - Ben uśmiechnął się paskudnie. - Lubię tę twoją cechę.

- I co? Tak po prostu pozwoli nam odejść? - Potrząsnęłam głową. Miałam wrażenie, że pogrążam się coraz głębiej. A jeśli Ben miał rację? Co sobie wyobrażałam, zawierzając Evanowi swoje życie i życie brata? Coś się tu nie zgadzało. Coś było nie tak. - Nie spróbuje nas powstrzymać?

- Nie wiem - odpowiedział, poprawiając nieco moje o nim mniemanie. Mógł w końcu powiedzieć, że to całkiem miła dziewczyna, jeśli tylko zignorować jej drobną skłonność do sadyzmu. - Za to wiem, co się stanie, jeśli tu zostaniecie.

- Tyle mi wystarczy - zdecydował Ben, wycofując się z powrotem do pokoju. - Zmiana planów, chłopaki. Ja zajmę się Pączkiem, Dumbo zaopiekuje się Megan. Sullivan swoim bratem. Zgarnijcie najpotrzebniejsze graty, idziemy się zabawić.

- Cassie! - Evan doskoczył do mojego boku. Zmusił mnie, bym na niego spojrzała i przesunął kciukiem po moim zakrwawionym policzku. - To jedyne wyjście.

- Nie zostawię cię tutaj. Nie pozwolę ci na to. Nie tym razem.

- A Sam? Jemu też coś przecież obiecałaś. Nie możesz dotrzymać obu tych obietnic. Grace to mój problem. Ona... należy do mnie. Inaczej niż Sam należy do ciebie. Nie chcę powiedzieć, że...

- Czyżby? Zaskakujesz mnie, Evanie. Zwykle potrafisz wszystko tak ładnie wyjaśnić.

Usiadłam na ziemi, wzięłam głęboki oddech i wymierzyłam mu policzek w tę śliczną twarz. Mogłam go zastrzelić, ale uznałam, że trochę mu odpuszczę.

Tak jakby plask dłoni był ustalonym sygnałem, w tej samej chwili usłyszałam nad głową warkot nadlatującego helikoptera.

Do środka wdarło się światło reflektora: jaskrawy blask wypełnił korytarz, zalał pokoje i rzucił ostre cienie na podłogi i ściany. Ben rzucił się w moją stronę i poderwał mnie z podłogi, a ja uczepiłam się ręki Evana. Wyzwolił się, potrząsając głową.

- Zostawcie mi tylko jakąś broń.

- Nie ma sprawy. - Ben podał mu swój pistolet. - Sullivan, przyprowadź brata.

- Odbiło wam? - zapytałam, nie potrafiąc uwierzyć w to, co widzę. - Nie możemy teraz uciekać.

- To jaki masz plan? - wrzasnął Ben. Musiał. Huk helikoptera, który jak wskazywał na to kąt padania światła, wisiał nad hotelem, zagłuszał wszystkie dźwięki.

Evan wczepił palce w resztki klamki i podciągnął się do góry, opierając ciężar ciała na jednej nodze. Zaczęłam mu wrzeszczeć prosto do ucha:

- Powiedz mi tylko jedno, raz w swoim trwającym dziesięć tysięcy lat życiu bądź ze mną szczery. Nigdy nie miałeś zamiaru odpalić bomby i uciekać razem z nami, prawda? Wiedziałeś, że ona tu przyjdzie i chciałeś się wysadzić w po wietrze razem z...

W tej samej chwili Sam wypadł ze swojego pokoju, ciągnąc za sobą Megan. W jakiś sposób w jej rękach pojawił się misiek. Pewnie dostała go od Sama - zawsze przekazywał go komuś w potrzebie.

- Cassie! - Wpadł na mnie, waląc na oślep głową w mój brzuch. Podniosłam go z wysiłkiem, opierając sobie o biodro, i złapałam Megan za rączkę.

Przez rozbite okna wdzierały się podmuchy lodowatego wiatru.

Usłyszałam krzyk Dumbo:

- Lądują na dachu!

Niemal właził mi na plecy, próbując dotrzeć na korytarz, więc słyszałam go wyraźnie. Za nim szedł Ben objęty ramieniem Pączka.

- Sullivan - wrzasnął Ben. - Rusz się.

Evan uczepił się mojego łokcia. „Zaczekaj”. Jego spojrzenie skierowało się na sufit. Poruszył bezgłośnie ustami. Ale nie dosłyszałam, co próbował powiedzieć.

- Zaczekaj? - ryknęłam ogarnięta coraz większą paniką. - Na co?

Wciąż patrzył w górę.

- Grace.

Usłyszałam nieziemskie wycie wwiercające się prosto w uszy pomimo warkotu silników. Budynek zadrżał w posadach. Na suficie pojawiło się pęknięcie, ze ścian posypały się okropne reprodukcje w tanich ramach. Światło reflektora migotało przez moment, a potem nagły wybuch wepchnął do pokoju falę gorącego powietrza.

- Dopadła pilota. - Evan zwiesił głowę. Pociągnął mnie, Sama i Megan na korytarz, wołając przez ramię do Bena: - Ruszajcie - i do mnie: - Dom na mapie. Należy do Grace, ale dzisiejszej nocy to załatwię. Nie opuszczajcie go. Wody i zapasów wystarczy wam na przetrwanie zimy - mówił szybko, wiedząc, że kończy mu się czas. Piąta fala może się nie pojawić, ale spotkanie z Grace było nieuniknione. - Będziesz tam bezpieczna. Kiedy nadejdzie równonoc...

Ben, Pączek i Dumbo dotarli już do schodów. Pierwszy z nich rozpaczliwie machał w naszą stronę na znak, byśmy zaczęli się ruszać.

- Słuchasz mnie, Cassie? Kiedy nadejdzie równonoc, ze statku matki przyleci kapsuła ewakuacyjna, która ma zabrać Grace z kryjówki...

- Sullivan! - krzyknął Ben. - Musimy iść! Już!

- Jeśli uda wam się wymyślić, jak ją przejąć... - Evan przycisnął coś do mojego brzucha, ale miałam zajęte obie ręce. Otwierając szeroko oczy, przyglądałam się, jak Sam wyrywa plastikowy woreczek z bombą z dłoni Evana.

A potem Walker ujął moją twarz w obie dłonie i pocałował mnie z całej siły w usta.

- Zakończysz to, Cassie. Właśnie ty. Tak właśnie powinno być. To musisz być ty. Tylko ty. - Pocałował mnie raz jeszcze, a moja krew zmieszała się z jego łzami na naszych twarzach. - Tym razem nie mogę ci niczego obiecać - wyrzucił z siebie. - Ale ty możesz. Przysięgnij, Cassie. Przysięgnij, że to skończysz.

Skinęłam głową.

- Skończę.

Słowa obietnicy zabrzmiały niczym huk zamykanych drzwi więziennej celi i poczułam, jak kamień wiszący u mej szyi ciągnie mnie na dno bezkresnego morza.

Zatrzymałam się na ułamek sekundy przy drzwiach na schody, wiedząc, że być może ostatni raz widzę Evana. A właściwie drugi ostatni raz. Podobnie jak za pierwszym ostatnim razem pobiegłam ciemną klatką schodową, ostrzegając szeptem Megan przed rozdeptanymi szczurami, a potem wpadłyśmy do hotelowego hallu. Przy frontowych drzwiach, w blasku bijącym z płonącego helikoptera odcinały się sylwetki chłopaków, przez których wylądowałam na tej imprezie. Ucieczka głównym wyjściem wydawała się wariackim posunięciem. Grace założyła pewnie, że zabarykadowaliśmy się na piętrze, wespnie się więc po murze jak bohater *Matrixa,* żeby wejść przez wybite okno po drugiej stronie budynku.

- Cassie - usłyszałam, jak Sam szepcze mi do ucha. - Masz strasznie wielki nos.

- To dlatego, że jest złamany.

Podobnie jak moje serce. Wymaga nastawienia.

Pączek nie opierał się już dłużej o Bena. Teraz Zombie trzymał jego potężne ciało w objęciach jak strażak wynoszący ofiarę z pożaru. Nie wyglądał na zadowolonego.

- To się nie uda - poinformowałam go. - Nie przejdziesz nawet stu metrów.

Zignorował mnie.

- Dumbo, musisz zająć się Megan. Sam, ty zejdziesz na dół, twoja siostra będzie cię osłaniać. Ja zabezpieczę tyły.

- Muszę mieć broń! - upierał się Sam.

Jego również zignorował.

- Kolejne etapy. Pierwszy: wiadukt. Drugi: drzewa po drugiej stronie wiaduktu. Trzeci:...

- Wschód - wtrąciłam, stawiając Sama na ziemi i wyciągając z kieszeni pogniecioną mapę. Ben patrzył na mnie, jakbym całkowicie postradała rozum. - Musimy dotrzeć tu. - Wskazałam kwadracik oznaczający dom Grace.

- Nie - sprzeciwił się. - Musimy dotrzeć do jaskiń, znaleźć Ringer i Filiżankę.

- Ważne jest tylko, żebyśmy nie wylądowali w Dubuque! - załkał Dumbo.

Ben potrząsnął głową.

- Odpuść, Dumbo. To już nie jest śmieszne. Ruszajmy.

Tak też zrobiliśmy. Drobniutkie kryształki śniegu migotały na pomarańczowo w wydobywających się ze zniszczonego helikoptera płomieniach, bijące od nich ciepło zmusiło nas do pochylenia głów, a w powietrzu unosiła się oleista woń płonącego paliwa. Zgodnie z sugestią - a właściwie rozkazem - Bena szłam na czele, Sam trzymał się szlufki mojego paska, a za nami kroczył Dumbo prowadzący Megan, która nie odezwała się jeszcze ani słowem, ale kto mógłby się jej dziwić? Pewnie wciąż była w szoku. W połowie parkingu, niedaleko pasa ziemi oddzielającego go od rampy wiodącej na autostradę, obejrzałam się na sekundę przez ramię na Bena uginającego się pod ciężarem Pączka. Pchnęłam Sama w stronę Dumbo i przebiegłam po śliskim asfalcie, by pomóc Zombie'emu. Na dachu hotelu dopalały się szczątki rozbitej maszyny.

- Mówiłam ci, że się nie uda - szepnęłam zdenerwowana.

- Nie zostawię go. - Ben padł na czworaki, z trudem łapiąc oddech. Jego usta w świetle płomieni lśniły karminem, kaszlał krwią.

Tuż obok mnie stanął Dumbo.

- Sierżancie? Co jest?...

Coś w głosie chłopaka przykuło uwagę Bena. Spojrzał na niego, a Dumbo jedynie pokręcił głową. Nie wierzył, że Ben da radę.

Parish walnął otwartą dłonią o zamarznięty grunt i wrzasnął, wyginając plecy do tyłu. Tylko nie to - pomyślałam. - To nie jest dobry czas na kryzys egzystencjalny. Jeśli się zaraz nie pozbiera, będzie po wszystkim.

Przyklękłam obok niego. Jego twarz wykrzywiły ból, strach i wściekłość, gniew zakorzeniony we wciąż obecnej przeszłości i krzykach jego siostry porzuconej przez niego na śmierć. Już zawsze przy nim będzie. Aż do chwili, gdy wyda ostatnie tchnienie. Była przy nim i teraz, wykrwawiała się jakieś pół metra od niego na asfalcie, a on ponownie nie mógł jej ocalić.

- Ben. - Przeczesałam palcami jego włosy połyskujące od płatków śniegu. - To już koniec.

Obok nas przemknął jakiś cień gnający w kierunku hotelu. Zerwałam się na nogi i popędziłam za nim, cień należał bowiem do mojego braciszka, który mknął w stronę głównego wejścia. Złapałam

Sama i oderwałam od ziemi, a on zaczął bez opamiętania kopać i wierzgać na wszystkie strony. Byłam pewna, że Dumbo za chwilę również zwariuje, a trójka obłąkańców to stanowczo zbyt wiele dla jednej osoby.

Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie się martwiłam. Dumbo podniósł Bena i złapał Megan za rękę, prowadząc oboje w stronę drogi, i miał zdecydowanie łatwiej niż ja, musząca się zmagać z Samem, który wciąż wymachiwał kończynami i nie przestawał wrzeszczeć:

- Musimy wrócić, Cassie! Wracajmy!

Pobiegłam na drugą stronę rampy, w dół stromego zbocza prowadzącego do wiaduktu. Etap pierwszy zakończony. Dopiero wtedy rzuciłam Sama na ziemię i dałam mu solidnego klapsa, krzycząc, żeby się uspokoił, bo wszyscy przez niego zginiemy.

- Co się z tobą dzieje?! - wrzasnęłam.

- Chciałem ci powiedzieć! - wychlipał. - Ale nie słuchałaś. Nigdy nie słuchasz. Zgubiłem to!

- Zgubiłeś?...

- Ten woreczek! Biegłem... i mi wypadł.

Spojrzałam na Bena. Stał pochylony z opuszczoną głową, opierając ręce na ugiętych kolanach. Popatrzyłam na Dumbo. Przygarbione ramiona, rozszerzone źrenice, dłoń zaciśnięta na rączce Megan.

- Mam złe przeczucia - szepnął.

Świat wstrzymał oddech. Nawet śnieg zdawał się wisieć nieruchomo w powietrzu.

Budynek hotelu rozprysnął się na wszystkie strony w oślepiającej kuli jaskrawozielonego światła. Zatrzęsła się ziemia. Cała nasza czwórka upadła pchnięta przez podmuch powietrza zasysanego przez próżnię. Położyłam się na Sammym, osłaniając go przed nadlatującym na nas gruzem. Uderzyła w nas fala odłamków betonu, szkła i metalu (oraz szczątki tych cholernych szczurów) przemielonych w eksplozji na piasek; szara chmura otoczyła nas ze wszystkich stron, spływając w dół zbocza.

Witamy w Dubuque.

# VI
# ZAPALNIK

Nie przepadał za towarzystwem najmniejszych dzieciaków w obozie. Zbyt mocno przypominały mu o utraconym braciszku. Tym, który zaginął, gdy on pewnego ranka wybrał się na poszukiwanie jedzenia. Tym, którego nigdy nie odnaleziono. W czasie pobytu w obozie, kiedy akurat nie przechodził musztry, nie jadł, nie spał, nie mył podłóg w koszarach, nie pastował butów, nie czyścił broni i nie miał służby w kuchni lub warsztatach, zgłaszał się na ochotnika do pracy w barakach dla dzieci lub przy rozładowywaniu autobusów. Nie lubił przebywać wśród tych maluchów, ale i tak to robił. Nigdy nie stracił nadziei, że uda mu się odnaleźć braciszka. Że któregoś dnia wejdzie do hangaru i zobaczy go siedzącego w którymś z czerwonych okręgów namalowanych na podłodze lub znajdzie go huśtającego się na starej oponie powieszonej na gałęzi drzewa na prowizorycznym placu zabaw.

Nigdy go nie znalazł.

Dowiedziawszy się w hotelu, że przeciwnik montuje w dzieciach bomby, zaczął się zastanawiać, czy jego brata również to spotkało. Czy go znaleźli, zmusili do przełknięcia zielonej kapsułki i wysłali z powrotem w świat, by ktoś go od nalazł. Pewnie nie. Większość dzieci jednak zginęła. W obozie przebywała ich jedynie garstka. Jego braciszek zapewne też długo nie pożył po swoim zaginięciu.
Mogli go jednak dopaść. Siłą wepchnąć w niego tę kapsułkę. Mogli zostawić go na samotną tułaczkę po świecie, do czasu aż natknie się na jakąś ocalałą grupkę, która zabierze go ze sobą i nakarmi, wypełniając kryjówkę swoimi oddechami. Tak też mogło się zdarzyć.

Zombie pytał, czym się tak zamartwia. Przeszli na drugą stronę parkingu, gdzie znaleźli zbiornik z dwutlenkiem węgla w starej restauracji. Ben przestał się odzywać, nie licząc wydawania rozkazów, i nie próbował już nakłaniać Pączka do mówienia. Nie spodziewał się żadnej odpowiedzi, dopytując się o jego samopoczucie.

- Zawsze wiem, kiedy coś cię dręczy. Wyglądasz wtedy, jakbyś miał zaparcie. Człowiek próbujący wysrać cegłę.

Zbiornik nie ważył wiele, ale Zombie był ranny i podenerwowany, podskakiwał na widok każdego cienia, osłaniając odwrót. Wciąż powtarzał, że coś jest nie tak. Coś mu nic pasowało w Walkerze i tej całej sytuacji. Wydawało mu się, że jesteśmy w coś wrabiani.

Po powrocie do hotelu posłał Dumbo na górę, by ten sprowadził Evana. Czekali na nich w windzie.

- Widzisz, Pączek, to wszystko potwierdza tylko moją teorię. Bomba elektromagnetyczna i tsunami, zaraza, obcy ukryci w ludzkich ciałach, dzieci o wypranych mózgach albo, nafaszerowane bombami. Po jaką cholerę oni to wszystko tak komplikują? Tak jakby zależało im na zmuszeniu nas do walki. Albo chcą, żeby walka była interesująca. A może właśnie o to chodzi? Dotarli do tego etapu ewolucji, na którym największym zagrożeniem jest śmierć z nudów. Może nie zależy im na przejęciu planety i tak tylko się bawią? Jak dzieci obrywające skrzydełka muchom.

Z każdą kolejną minutą Zombie stawał się coraz bardziej nerwowy.

- I co teraz? Gdzie on, u diabła, jest? Nie myślisz chyba, że... Chodź tutaj, Pączek. Weź go na ramię i zanieś na dół, jeśli będziesz musiał.

W połowie schodów usłyszał nad głową donośny huk i nieco cichszy odgłos upadku, a potem rozległ się czyjś krzyk. Zdążył dopaść drzwi w momencie, gdy bezwładna Cassie przeleciała przez korytarz i walnęła o podłogę. Spojrzał w przeciwną stronę i zobaczył wysoką dziewczynę stojącą obok wyważonych drzwi do pokoju. Nie wahał się ani chwili, wypadł na korytarz, wiedząc, że dziewczyna nie ma szans. Był doskonałym strzelcem, najlepszym w oddziale do czasu pojawienia się Ringer, więc nie mógł spudłować.

Tyle że Cassie powaliła go na podłogę, sprawiając, że stracił cel z oczu. Gdyby tego nie zrobiła, tamta już by nie żyła. Był tego całkowicie pewien.

Wysoka strzeliła do niego przez ścianę.

Dumbo rozerwał jego koszulę i przyłożył poskładaną szmatkę do rany. Powtarzał, że nie jest tak źle, że nic mu nie będzie, ale on wiedział, że to nieprawda. Zbyt często spotykał się ze śmiercią. Znał jej zapach, smak, potrafił ją wyczuć. Nosił śmierć we wspomnieniach o matce i o trzymetrowych płomieniach, o kościach porozrzucanych wzdłuż drogi i pasie transmisyjnym transportującym setki ciał do pieców ogrzewających wodę i obozowe baraki, w których mieszkali. Śmierć go nie wzruszała. Przejmował się jedynie tym, że umrze, wciąż nie wiedząc, co stało się z jego bratem.

Umierał, a oni znieśli go na dół. Umierał, a Zombie przerzucił go sobie przez ramię. A potem Zombie upadł na parkingu, wszyscy do nich podbiegli, patrząc, jak Zombie wali dłonią w zamarznięty asfalt, aż puściła się krew.

Potem go zostawili. Nie był na nich zły. Rozumiał to. Umierał. A potem wstał.

Chociaż nie od razu. Najpierw pełzł.

Kiedy dowlókł się do hotelowego hallu, wysoka dziewczyna już tam stała. Tkwiła obok otwartych drzwi na schody i trzymając pistolet w obu dłoniach, zwiesiła głowę, jakby czegoś nasłuchiwała.

To właśnie wtedy wstał.

Dziewczyna zastygła. Odwróciła się w jego stronę i podniosła pistolet, ale opuściła go powoli, widząc, że Pączek umiera. Z uśmiechem powiedziała: „cześć”. Przyglądała mu się, stojąc obok drzwi wejściowych, skąd nie mogła widzieć windy ani Evana, który wskoczył do niej z szybu. Evan zauważył go i zamarł, jakby nie wiedział, co robić.

- Znam cię.

Wysoka dziewczyna podeszła bliżej. Wystarczy, że się odwróci, spojrzy za siebie, a zobaczy Evana. Pączek próbował odwrócić jej uwagę, sięgając po broń, ale pistolet wyśliznął mu się z palców. Stracił mnóstwo krwi, jej ciśnienie spadło niemal do zera. Serce nie miało czego pompować, jego kończyny stały się bezwładne.

Padł na kolana i znów sięgnął po pistolet. Strzeliła mu w rękę. Upadł na tyłek, chowając ranną dłoń do kieszeni, jakby mogło ją to ochronić.

- Jejku, ależ ty jesteś duży. Silny chłopak, prawda? Ile masz lat?

Czekała na jego odpowiedź.

- Co jest? Straciłeś mowę?

Strzeliła mu w nogę. Widząc, że nie ma zamiaru krzyczeć ani się odzywać, strzeliła mu w drugą.

Za jej plecami Evan pełznął na brzuchu po podłodze. Pączek potrząsnął głową, patrząc na czołgającego się chłopaka, i z trudem złapał kolejny oddech. Tracił czucie w całym ciele. Ból zniknął, zastąpiony szarą kurtyną opadającą mu na oczy.

Dziewczyna była coraz bliżej, w połowie drogi pomiędzy nim a Evanem. Wycelowała pistolet w środek jego czoła.

- Odezwij się albo rozwalę ci łeb. Gdzie Evan?

Blondynka zaczęła się obracać. Być może usłyszała, że Evan podpełza od tyłu. Pączek musiał znów wstać, być może po raz ostatni, by odciągnąć jej uwagę. Zajęło mu to chwilę. Przez ponad minutę jego buty ślizgały się po mokrej od śniegu posadzce, wciąż osuwał się na podłogę, nie mogąc sobie pomóc zranioną ręką. Wysoka dziewczyna prychnęła i popatrzyła na niego szyderczo jak dzieciaki w jego szkole. Był gruby. Niezgrabny. Głupi. Świński grubas. Kiedy się wreszcie podniósł, znów do niego strzeliła.

- Pospiesz się. Marnuję tylko amunicję.

Plastik, w który zapakowano pączek, był sztywny i pomarszczony, szeleścił przy każdym dotyku. To tak mama zorientowała się, że bawi się nim w kieszeni, kiedy zaginął jego braciszek. Żołnierze w autobusie również to usłyszeli. A sierżant od musztry zaczął nazywać go Pączek, bo spodobała mu się historia o dzieciaku, który przybył do obozu z pustymi rękami, nie licząc opakowania pełnego twardych okruszków. Plastikowy woreczek, który znalazł przed hotelem, w ogóle nie szeleścił. Był miękki. Wyjął go z kieszeni zupełnie bezgłośnie. Worek wysunął się cicho, cichuteńko, tak jakby jemu też powtarzano: zamknij się, zamknij się, ZAMKNIJ!

Wysoka dziewczyna przestała się uśmiechać.

A Pączek znów się ruszył. Nie szedł w jej stronę, nie kierował się do windy, interesowały go tylko boczne drzwi na końcu korytarza.

- Ej, pokaż, co tam masz, wielkoludzie. Co to? Pewnie to nie są tabletki przeciwbólowe?

Znów się uśmiechała. Tym razem inaczej. Miała piękny uśmiech. Ślicznie z nim wyglądała. To chyba najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział.

- Musisz być z tym bardzo ostrożny. Rozumiesz? Albo wiesz co? Zawrzyjmy umowę. Oddam broń, a ty odłożysz to, co masz w ręku. Dobrze? Zgadzasz się?

Faktycznie to zrobiła. Położyła pistolet na podłodze, zdjęła z ramienia karabin i rzuciła go obok. Potem podniosła ręce.

- Mogę ci pomóc. Musisz to tylko odłożyć. Możesz przeżyć, Wiem, jak cię naprawić. Nie jestem taka jak ty. Na pewno nie aż tak odważna i silna. Nie potrafię uwierzyć, że wciąż stoisz.

Musiała być cierpliwa. Wytrwać do chwili, kiedy straci przytomność lub umrze. Wystarczyło, że nie przestanie się uśmiechać i zagada go, udając, że wzbudził jej sympatię.

Otwarł woreczek.

Dziewczyna znów przestała się uśmiechać. Ruszyła w jego stronę. W życiu nie widział, by ktoś tak szybko biegł. Szara zasłona przed jego oczami zadrżała, a ona była coraz bliżej. Jej lewa noga oderwała się od ziemi, celując w miejsce, gdzie Pączek oberwał pierwszą kulą, a uderzenie rzuciło nim o metalowe drzwi. Woreczek wyfrunął z bezwładnej dłoni, szurając po płytkach jak hokejowy krążek. Szara zasłona na sekundę stała się całkowicie czarna. Blondynka zawirowała jak balerina, skacząc w stronę worka, więc Pączek, wciąż na podłodze, podciął jej nogi. Wyłożyła się jak długa.

Była jednak zbyt szybka, a on zbyt obolały. Poderwała się pierwsza. Podniósł więc upuszczony przez nią pistolet i strzelił jej w plecy.

A potem podniósł się po raz ostatni. Odrzucił pistolet. Przeszedł nad jej dygocącym ciałem i tam po raz ostatni upadł.

Podpełznął do woreczka. Dziewczyna czołgała się za nim. Nie potrafiła się podnieść, kula strzaskała jej kręgosłup. Sparaliżowana od pasa w dół. Ale i tak była od niego silniejsza i nie straciła aż tyle krwi.

Zgarnął woreczek z podłogi. Dziewczyna złapała Pączka za ramię i szarpnęła, przyciągając go do siebie, jakby ważył tyle co piórko. Zabije go ciosem gołej dłoni w umierające serce.

Ale on musiał jedynie odetchnąć.

Przyłożył usta do worka.

I wypuścił powietrze.

# KSIĘGA DRUGA

# VII
# SUMA WSZECHRZECZY

Siedzę sama w pozbawionej okien sali lekcyjnej. Niebieski dywan, białe ściany, białe długie stoliki. Białe komputery z białymi klawiaturami. Mam na sobie biały kombinezon rekruta. Inny obóz, ta sama sytuacja, łącznie z implantem w moim karku i wyprawą do Krainy Czarów. Wciąż płacę za tę wycieczkę. Gdy pozbawią cię wspomnień, wcale nie odczuwa się pustki. Wszędzie tworzą się bolesne otarcia. Mięśnie również przechowują wspomnienia. To właśnie dlatego zabezpiecza się nas pasami.

W drzwiach sali staje komendant Alexander Vosch. Ma ze sobą drewnianą skrzynkę, którą stawia przede mną.

- Dobrze wyglądasz, Mariko - mówi. - Lepiej, niż się spodziewałem.

- Na imię mi Ringer.

Kiwa głową. Doskonale rozumie, co mam na myśli. Wiele razy zastanawiałam się nad tym, czy informacje gromadzone przez Krainę Czarów przepływają w obie strony. Skoro można ściągnąć ludzkie wspomnienia, to można je też pewnie załadować. Czy to możliwe, że ta śmiejąca się postać, która stoi przede mną, nosi w sobie wspomnienia wszystkich ludzi, którzy przeszli ten program? Miałam wątpliwości co do tego, czy był człowiekiem, ale mógł też stanowić sumę wszystkich ludzi, którzy trafili do Krainy Czarów

- Zgadza się. Marika nie żyje. - Siada naprzeciw mnie. - A ty narodziłaś się z jej popiołów niczym Feniks.

Delikatny błysk w jego błękitnym jak u dziecka oku zdradza, że wie, o co zaraz zapytam. Dlaczego sam nie mógł tego powiedzieć? Dlaczego muszę zadać to pytanie?

- Co z Filiżanką? Żyje?

- A w którą odpowiedź prędzej uwierzysz? Tak czy nie? Myśl, zanim odpowiesz. Tego uczą szachy.

- „Nie”.

- Dlaczego?

- „Tak” może być kłamstwem, manipulacją.

Kiwa potakująco głową.

- Próbą wywołania fałszywej nadziei.

- Zdobycia przewagi.

Przekrzywia głowę, patrząc na mnie znad swojego wąskiego nosa.

- Po co mi przewaga nad kimś takim jak ty?

- Nie wiem. Pewnie czegoś pan chce.

- Bo?...

- Zabiłby mnie pan, gdyby było inaczej.

Milczy długą chwilę. Przewierca mnie spojrzeniem. Dłonią wskazuje skrzynkę.

- Przyniosłem ci coś. Otwórz.

Patrzę na skrzynkę. Patrzę na niego.

- Nie zrobię tego.

- To tylko skrzynka.

- Nie zrobię niczego, o co pan prosi. Marnuje pan czas.

- A to jedyna waluta, jaka nam została, prawda? Czas. I obietnice. - Stuka palcami o wieczko. - Musiałem poświęcić mnóstwo bezcennego czasu, by znaleźć jedną z nich. - Popycha skrzynkę w moją stronę. - Otwórz.

Otwieram. On nie przestaje mówić.

- Ben nie chciał z tobą grać. Tak jak mała Allison... przepraszam, Filiżanka. Allison też umarła. Nie zagrałaś w szachy od śmierci ojca.

Kręcę głową. Nie w odpowiedzi na jego pytanie. Robię to, ponieważ niczego nie rozumiem. Człowiek, który zaplanował to całe ludobójstwo, chce zagrać ze mną w szachy?

Trzęsę się z zimna w cieniutkim kombinezonie. Vosch przygląda mi się z uśmiechem. Ale to coś więcej niż zwykłe spojrzenie. Coś innego niż Kraina Czarów. Zna więcej niż moje wspomnienia. Wie również, co myślę. Kraina Czarów była jedynie urządzeniem rejestrującym. A Vosch potrafi czytać ludzi.

- Zniknęli. - Zaryzykowałam. - Nie ma ich w hotelu. A wy nie macie pojęcia, gdzie ich szukać.

Nie mogło chodzić o nic innego. Vosch nie miał innych powodów, by utrzymywać mnie przy życiu.

Chociaż ten powód też nie był najlepszy. Przy tej pogodzie i z jego nieograniczonymi środkami odnalezienie ich nie mogło być dla Voscha takie trudne. Wsuwam zziębnięte dłonie między uda i zmuszam się do spokojnego oddychania.

Otwiera skrzynkę, wyjmuje szachownicę i sięga po białą królową.

- Białe? Wolisz pewnie grać białymi.

Rozstawia kolejne figury, trzymając je w długich zwinnych palcach, które mogłyby należeć do muzyka, rzeźbiarza czy malarza. Zaplata je pod brodą i opiera łokcie na stole - dokładnie jak mój ojciec za każdym razem, gdy siadał do szachów.

- Czego chcesz? - pytam.

Patrzy na mnie, unosząc brew.

- Zagrać w szachy.

Wpatruje się we mnie w milczeniu. Mija pięć sekund, dziesięć. Potem dwadzieścia. Trzydzieści sekund zamienia się w wieczność. Chyba wiem, co próbuje zrobić: gra w dwie różne gry. Tylko nie rozumiem dlaczego.

Zaczynam od partii hiszpańskiej. Raczej niezbyt oryginalne otwarcie - jestem trochę zestresowana. W czasie gry Vosch cicho i niezrozumiale nuci pod nosem, mam świadomość, że celowo przedrzeźnia mojego ojca. Żołądek skręca mi się z obrzydzenia. Aby przetrwać, wybudowałam wokół siebie solidne mury, prawdziwą fortecę chroniącą mnie przed utratą zmysłów w tym szaleńczo niebezpiecznym świecie, ale nawet najmniej skryte osoby mają w sobie miejsce, do które go nikogo nie dopuszczają.

Zaczynam rozumieć, na czym polega jego druga gra: nie ma żadnej prywatności, nie pozostało nic świętego. Niczego nie mogę przed nim ukryć. Czuję, jak wzbierają we mnie mdłości. Pogwałcił nie tylko moje wspomnienia. Wdarł się do mojej duszy.

Po prawej mam bezprzewodową klawiaturę i myszkę. Ale monitor stojący przed Voschem jest podpięty do kabla. Skok na stół i ponad jego głową, owinięcie kablem jego szyi, Cztery sekundy. Cztery minuty, by go udusić. Chyba że jesteśmy obserwowani, a tak najpewniej jest. Vosch przeżyje, Filiżanka zginie. A nawet jeśli uda mi się go dopaść, trud no o bardziej pyrrusowe zwycięstwo, zwłaszcza jeśli Walker mówił prawdę. Wspomniałam o tym Sullivan, gdy opowiadała, jak Evan poświęcił się, by wysadzić tajną bazę - skoro mogli zainstalować się w ludzkich ciałach, to na pewno mogli też tworzyć własne kopie. Nieskończona liczba „Evanów” i „Voschów”. Jeden mógł się poświęcić. Drugiego mogłam zabić. A istoty żyjące w ich wnętrzach były z definicji nieśmiertelne.

„Szkoda, że nie uważałaś, kiedy opowiadałam - stwierdziła wtedy Sullivan z przesadną cierpliwością. - Ludzka świadomość Evana

zmieszała się ze świadomością obcego. Nie jest jednym albo drugim, tylko oboma naraz. I może umrzeć”.

„Ale to, co istotne, żyje dalej”.

„Tak - prychnęła z wściekłością. - Umiera tylko nieistotna ludzka część”.

Vosch pochyla się nad szachownicą. Jego oddech pachnie jabłkiem. Opieram dłonie na udach. Patrzy na mnie, unosząc brew. Jakiś problem?

- Przegram - wyjaśniam.

Udaje zaskoczonego.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zna pan każdy mój ruch, nim go zrobię.

- Mówisz o Krainie Czarów. Zapominasz, że jesteś czymś więcej niż tylko sumą swoich doświadczeń. Ludzie potrafią być cudownie nieprzewidywalni. Weźmy na przykład to, jak pospieszyłaś na ratunek Parishowi podczas zniszczenia obozu Przystań. Zignorowałaś najbardziej podstawowy instynkt wszystkich istot żyjących: by przetrwać. Albo to, że się nam poddałaś, kiedy uświadomiłaś sobie, że trafienie w nasze ręce to jedyny sposób na uratowanie tej dziewczynki.

- Przeżyła?

- Przecież już znasz odpowiedź na to pytanie - warczy zniecierpliwiony jak nauczyciel strofujący ucznia. Wskazuje na szachownicę. *Graj*.

Owijam dłonią pięść i zaciskam palce tak mocno, jak tylko potrafię. Wyobrażam sobie, jak uderzam go w kark. Potrzebowałabym czterech minut, by go udusić. Tylko czterech minut.

- Filiżanka żyje - mówię. - Nie przestraszyłby mnie pan usmażeniem mózgu. Ale dla niej zrobię to, czego pan chce.

- Należycie do siebie, prawda? Połączone srebrzystym łańcuszkiem? - Uśmiecha się. - I faktycznie, pomijając po ważne obrażenia, od których może nie przeżyć, podarowałaś jej bezcenny czas. Jest takie łacińskie powiedzenie: *Vincit qui patitur***.** Wiesz, co to znaczy?

Zamarzam. Osiągam temperaturę zera absolutnego.

- Przecież wie pan, że nie.

- „Zwycięża, kto wytrwa”. Przypomnij sobie te szczury, na które narzekała biedna Filiżanka. Czego możemy się od nich nauczyć?

Pamiętasz, co ci mówiłem, gdy pierwszy raz do mnie przyszłaś? Nie chodzi o to, by pozbawiać zdolności do walki, tylko by zniszczyć wolę walki.

Znów te szczury.

- Bez nadziei każdy szczur jest martwy.

- Szczury nie znają nadziei. Ani wiary. Ani miłości. Miałaś wtedy rację, szeregowa Ringer. Nie da się wymusić na kimś człowieczeństwa. Ale myliłaś się w kwestii gniewu. Gniew również nie jest właściwą odpowiedzią.

- A co nią jest? - Nie chcę pytać, by nie dawać mu satysfakcji, ale nie potrafię się powstrzymać.

- Jesteś już blisko - odpowiada. - Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, jak bardzo.

- Blisko czego? - Mój głos brzmi jak szczurzy pisk.

Vosch ponownie ze zniecierpliwieniem kręci głową.

- Graj.

- To bezcelowe.

- Nie chciałbym żyć w świecie, w którym szachy stały się bezcelowe.

- Przestań. Skończ naśladować mojego ojca.

- Twój ojciec był dobrym człowiekiem, nękanym straszliwą chorobą. Nie powinnaś go zbyt surowo osądzać. Ani siebie za to, że go opuściłaś.

*Nie odchodź. Proszę, Mariko. Nie zostawiaj mnie.*

Długie zwinne palce wpijające się w moją koszulę, palce artysty. Twarz ociosana bezlitosnym heblem głodu, oczy otoczone ciemnymi obwódkami, rozwścieczony artysta i jego bezsilna glina.

*Wrócę. Obiecuję. Poradzisz sobie bez tego. Obiecuję, że wrócę.*

Vosch uśmiecha się bezdusznie. Wygląda to jak uśmiech kościotrupa albo rekina. Jeśli gniew nie jest właściwą odpowiedzią, to co nią jest? Zaciskam dłoń na swojej pięści, wbijając paznokcie w skórę. „Evan tak właśnie to opisywał - opowiadała Sullivan, oplatając dłonią pięść. -To Evan. W środku tego czegoś". Moja dłoń to mój gniew. Ale czym jest pięść? Co oplotłam tym gniewem?

- Mat w następnym ruchu - informuje spokojnym głosem Vosch. - Dlaczego nie chcesz spróbować?

- Nie lubię przegrywać - odpowiadam, ledwie poruszając ustami.

Wyciąga z kieszeni na piersi niewielkie srebrne urządzenie wielkości telefonu komórkowego. Widziałam je już wcześniej. Wiem, do czego służy. Zaczyna mnie świerzbieć skóra wokół wąskiego, zabezpieczonego gniazdka w karku.

- Ten etap mamy już za sobą - mówi.

Krew pulsuje w mojej pięści tkwiącej w zaciśniętej dłoni.

- Wali mnie to. Naciśnij ten guzik.

Ponownie kiwa głową.

- Teraz jesteś bardzo blisko odpowiedzi. Ale ten nadajnik nie jest połączony z twoim implantem. Nadal chcesz, żebym nacisnął ten guzik?

Filiżanka. Wbijam wzrok w szachownicę. Mat w następnym ruchu. Ta partia dobiegła końca, nim zdążyła się zacząć. Jak można wygrać ustawioną grę?

Siedmiolatka znała odpowiedź na to pytanie. Łapię za krawędź szachownicy i rzucam nią w jego głowę. „Szach-mat, suko!”

Uchyla się bez trudu. Figury rozsypują się po stole i toczą powoli aż do krawędzi, po czym spadają na podłogę. Nie powinien był wspominać o Filiżance. Jeśli naciśnie ten guzik, straci całą przewagę. Naciska.

Nim zdążę zareagować, mija cały miesiąc, choć trwa to jedynie ułamek sekundy.

Rzucam się przez stół, wbijając kolano w jego pierś i wywracając go na podłogę. Ląduję na nim, miażdżąc mu nos zakrwawionymi dłońmi, wkładając w to siłę całych ramion, idealnie według podręcznika, tak jak nauczono mnie w obozie Przystań. Ćwiczenie za ćwiczeniem, aż przestawało się myśleć. Mięśnie również przechowują wspomnienia. Jego nos pęka z satysfakcjonującym chrupnięciem. Instrukcja podpowiadała, że w tym momencie inteligentny żołnierz powinien się wycofać. Wynik walki wręcz jest nieprzewidywalny, a każda dodatkowa sekunda zwiększa ryzyko. Należało „opuścić punkt”. *Vincit qui patitur*.

Tego punktu nie mogę jednak opuścić. Pozostało jedno drgnienie wskazówki zegara, kończył mi się czas. Przez otwarte na całą szerokość drzwi wpadają żołnierze. Bez wahania odrywają mnie od Voscha i rzucają twarzą do podłogi. Czyjeś kolano ugniata mi kark. Czuję krew. Nie swoją. Voscha.

- Rozczarowujesz mnie - szepce mi do ucha. - Mówiłem ci, że gniew nie jest właściwą odpowiedzią.

Stawiają mnie na nogi. Dolna połowa twarzy komendanta ocieka krwią, czerwone strugi malują mu policzki w wojenne symbole. Z podpuchniętymi coraz mocniej oczami wygląda jak dziwaczna świnia. Odwraca się do dowódcy oddziału, szczupłego, bladoskórego blondyna z ciemnymi oczami, który stoi tuż obok.

- Przygotujcie ją.

Korytarz: niskie sufity, migocące jarzeniówki, musztardowe ściany. Ze wszystkich stron otaczają mnie żołnierze: jeden z przodu, jeden z tyłu, dwóch po bokach trzyma mnie za ręce. Pisk gumowych podeszew na szarej betonowej podłodze, stłumiony odór potu oraz słodko-gorzka woń powietrza krążącego w obiegu zamkniętym. Schody: metalowe poręcze szare jak podłogi, powiewające w kątach pajęczyny, zakurzone żółte żarówki w metalowych koszykach, powietrze na dole jest cieplejsze i bardziej wilgotne. Kolejny korytarz: nieoznakowane drzwi i czerwone pasy namalowane na betonowych ścianach, wszędzie tabliczki: „Nie wchodzić” i „Tylko dla personelu”. Pokój: mały, bez okien. Pod jedną ścianą szafki, pośrodku szpitalne łóżko, obok łóżka aparatura monitorująca, ciemny ekran. Dwoje ludzi w białych fartuchach. Mężczyzna w średnim wieku, młodsza kobieta, wymuszone uśmiechy.

Drzwi zamykają się z hukiem. Nie licząc blond rekruta pilnującego ich za moimi plecami, zostaję sama z dwójką konowałów.

- Twój wybór - mówi mężczyzna w fartuchu. - Może być łatwo albo ciężko.

- Ciężko - odpowiadam, powalając żołnierza uderzeniem w gardło. Jego broń z brzękiem uderza o podłogę. Zgarniam ją i odwracam się do białych fartuchów.

- Nie możesz stąd uciec - przypomina spokojnym głosem mężczyzna. - Wiesz przecież.

Wiem. Ale nie po to była mi potrzebna broń. Nie zamierzam uciekać, nie tak jak mu się wydaje. Nie wezmę jeńców i nikogo nie zabiję. Zabijanie ludzi to robota dla naszych wrogów. Dzieciak za moimi plecami wije się na podłodze, wydając z siebie charczące dźwięki. Pewnie zmiażdżyłam mu krtań.

Spoglądam na kamerę zamontowaną w rogu pokoju. Czy on to ogląda? Dzięki Krainie Czarów zna mnie najlepiej ze wszystkich. Musi wiedzieć, po co mi ta broń.

Dostałam mata. Nie mogłam już poddać tej gry.

Przyciskam chłodną lufę do skroni. Kobieta rozdziawia usta i robi krok w moją stronę.

- Mariko. - Ciepłe spojrzenie. Łagodny głos. - Ona żyje tylko dlatego, że ty żyjesz. Zginie, jeśli odejdziesz.

Dopiero wtedy do mnie dociera. Chociaż Vosch wmawiał mi, że gniew nie jest właściwą odpowiedzią, to właśnie on zmusił go do naciśnięcia guzika, kiedy rzuciłam w niego szachownicą. Tak mi się wtedy wydawało. Nie przyszło mi do głowy, że mógł udawać.

A powinno. Na pewno nie zrezygnowałby ze swojej przewagi. Dlaczego to przegapiłam? To ja byłam zaślepiona gniewem, nie on.

Kręci mi się w głowie, pokój nie chce zatrzymać się w miejscu. Finty w fintach, blefy maskowane kolejnymi blefami. Nie znałam zasad ani celu tej gry. Filiżanka żyła, bo ja wciąż żyłam. Ja żyłam, bo ona żyła.

- Zabierz mnie do niej - rozkazuję kobiecie. Potrzebowałam dowodu, że przynajmniej jedno fundamentalne założenie jest w tym wszystkim prawdziwe.

- Nic z tego - sprzeciwia się mężczyzna. - I co zrobisz?

Dobre pytanie. Musiałam jednak postawić sprawę twardo, więc znów przystawiam lufę do skroni.

- Zabierzcie mnie do niej albo... przysięgam na Boga, że to zrobię.

- Nie możesz - mówi kobieta. Łagodny głos. Ciepłe spojrzenie. Wyciągnięta dłoń.

Ma rację. Nie mogę tego zrobić. Być może kłamią, a Filiżanka nie żyje. Ale zawsze istnieje szansa, że udało jej się przetrwać, a jeśli mnie zabraknie, nie będzie powodu, by utrzymywać ją przy życiu. Nie mogłam zaakceptować takiego ryzyka.

Sytuacja patowa. Pułapka. Ślepy zaułek na końcu drogi niemożliwych do spełnienia obietnic. Jedyny możliwy efekt wiary w staroświeckie przekonanie, że coś tak nieistotnego jak życie jednej siedmiolatki wciąż ma jakieś znacznie.

Wybacz, Filiżanko. Żałuję, że nie skończyłam tego w lesie.

Opuszczam broń.

Ekran aparatury monitorującej zaczyna migotać. Puls, ciśnienie krwi, tempo oddechów, temperatura. Powalony przeze mnie chłopak pozbierał się z podłogi i opiera się o drzwi, masując jedną dłonią szyję, a w drugiej trzymając pistolet. Leżę na szpitalnym łóżku, a on nie spuszcza mnie z oczu.

- To ci pomoże się odprężyć - mówi cicho kobieta o łagodnym głosie i ciepłym spojrzeniu. - Malutkie ukłucie.

Igła w mojej skórze. Ściany rozpływają się w bezbarwnej pustce. Mija tysiąc lat. Obcasy czasu rozgniatają mnie na proch. Niezrozumiałe głosy, porozciągane twarze. Przez chwilę podtrzymuje mnie jakaś delikatna mgła, która szybko się rozwiewa. Dryfuję po oceanie bezgranicznej bieli.

Odzywa się jakiś bezcielesny głos:

- Powinniśmy teraz wrócić chyba do problemu szczurów, prawda?

Vosch. Nie widzę go. Jego głos nie ma jednego źródła, dochodzi ze wszystkich stron, tak jakby był wszędzie i nigdzie, nawet w moim wnętrzu.

- Straciłaś dom. Znalazłaś sobie śliczną kryjówkę, jedyną, jaką udało ci się odnaleźć, ale okazała się opanowana przez plagę gryzoni. Co możesz zrobić? Jaki masz wybór? Postanawiasz żyć z tymi niszczycielskimi stworzeniami na pokojowej stopie czy wolisz się ich pozbyć, nim zrujnują nowy dom? Powtarzasz sobie, że szczury to ohydne zwierzęta, ale mają takie samo prawo do życia jak ty, czy raczej uznajesz, że albo ty, albo szczury, pokojowa koegzystencja jest niemożliwa?

Z odległości tysięcy kilometrów dobiegają do mnie piski urządzenia mierzącego bicie mojego serca. Morze zaczyna falować, wznoszę się i opadam z każdym jego ruchem.

- Tak naprawdę wcale nie chodzi o szczury. - Jego głos staje się donośniejszy, huczy niczym grom. - Nigdy o to nie chodziło. Ich eksterminacja jest nieunikniona. Jedynie metoda może budzić twój opór. Prawdziwym, najbardziej fundamentalnym problemem jest skała. Otaczający mnie biały opar zaczyna się rozwiewać. Wciąż dryfuję, ale teraz unoszę się nad Ziemią, w mrocznej próżni rozbłyskującej blaskiem gwiazd, a Słońce unoszące się nad horyzontem zalewa powierzchnię

wiszącej pode mną planety swoim złotym blaskiem. Urządzenie monitorujące wydaje coraz głośniejsze piski i znów słyszę głos Voscha:

- Niech to szlag! - przeklina. - Oddychaj, Mariko. Jesteś całkowicie bezpieczna.

Całkowicie bezpieczna. To pewnie dlatego poddali mnie narkozie. Bez niej moje serce mogłoby nie wytrzymać tego szoku. Wizja jest doskonała, trójwymiarowa, nieodróżnialna od rzeczywistości, tyle tylko że w prawdziwej próżni nie mogłabym oddychać. Ani usłyszeć słów Voscha.

- Oto Ziemia. Tak wyglądała sześćdziesiąt sześć milionów lat temu. Piękna, prawda? Rajska. Dziewicza. Atmosfera, której jeszcze nie zatruliście. Czysta woda. Planeta tętniąca życiem, które wy, jak wszystkie szkodniki, rozszarpaliście na kawałki, by zaspokoić swoje niekończące się pragnienia i budować paskudne nory. Ta planeta nie musiała paść ofiarą waszej ssaczej żarłoczności, mogła przez następne sześćdziesiąt sześć milionów lat pozostać tak samo dziewiczo piękna, gdyby nie spotkanie z kosmicznym gościem wielkości ćwierci Manhattanu.

Mija mnie z głośnym wizgiem, podziurawiony i kostropaty, mknie, wirując, w stronę planety i zasłaniając gwiazdy. Wchodzący w atmosferę asteroid rozjarza się żółtym, a później białym światłem.

- To właśnie zadecydowało o losach tego świata. Kawałek skały.

Stoję na brzegu rozległego płytkiego morza, obserwując upadek asteroidu, maleńką kropkę, nieistotny kamyczek na horyzoncie.

- Gdy osiadł pył wzniesiony uderzeniem, zginęło trzy czwarte ziemskich organizmów. Nastąpił koniec świata.

I nowy początek. Ludzkość zaistniała dzięki kosmicznemu kaprysowi. Kawałkowi skały. To naprawdę nadzwyczajne, gdy się tak nad tym głębiej zastanowić.

Ziemia zadrżała. W oddali rozległ się jakiś huk i zapadła przeraźliwa cisza.

- To właśnie serce tej łamigłówki, rozwiązanie zagadki, które wolisz ignorować, bo zmierzenie się z tym problemem wstrząśnie podstawami rzeczywistości, prawda? Bo zaprzecza logice, sprawia, że wszystko, co się wydarzyło, jest chaotyczne, absurdalne i nonsensowne.

Morze mętnieje, wirujące kłęby pary wznoszą się ku górze. Woda zaczyna wrzeć. Nadciąga potężna, przesłaniająca niebo ściana pyłu, a

powietrze wokół mnie wibruje od głośnych pisków przypominających jęki umierających zwierząt.

- Nie muszę chyba powtarzać rzeczy oczywistych, prawda? Pytanie, które gnębi cię od tak długiego czasu.

Nie mogę się ruszyć. Wiem, że to nie dzieje się naprawdę, ale ogarniająca mnie panika jest równie potężna jak fala pary i pyłu opadająca na Ziemię. Miliony lat ewolucji nauczyły mnie ufania własnym zmysłom, a prymitywne części umysłu pozostają zupełnie głuche na piskliwe jęki jego racjonalnego jądra, które kwili niczym umierające zwierzę: „To nie dzieje się naprawdę. To nieprawda. Nieprawda”.

- Wybuchy elektromagnetyczne. Wielkie metalowe pręty spadające z nieba. Wirusowa zaraza... - Głos z każdym słowem staje się bardziej gromki, jak huk pioruna, jak łoskot obcasów maszerujących żołnierzy. - Uśpieni agenci ukryci w ludzkich ciałach. Armia dzieci o wypranych mózgach. Co to wszystko ma znaczyć? To właśnie pytanie, które nie daje ci spokoju. Jedyna istotna kwestia: po co babrać się z tym wszystkim, skoro wystarczy spory kawałek skały?

Zasypuje mnie ściana pyłu.

Leżę pod ziemią przez całe tysiąclecia.

Wiele kilometrów nad moją głową świat budzi się do życia. W cieniach zalegających na dnie deszczowych lasów szczuro- podobne stworzenie grzebie w ziemi w poszukiwaniu miękkich korzeni. Jego potomkowie poskromią ogień, wynajdą koło, odkryją matematykę, stworzą poezję, odwrócą bieg rzek, zrównają z ziemią lasy, wybudują miasta, zaczną badać kosmos. Ale na razie najważniejsze jest szukanie jedzenia i przetrwanie tak długo, by spłodzić kolejne szczuropodobne istoty.

Życie zniszczone ogniem i pyłem odradza się pod postacią nienasyconych gryzoni grzebiących w ziemi.

Zegar tyka. Stworzenie unosi nos ku górze, nerwowo wąchając ciepłe, wilgotne powietrze. Czas przyspiesza, a ja zaczynam się unosić ku powierzchni. Nim wynurzę się całkowicie spod piasku, stworzenie ulega przemianie: siedzi na krześle obok mojego łóżka ubrane w sztywne od brudu dżinsy i potarganą koszulkę. Zgarbione ramiona, zarośnięty podbródek, puste oczy wynalazcy koła, dziedzica, opiekuna, syna marnotrawnego.

Mój ojciec.

Popiskiwanie aparatury. Wykrochmalone, sztywne prześcieradła, twarda poduszka, przewody kroplówki wijące sit; od moich ramion. Mężczyzna siedzący przy moim łóżku jest poszarzały na twarzy i spocony, oblepiony brudem i niespo kojny, nerwowo skubie swoją koszulkę, jego oczy są przekrwione, a usta wilgotne i zapuchnięte.

- Mariko.

Zamykam oczy. *To nie on. To tylko narkotyki, jakimi nafaszerował mnie Vosch.*

I znów:

- Mariko.

- Zamknij się. Nie istniejesz.

- Muszę ci coś powiedzieć, Mariko. Powinnaś to wiedzieć.

- Nie rozumiem, dlaczego mi to robisz - mówię do Voscha. Wiem, że mnie obserwuje.

- Wybaczam ci - oznajmia mój ojciec.

Nie mogę oddychać. Ból w mojej piersi przypomina dźgnięcie nożem.

- Proszę - zaczynam błagać swojego oprawcę. - Nie rób tego.

- Musiałaś odejść - mówi ojciec. - Nie miałaś wyboru. Zresztą to i tak moja wina. To nie ty zrobiłaś ze mnie pijaka.

Instynktownie zakrywam uszy rękami. Ale jego głos nie dochodzi z zewnątrz, słyszę go w swojej głowie.

- Nie trwało to długo - mówi dalej mój ojciec kojącym tonem. - Zaledwie parę godzin od twojego odejścia.

Dotarliśmy aż do Cincinnati. Pokonaliśmy trochę ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. A potem skończyły mu się zapasy. Błagał, bym go nie zostawiała, wiedziałam jednak, że jeśli szybko nie znajdę jakiegoś alkoholu, ojciec umrze. Włamałam się do szesnastu domów - o ile wejście przez rozbite okno do upuszczonego budynku można nazwać włamaniem - i znalazłam jedną butelkę wódki ukrytą pod materacem. Byłam z tego powodu tak szczęśliwa, że ją ucałowałam.

Ale odnalazłam ją zbyt późno. Kiedy wróciłam do obozu, ojciec już nie żył.

- Wiem, że wciąż się tym zadręczasz, ale i tak bym umarł, Mariko. Tak czy siak. Zrobiłaś to, co musiałaś.

Nie mogłam się nigdzie ukryć przed tym głosem. Ani przed nim uciec. Otwarłam oczy i spojrzałam mu prosto w twarz.

- Wiem, że to kłamstwo. Nie jesteś prawdziwy.

Uśmiecha się. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zaskoczyłam go jakimś udanym szachowym posunięciem. Zachwycony nauczyciel.

- To właśnie próbuję ci powiedzieć! - Pociera długimi palcami udo, a ja zauważam brud, który wżarł się pod jego paznokcie. - Na tym polega ta lekcja, Mariko. Chcą, żebyś to zrozumiała.

Ciepły dotyk na lodowatej skórze: jego dłoń na moim ramieniu. Ostatni raz czułam jej dotyk, gdy okładał mnie po twarzy, przytrzymując drugą ręką i wrzeszcząc: „Gdzie leziesz, szmato!? Nawet nie myśl o tym, żeby mnie porzucić, ty suko!”. Całkowicie stracił rozum. Miał majaki, każdej nocy widział w ciemnościach rzeczy, których tam nie było. W otaczającej nas okropnej ciszy słyszał nieistniejące dźwięki. Tej nocy, kiedy umarł, przebudził się z wrzaskiem, próbując wydrapać sobie oczy. Twierdził, że czuje robaki, które roją się mu pod powiekami.

Teraz wpatruje się we mnie tymi samymi podpuchnięty- mi oczami. Zadrapania wokół nich wciąż wydają się świeże. Kolejne zatoczone koło, kolejny srebrny łańcuszek. Teraz to ja w tej okropnej ciszy słyszę, widzę i czuję rzeczy, które nie istnieją.

- Najpierw nauczyli nas, by im nie ufać - szepce. - Potem przestaliśmy ufać sobie nawzajem. A teraz uczą nas, by nie ufać nawet samemu sobie.

- Nie rozumiem - odpowiadam cicho.

Zaczyna znikać. Zapadam się coraz mocniej w pozbawioną światła głębię, a mój ojciec rozpływa się w pozbawionym głębi świetle. Całuje mnie w czoło. Błogosławieństwo. Klątwa.

- Od teraz należysz do nich.

Krzesło znów jest puste. Zostałam sama. Muszę sobie przypominać, że byłam sama również wtedy, gdy siedział na tym krześle. Czekam, aż moje serce przestanie walić jak oszalałe. Zmuszam się do zachowania spokoju i opanowania oddechu. Narkotyk w końcu przestanie działać i wszystko wróci do normy. - Jesteś bezpieczna - powtarzam sobie w myślach. - Całkowicie bezpieczna.

Podchodzi do mnie jasnowłosy rekrut, którego pobiłam. Trzyma tackę z jedzeniem: kawał niezidentyfikowanego, szarego mięsa, ziemniaki, papkę z fasoli i wysoką szklankę z sokiem pomarańczowym. Stawia to wszystko przy łóżku i naciska jakiś guzik, podnosząc mnie do pozycji siedzącej. Podsuwa mi tacę i staje obok, krzyżując ramiona, jakby na coś czekał.

- Opowiedz mi, jak ci smakuje - szepce ochryple. - Przez najbliższe trzy tygodnie nie będę mógł zjeść niczego konkretnego.

Ma bardzo jasną skórę, która sprawia, że jego głęboko osadzone brązowe oczy wydają się jeszcze ciemniejsze. Nie jest ani tak napakowany jak Zombie, ani taki rosły jak Pączek, Wysoki i szczupły jak pływak. W każdym jego ruchu, w każ dym spojrzeniu brązowych oczu kryje się intensywne napijcie, tak jakby tuż pod powierzchnią ukrywała się jakaś potężna siła.

Nie jestem pewna, co powinnam powiedzieć.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Takie tam pacnięcie. - Postukuje palcami swoje przedramię. - Nie będziesz tego jadła?

Potrząsam głową.

- Nie jestem głodna.

Czy to jedzenie istnieje naprawdę? Albo ten dzieciak, który je przyniósł? Ta niepewność mnie dobija. Tonę w bezkresnym morzu. Opadam powoli w pozbawioną świateł otchłań przytłoczona ciężarem, który wypycha mi powietrze z płuc i wyciska krew z serca.

- Wypij sok - gdera żołnierz. - Powiedzieli, że musisz go wypić.

- Słucham? - z trudem udaje mi się wykrztusić pytanie. - Czego tam dosypali?

- Masz paranoję?

- Lekką.

- Ściągnęli z ciebie właśnie pół litra krwi. Kazali mi się upewnić, że wypijesz ten sok.

Zupełnie nie pamiętam, by ktoś pobierał ode mnie krew. Co się działo, gdy „rozmawiałam” z ojcem?

- Po co im moja krew?

Mierzy mnie pustym spojrzeniem.

- Niech no tylko sobie przypomnę. Przecież mówią mi o wszystkim.

- Co ci mówią? Dlaczego tu jestem?

- Nie powinienem z tobą rozmawiać - odpowiada, ale po chwili dodaje: - Powiedzieli nam, że jesteś bardzo ważna. Istotny więzień. - Potrząsa głową. - Nic z tego nie rozumiem. Kiedyś dorotki... po prostu znikały.

- Nie jestem dorotką.

Wzruszenie ramion.

- Wcale cię o to nie pytam.

Ale ja musiałam go o coś zapytać.

- Wiesz, co się stało z Filiżanką?

- O ile wiem, zwiała razem z łyżeczką.

- Nie pytam o naczynia.

- Żartowałem tylko.

- Nie rozumiem.

- To spierdalaj. Twój problem.

- Pytam o dziewczynkę, którą przywieziono helikopterem razem ze mną. Ciężko ranna. Muszę wiedzieć, czy przeżyła.

Chłopak poważnie kiwa głową.

- Zaraz się dowiem.

Chyba źle się do tego zabrałam. Dogadywanie się z ludźmi nigdy mi nie wychodziło. W gimnazjum nazywano mnie „Jej Wysokość Marika” i miałam jeszcze kilka podobnych przezwisk. Może powinnam popracować nad budowaniem innych relacji niż te oparte na „spierdalaj”.

- Nazywam się Ringer - mówię.

- Cudownie. Na pewno lubisz to imię.

- Wyglądasz znajomo. Byłeś w obozie Przystań?

Otwiera usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale milknie.

- Nie powinienem z tobą rozmawiać - powtarza.

Omal nie pytam, dlaczego w takim razie wciąż ze mną gada, ale udaje mi się powstrzymać.

- To pewnie dobry pomysł. Nie chcą, żebyś się dowiedział tego co ja.

- Och, przecież doskonale wiem: wszystko jest kłamstwem, wróg nas oszukał, wykorzystują nas do zabijania ocalałych i inne takie bzdury. Typowe dorotkowe gadanie.

- Też mi się tak wydawało - przyznaję. - Teraz już nie jestem taka pewna.

- Jakoś to sobie poukładasz.

- Tak.

Skały i szczury oraz formy życia, które ewoluowały tak bardzo, że utraciły swoją fizyczną cielesność. Jakoś to sobie poukładam, choć będzie już wtedy zbyt późno. Już teraz jest zbyt późno. Do czego potrzebowali mojej krwi? Po co Vosch utrzymuje mnie przy życiu? Czego może ode mnie chcieć? Na co im ten blondynek, ja czy jakikolwiek człowiek? Skoro potrafili zaprojektować wirusa zdolnego zabić dziewięć na dziesięć osób, to dlaczego nie poszli na całość? Albo, cytując Voscha, po co babrali się z tym wszystkim, skoro wystarczył jeden solidny kawałek skały?

Boli mnie głowa. Czuję wzbierające mdłości. Żałuję, że nic potrafię jasno myśleć. To przecież zawsze było moje ulubione zajęcie.

- Wypij ten cholerny sok - ponagla chłopak. - Chciałbym już pójść.

- Wypiję, jeśli mi powiesz, jak się nazywasz.

Waha się przez chwilę.

- Brzytwa - odpowiada w końcu.

Wypijam sok. Brzytwa odstawia pustą szklankę na tacę i zabiera ją ze sobą. Poznałam jego imię. Odniosłam drobne zwycięstwo.

Ponownie odwiedza mnie kobieta w białym kitlu. Przedstawia się jako doktor Claire. Ciemne pofalowane włosy odgarnięte z czoła. Oczy w kolorze jesiennego nieba. Pachnie gorzkimi migdałami, wonią cyjanku.

- Dlaczego pobraliście mi krew?

Uśmiecha się.

- Bo jesteś taka słodka, że postanowiliśmy cię sklonować w stu egzemplarzach - w jej głosie nie ma nawet cienia sarkazmu. Odpina kroplówkę i natychmiast robi krok do tyłu, jakby się bała, że wyskoczę z łóżka i zacznę ją dusić. Przyszło mi to oczywiście do głowy, ale wolałabym ją raczej zadźgać scyzorykiem. Ciekawe, ile razy musiałabym wbić w nią ostrze. Pewnie dość sporo.

- To też jest bez sensu - stwierdzam. - Po co instalować waszą świadomość w ludzkich ciałach, skoro możecie się do woli klonować na swoim statku, nie podejmując żadnego ryzyka?

Zwłaszcza że każdy z was po zainstalowaniu może zmienić się w Evana Walkera i zakochać w ludzkiej dziewczynie.

- Dobre pytanie. - Lekarka poważnie kiwa głową. - Poruszę ten temat na kolejnym zebraniu. Może powinniśmy przemyśleć tę całą strategię wrogiego przejęcia. - Wskazuje mi ręką drzwi. - Ruszaj.

- Dokąd?

- Dowiesz się. Nic się nie martw - dodaje. - Spodoba ci się,

Nie idziemy daleko. Wchodzimy w drugie drzwi. Pomieszczenie jest niewielkie. Umywalka, szafka, ubikacja, kabina prysznicowa.

- Pamiętasz, kiedy ostatnio wzięłaś porządny prysznic? - pyta Claire.

- W obozie Przystań. Zanim strzeliłam sierżantowi prosto w serce.

- Doprawdy? - pyta, jakbym jej właśnie powiedziała, że mieszkałam w San Francisco. - Tu masz ręcznik. Szczoteczkę, grzebień i dezodorant znajdziesz w szafce. Czekam na ciebie za drzwiami. Zapukaj, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Zostaję sama. Zaglądam do szafki: dezodorant w sztyfcie, grzebień, turystyczna tubka pasty, szczoteczka w plastikowym opakowaniu. Brak nici do czyszczenia zębów. Miałam nadzieję, że ją tu

znajdę. Marnuję kilka minut na zastanawianie się, ile czasu zajęłoby mi wyostrzenie końców ki szczoteczki, by zmienić ją w zabójcze narzędzie.

W końcu zdejmuję kombinezon i wchodzę pod prysznic, myśląc o Zombie. Nie dlatego, że jestem naga - przypomniało mi się, jak mówił o Facebooku, restauracjach, szkolnych dzwonkach i tych wszystkich rzeczach, które utraciliśmy: tłustych frytkach, zakurzonych księgarniach i ciepłej wodzie z prysznica. Ustawiam najwyższą temperaturę, jaką potrafię wytrzymać, i stoję pod strugą wody tak długo, aż zaczyna mi się marszczyć skóra na palcach. Lawendowe mydło. Owocowy szampon. Wyczuwam twardy nadajnik ukryty pod skórą. *Od teraz należysz do nich.*

Rzucam butelką szamponu o ścianę. Raz za razem walę pięścią w kafelki, aż pęka mi skóra na kostkach. Mój gniew jest większy niż suma wszystkiego, co utraciliśmy.

*

Vosch czeka na mnie w pierwszym pomieszczeniu. Nie odzywa się ani słowem, czekając, aż Claire obandażuje mi rękę i zostaniemy sami.

- I co w ten sposób osiągnęłaś? - pyta.

- Musiałam sobie coś udowodnić.

- Ból jako jedyny dowód na to, że żyjesz?

Kręcę głową.

- Wiem, że żyję.

Vosch potakuje z namysłem.

- Chciałabyś ją zobaczyć?

- Filiżanka nie żyje.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie ma powodu, by utrzymywać ją przy życiu.

- Zgadza się, o ile zakładamy, że jest potrzebna tylko po to, by tobą manipulować. Młodzież w dzisiejszych czasach jest taka narcystyczna...

Naciska jakiś guzik. Spod sufitu opuszcza się ekran.

- Nie możesz mnie zmusić do pomocy. - Ogarnia mnie coraz większa panika, poczucie utraty kontroli nad czymś, czego nigdy nie kontrolowałam.

Vosch wyciąga przed siebie dłoń, na której spoczywa jakiś zielonkawy przedmiot przypominający kształtem i wielkością sporą kapsułkę z lekarstwem. Z jej końca zwisa cieniutki drucik.

- Oto wiadomość.

Światła przygasają, ekran budzi się do życia. Kamera przelatuje ponad zamarzniętymi polami pszenicy. W oddali pojawiają się budynki farmy, kilka przybudówek, pordzewiały silos. Spomiędzy drzew rosnących na skraju pól wynurza się jakaś niewielka postać i zaczyna się przedzierać w stronę domu, lawirując pomiędzy zeschniętymi i połamanymi łodygami.

- Oto posłaniec.

Z tej wysokości nie potrafię rozpoznać płci dziecka, widzę tylko, że jest bardzo małe. Być może w wieku Nuggeta. Albo młodsze.

- Sam środek Kansas - wyjaśnia Vosch. - Wczoraj, około trzynastej.

Na werandzie domu pojawia się kolejna postać. Minutę później ktoś do niej dołącza. Dziecko biegnie w ich stronę.

- To nie jest Filiżanka - szepcę.

- Nie.

Dziecko przedziera się przez łamliwe zboże w stronę dorosłych, którzy obserwują je, trwając w bezruchu. Jedno z nich ma w ręku strzelbę, a brak dźwięku sprawia, że ta scena staje się jeszcze straszniejsza.

- To jeden z najstarszych instynktów: w chwilach największego zagrożenia nie można ufać nikomu spoza swojego naj bliższego otoczenia. Żadnym obcym.

Czuję, jak napinają mi się wszystkie mięśnie. Wiem, jak to się skończy, przeżyłam to już. Ten człowiek z karabinem to ja. Dziecko, które ku niemu zmierza, to Filiżanka.

Dziecko upada. Podnosi się. Biegnie. Znów upada.

- Ale istnieje jeszcze starszy instynkt, odwieczny jak samo życie, i nie ma sposobu, by wyrugować go z ludzkich umysłów. Instynkt, który mówi, że za wszelką cenę należy chronię swoje młode. Ocalić przyszłość gatunku.

Dziecko wynurza się spomiędzy zbóż i wbiega na podwórze, gdzie upada po raz ostatni. Człowiek z bronią wciąż do niego mierzy, ale towarzysząca mu osoba podbiega do leżącego dzieciaka i podnosi go z

zamarzniętej ziemi. Strzelec próbuje ją powstrzymać przed wejściem do domu. Przez kilka sekund trwa niema sprzeczka.

- Najważniejsza jest kwestia ryzyka - zauważa Vosch. - Uświadomiłaś sobie to już dawno temu. Dlatego wiesz, kto wygra tę kłótnię. W końcu jak wielkie ryzyko może się wiązać z tak małym dzieckiem? Chronić młode za wszelką cenę. Ocalić przyszłość gatunku. Człowiek z dzieckiem wymija postać z bronią i wbiega po schodach do domu. Strzelec najpierw zwiesza głowę, jakby się modlił, a później unosi ją ku niebu, jakby o coś błagał. Odwraca się w końcu i również wchodzi do środka. Mijają kolejne minuty.

Słyszę za plecami cichy głos Voscha.

- Świat jest zegarem.

Farma, zabudowania gospodarcze, silos, zrudziałe pola, wyświetlacz na dole ekranu odliczający kolejne setne sekund. Wiem, co się zdarzy, ale i tak przymykam oczy, gdy ekran eksploduje białym światłem. Chmura pyłu i gruzu, dym unoszący się pod niebo, pszenica w kilka sekund zajmuje się ogniem, karmiąc żarłoczne płomienie, a po budynku zostaje jedynie krater, czarna dziura prowadząca w głąb ziemi. Ekran ciemnieje i zaczyna się podnosić. Światła zostają przygaszone.

- Chcę, żebyś to zrozumiała - mówi łagodnie Vosch. - Zastanawiałaś się, po co trzymamy te maleństwa zbyt młode, by walczyć.

- Nie rozumiem.

Maleńka bosonoga postać w dżinsowym kombinezonie pośród bezmiaru brązowych pól, biegnąca przez pszenicę.

Vosch źle odczytuje powód mojej dezorientacji.

- Urządzenie zainstalowane w ciele dziecka skalibrowano tak, by wykrywało zmiany w stężeniu dwutlenku węgla - wyjaśnia. - To podstawowy składnik ludzkiego oddechu. Jeśli czujnik wykryje dwutlenek w natężeniu wskazującym na obecność wielu osób, następuje eksplozja.

- Nie - odpowiadam szeptem. Oni zabrali dziecko do śródka, opatulili kocami, napoili i obmyli mu buzię. Zgromadzili się wokół niego, ogrzewając je swoimi oddechami. - Zginęliby tak samo, gdybyście po prostu zrzucili bombę.

- Tu przecież nie chodzi o zabijanie - warczy, tracąc cierpliwość. - Nigdy nie chodziło.

- Światła znów rozbłyskują pełną mocą, a w otwartych drzwiach staje doktor Claire z metalowym stolikiem na kółkach. Razem z nią pojawia się jej kumpel w białym fartuchu oraz Brzytwa, który spogląda na mnie przez chwilę i odwraca wzrok. Przybiło mnie to bardziej niż widok strzykawek rozłożonych na stoliku. Naprawdę nie potrafił się zmusić, by na mnie spojrzeć.

- To niczego nie zmienia - odpowiadam podniesionym głosem. - Nie obchodzi mnie, co robicie. Nawet Filiżanka mnie już nie obchodzi. Raczej się zabiję, niż ci pomogę.

Vosch potrząsa głową.

- Nie pomagasz mi.

Claire obwiązuje mi ramię gumowym wężykiem i postukuje palcami w zgięcie łokcia, odnajdując żyłę. Z drugiej strony łóżka stoi Brzytwa. Facet w białym fartuchu - wciąż nie znam jego imienia - trzyma w ręku sekundnik i wgapia się w monitor. Oparty o umywalkę Vosch wpatruje się we mnie jasnym, okrutnym spojrzeniem. W jego oczach kryje się ta sama obojętna ciekawość, jaką widziałam u kruka, który przyglądał mi się w lesie tego dnia, gdy postrzeliłam Filiżankę. Nagle rozumiem, co chciał mi powiedzieć: właściwą odpowiedzią na ich przybycie na naszą planetę wcale nie jest gniew. Właściwą odpowiedzią jest przeciwieństwo gniewu. Jedyną odpowiedzią jest przeciwieństwo istnienia, takie jak pustka pozostała po zabudowaniach farmy: zupełnie nic. Żaden gniew, żadna nienawiść, żaden strach. Nic. Pustka. Bezduszna obojętność kryjąca się w rekinim spojrzeniu.

- Za wysokie ciśnienie - mamrocze gość w białym kitlu, nie odrywając wzroku od wskaźników na monitorze.

- Damy ci coś na uspokojenie. - Claire wbija mi igłę w ramię.

Patrzę na Brzytwę. Chłopak odwraca wzrok.

- Lepiej - informuje mężczyzna.

- Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobicie - mówię do Voscha, czując, jak drętwieje mi język.

- To bez znaczenia. - Komendant kiwa głową w stronę Claire, która sięga po kolejną strzykawkę.

- Dam sygnał do rozpoczęcia procedury wstrzykiwania węzła - mówi lekarka.

*Węzła?*

- Ostrożnie! - upomina facet w białym fartuchu, widząc, jak wzrasta mi tętno.

- Nie bój się - uspokaja mnie Vosch. - To nie boli.

Claire mierzy go zaskoczonym spojrzeniem.

- Tak wykazały testy - wyjaśnia jej, wzruszając ramionami i dając znak, by zabierała się do roboty.

Ważę dziesięć milionów ton. Mam stalowe kości, cała reszta jest z kamienia. W ogóle nie czuję igły wbijającej się w ramię.

- Teraz - mówi Claire, a facet w białym fartuchu uruchamia sekundnik. Świat jest zegarem.

- Zmarli otrzymali już swoją nagrodę - mówi Vosch. - To żywi, ty i ja, wciąż mają robotę do wykonania. Nazywaj to sobie, jak chcesz: szczęściem, przeznaczeniem lub opatrznością. Zostałaś tu dostarczona, bym zmienił cię w narzędzie.

- Instalacja w korze mózgowej.

Głos Claire zdaje się stłumiony, tak jakby ktoś napchał mi waty do uszu. Odwracam się w jej stronę. Mijają tysiące lat.

- Już kiedyś to widziałaś. - Słowa Voscha dobiegają do mnie z odległości tysięcy kilometrów. - W laboratorium, tego dnia, gdy trafiłaś do obozu Przystań. Powiedzieliśmy ci wtedy, że to obca forma życia doczepiona do ludzkiego mózgu. Kłamaliśmy.

Wciąż słyszałam oddech Brzytwy głośny jak u nurka wydychającego powietrze przez maskę.

- Tak naprawdę jest to mikroskopijny węzeł komunikacyjny przymocowany do kory przedczołowej w twoim mózgu - wyjaśnia dalej Vosch. - Możesz też to nazwać procesorem centralnym.

- Uruchamianie systemu - oznajmia Claire. - Wszystko wygląda dobrze.

- Ale jego zadaniem nie jest kontrola nad tobą... - ciągnie Vosch. - Wstrzykiwanie pierwszych układów.

Igła połyskująca w świetle jarzeniówek. Czarne drobinki zawieszone w bursztynowym płynie. Wstrzykuje je w moje żyły, a ja niczego nie czuję.

- Będzie koordynował działanie czterdziestu czterech tysięcy mechanicznych układów, którym twoje ciało udzieli gościny.

- Temperatura trzydzieści siedem i pół stopnia - ostrzega mężczyzna w białym kitlu.

Głośny oddech Brzytwy przy moim łóżku.

- Minęły miliony lat i tysiące pokoleń, nim prehistoryczne szczury osiągnęły aktualny etap ewolucji. W ciągu paru dni dotrzesz na jej kolejny szczebel - informuje mnie Vosch.

- Ustanowiono połączenie z pierwszą partią układów. - Claire ponownie pochyla się nade mną. Omiata mnie jej gorzki migdałowy oddech. - Wstrzykiwanie drugiej partii.

Pokój jest rozgrzany jak hutniczy piec. Ociekam potem. Facet w kitlu oznajmia, że temperatura mojego ciała wynosi trzydzieści dziewięć stopni.

- Strasznie chaotyczna sprawa ta ewolucja - kontynuuje Vosch. - Liczne falstarty, mnóstwo ślepych zaułków. Niektórzy z kandydatów nie nadają się na nosicieli. Wysiada im układ odpornościowy albo cierpią w wyniku niemożliwego do opanowania dysonansu poznawczego. Mówiąc prościej: odbija im.

Moje ciało płonie. W żyłach płynie czysty ogień. Z oczu leją mi się strumienie wody, które ciekną po policzkach i gromadzą się w uszach. Spod pofalowanej tafli morza łez dostrzegam twarz Voscha.

- Musisz w nas jednak uwierzyć, Mariko. Nie po to przedzierałaś się przez ogień i krew, by teraz się poddać. Staniesz się mostem łączącym to, co było, z tym, co będzie.

- Tracimy ją. - Głos faceta w białym fartuchu wyraźnie drży.

- Nie - szepce Vosch, gładząc mnie zimną dłonią po wilgotnym policzku. - Ocaliliśmy ją.

W sterylnym świetle nigdy niegasnących jarzeniówek zniknęły pojęcia dnia i nocy. Odmierzam czas za pomocą kolejnych wizyt Brzytwy, który trzy razy dziennie przynosi mi jedzenie, choć nie jestem w stanie niczego utrzymać w żołądku.

Nie potrafią opanować mojej gorączki. Nie mogą wyrównać ciśnienia krwi. Nie znaleźli sposobu, by powstrzymać ciągłe mdłości. Moje ciało odrzuca jedenaście dawek układów, które miały wzmocnić biologiczne systemy organizmu. Każda z nich składa się z czterech tysięcy jednostek, tak więc moja krew została zainfekowana czterdziestoma czterema tysiącami miniaturowych robocików.

Czuję się koszmarnie.

Claire pojawia się zawsze po śniadaniu. Bada mnie, zmienia dawki leków i rzuca niezrozumiałe uwagi typu: „Lepiej szybko wróć do formy. Za chwilę stracisz swoją szansę", albo mówi z przekąsem, że ten cały pomysł z wielką skałą zaczyna się jej coraz bardziej podobać. Wygląda na rozczarowaną tym, że mój organizm odrzuca czterdzieści cztery tysiące obcych mechanizmów, jakie we mnie wpompowała.

- I tak nie możesz z tym już nic zrobić - poinformowała mnie podczas jednej z wizyt. - Procedura jest nieodwracalna.

- Coś mogę.

- Słucham? Ach, no tak. Pewnie. Jesteś przecież niezastąpiona. - Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej zabójczy przekaźnik. - Jest podłączony. Mogę nacisnąć guzik. Wystarczy, że mnie o to poprosisz. - Wykrzywia twarz w uśmiechu.

- Naciśnij guzik.

Wybucha melodyjnym śmiechem.

- To naprawdę cudowne. Za każdym razem, kiedy zaczynam się zastanawiać, co on w tobie widzi, nagle wyskakujesz z czymś takim.

- Kto? Vosch?

Uśmiech znika.

- Jeśli twój organizm się nie przystosuje, przerwiemy przekształcenie.

Przerwiemy przekształcenie.

Zdejmuje bandaże z mojej dłoni. Żadnych blizn, strupów czy otarć. Tak jakby nic się nie wydarzyło. Jakbym nigdy nie waliła pięścią w

ścianę, rozwalając rękę aż do kości. Przypominam sobie o Voschu, który w kilka dni po tym, jak złamałam mu nos i podbiłam oczy, wyglądał na zupełnie zdrowego. I o Sullivan, która opowiadała, że Walker w kilka godzin po tym, jak poharatały go odłamki, zdołał samodzielnie przekraść się do bazy i wykończyć jej obsługę.

Najpierw zabrali Marikę i zmienili ją w Ringer. Teraz zabierali Ringer i „przekształcali” ją w coś zupełnie innego. Kogoś takiego jak oni.

Albo coś.

Nie ma już dnia ani nocy, jedynie sterylne jednostajne światło.

- Co oni mi zrobili? - pytam pewnego dnia, gdy Brzytwa znów wtacza do pokoju wózek z niestrawnym jedzeniem. Nie spodziewam się, że odpowie, ale on wie od dawna, że kiedyś o to zapytam. Pewnie jest zdziwiony, że powstrzymywałam się tak długo.

Wzrusza ramionami, unikając mojego wzroku.

- Lepiej popatrz, co mamy dziś w menu. Klopsiki! Jesteś prawdziwą szczęściarą.

- Zaraz puszczę pawia.

- Serio? - Patrzy na mnie zaskoczony, a potem rozgląda się desperacko w poszukiwaniu plastikowej miski.

- Proszę, zabierz tę tacę. Naprawdę nie mogę.

Marszczy brew.

- Odłączą cię, jeśli się nie pozbierasz.

- Przecież mogli wybrać kogokolwiek - odpowiadam. - Dlaczego akurat ja?

- Może jesteś wyjątkowa.

Kręcę głową, ale odpowiadam poważnie:

- Nie. Wydaje mi się, że to ktoś inny jest wyjątkowy. Grasz w szachy?

Zaskoczenie.

- W co?

- Moglibyśmy kiedyś zagrać. Jak już się lepiej poczuję.

- Wolę baseball.

- Serio? Stawiałabym raczej na pływanie. Albo tenis.

Przekrzywia głowę, ściągając brwi.

- Ty się chyba naprawdę źle czujesz. Rozmawiasz, jakbyś była w połowie człowiekiem.

- Jestem w połowie człowiekiem. Całkiem dosłownie. Ale ta druga połowa... - Wzruszam ramionami. Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Och, dwunasty układ na pewno jest ich - rzuca.

Dwunasty układ? O co mu chodzi? Nie jestem pewna, ale podejrzewam w tym jakąś aluzję do jedenastu układów znajdujących się w ludzkim ciele.

- Znaleźliśmy sposób, jak usuwać je z ciał zarażonych i... - Jego głos cichnie, a spłoszony wzrok wędruje w stronę kamery. - Tak czy siak, musisz coś zjeść. Słyszałem, że mogą cię zacząć karmić przez rurkę.

- Czyli tak brzmi oficjalne wyjaśnienie? Dokładnie tak jak w przypadku Krainy Czarów? Zdobyliśmy obcą technologię i wykorzystujemy ją przeciw nim? I ty w to wierzysz.

Opiera się o ścianę i krzyżując ramiona na piersi, zaczyna nucić *Follow the Yellow Brick Road.* Kręcę głową z niedowierzaniem. Nie chodzi przecież o to, że ich kłamstwa są zbyt piękne, by się im oprzeć. To prawda jest zbyt ohydna, by się z nią zmierzyć.

- Komendant Vosch instaluje w dzieciach bomby. Zamienia je w samobieżne miny - wyjaśniam. Brzytwa nuci coraz głośniej. - Małe dzieci. Szkraby. Wiesz przecież, że je oddzielają. Robili tak w obozie Przystań. Zabrali wszystkie dzieci poniżej piątego roku życia. Widziałeś jakieś później?

- Gdzie one są, Brzytwa? Gdzie te dzieci?

Milknie tylko po to, by powiedzieć:

- Zamknij się, dorotko.

- To też jest dla ciebie sensowne? Pakowanie tej całej obcej technologii we mnie, w dorotkę? Skoro zdecydowali się na ulepszanie ludzi, by posłużyć się nimi w wojnie, to dlaczego wybierają wariatów?

- Nie wiem. Ciebie też przecież wybrali, prawda? - Zabiera tacę z nietkniętym jedzeniem i kieruje się ku drzwiom.

- Zostań.

Odwraca się, nie kryjąc zaskoczenia. Mam rozpaloną twarz. Gorączka znów musiała wzrosnąć. To na pewno z tego powodu.

- Po co? - pyta.

- Jesteś ostatnią uczciwą osobą, z którą mogę pogadać.

Parska śmiechem. Prawdziwym, szczerym i niewymuszonym - podoba mi się, ale to również może być efekt gorączki.

- Kto mówi, że jestem uczciwy? - dopytuje. - Przecież wszyscy jesteśmy wrogami w przebraniu, czyż nie?

- Mój ojciec opowiadał taką historyjkę o sześciu ślepcach i słoniu. Jeden z niewidomych zbadał dłońmi nogę słonia i stwierdził, że zwierzę musi wyglądać jak kolumna. Inny dotknął trąby i powiedział, że słoń przypomina konar drzewa. Trzeci złapał za ogon i uznał, że słoń jest jak

lina. Czwarty obmacał zwierzę po brzuchu, jego zdaniem słoń był jak ściana. Piąty facet położył dłoń na uchu, więc orzekł, że słoń musi być ukształtowany jak wachlarz. Szósty gładził kieł, według niego zwierzę przypominało fajkę.

Przez długą chwilę patrzy na mnie z kamiennym wyrazem twarzy, a potem się uśmiecha. To dobry uśmiech. On również mi się podoba.

- Śliczna historia. Powinnaś ją opowiadać na imprezach.

- Morał jest taki - wyjaśniam - że od momentu pojawienia się ich statku wszyscy jesteśmy ślepcami obmacującymi słonia.

W jednostajnym sterylnym świetle odmierzam upływ dni za pomocą kolejnych niezjedzonych posiłków. Jeden dzień to trzy posiłki, dwa - sześć. Dziesiątego dnia, kiedy Brzytwa znów stawia przede mną tacę, pytam, po co to w ogóle robi. Z moich ust wydobywa się jedynie ochrypły szept. Ociekam potem, gorączka trawi mój organizm, serce wali jak szalone. Nie odpowiada. Nie odezwał się do mnie od siedemnastu posiłków. Wygląda na poirytowanego, zagubionego. Być może jest o coś wściekły. Claire również zamilkła. Wpada dwa razy dziennie, żeby zmienić mi kroplówkę, poświecić w oczy, sprawdzić odruchy, opróżnić nocnik stojący pod łóżkiem. Co sześć posiłków obmywa mnie gąbką. Pewnego dnia oplata mój biceps miarką, zapewne, żeby sprawdzić, ile stracił na objętości. Nikt więcej się nie pojawia. Facet w białym kitlu zniknął. Podobnie jak Vosch i mój martwy ojciec, którego wpompował mi do głowy. Wciąż jestem na tyle świadoma, by zdawać sobie sprawę z tego, co robią: to czuwanie, oczekiwanie na chwilę, w której zabiją mnie te ich ulepszenia.

Pewnego ranka, gdy Claire płucze nocnik w zlewie, pojawia się Brzytwa z moim śniadaniem. Odczekuje w milczeniu, aż lekarka skończy, a potem słyszę jego szept:

- Czy ona umrze?

Claire kręci głową. Trudno to zinterpretować, być może to „nie”, być może „wiesz tyle samo co ja”. Czekam, aż wyjdzie, i mówię mu, że marnuje tylko czas.

Brzytwa wbija wzrok w kamerę pod sufitem.

- Robię tylko to, co mi każą.

Zrzucam tacę na podłogę. Chłopak zaciska usta, ale nic odzywa się ani słowem. W ciszy sprząta bałagan, podczas gdy ja, zlana potem z wysiłku, próbuję uspokoić oddech.

- Właśnie. Pozbieraj to. Przydaj się do czegoś.

Gorączka sprawia, że coś w moim mózgu pęka, wyobrażam sobie czterdzieści cztery tysiące mikrorobotów rojących się w mojej krwi i procesor z delikatnymi pręcikami wbijającymi się w każdy zwój mózgu. Zaczynam rozumieć, co czuł mój umierający ojciec, próbując wydrapać niewidzialne robaki, które pełzały mu pod skórą.

- Suka! - sapię. Brzytwa podnosi na mnie zaskoczony wzrok. - Zostaw mnie, ty draniu.

- Żaden problem - odpowiada półgłosem, na czworakach wycierając podłogę mokrą szmatą, która śmierdzi środkiem dezynfekującym. - Najszybciej, jak tylko się da. - Wstaje. Na jego jasnych policzkach płonie rumieniec. W malignie mam wrażenie, że czerwień skóry wydobywa rudawe refleksy w jego blond czuprynie. - Zapomnij o tym w końcu - mówi. - Nie dasz rady się zagłodzić. Musisz wymyślić coś lepszego.

Próbowałam. Ale nie znalazłam żadnego innego wyjścia. Ledwie mogę unieść głowę. *Od teraz należysz do nich.* Vosch rzeźbiarz i moje ciało jako jego glina. Ale nie mój duch. Nie dusza. One pozostaną niezdobyte. Niezniszczone. Nienaruszone.

To nie ja jestem w okowach, tylko oni. Cierpienie, śmierć lub ozdrowienie nie mają znaczenia. Gra skończona. Wielki mistrz Vosch dostaje mata.

- Mój tata miał takie ulubione powiedzonko. - Spoglądam na Brzytwę. - Nazywamy szachy królewską grą, ponieważ uczą, jak rządzić królem.

- A ty znowu o tych szachach.

Zostawia brudną szmatę w zlewie i zamyka za sobą drzwi. Kiedy przynosi mi kolejny posiłek, na tacy leży znajoma drewniana skrzynka. Bez słowa przechyla tacę nad koszem na śmieci, a potem z łoskotem wrzuca ją do umywalki. Oparcie łóżka unosi się z cichym pomrukiem, a kiedy znajduję się w pozycji siedzącej, Brzytwa stawia przede mną skrzynkę.

- Mówiłeś, że nie grasz - szepcę.

- Naucz mnie.

Kręcę głową, patrząc prosto w kamerę.

- Brawo, nieźle. Ale i tak możecie sobie wsadzić w dupę te szachy.

Chłopak wybucha śmiechem.

- To nie ich pomysł. Ale skoro już mówimy o dupach, to możesz się założyć o własną, że najpierw wystarałem się o pozwolenie.

Otwiera skrzynkę, wyjmuje szachownicę i przygląda się figurom.

- Mam króla, królową, wieże i takie jakby krewetki. Czemu prawie wszystkie figury wyglądają jak ludzie, a te nie?

- To pionki. Krewetki wyglądają inaczej.

Kiwa głową.

- Mieliśmy takiego gościa w naszym oddziale.

- Krewetkę?

- Taka ksywa.

- Źle je rozstawiłeś.

- Pewnie dlatego, że nie mam pojęcia, jak się w to gra. Ty to zrób.

- Nie chcę.

- Chcesz się przyznać do porażki?

- Chcę się poddać. Tak się to nazywa: poddanie partii.

- Dobrze wiedzieć. Mam przeczucie, że może mi się kiedyś przydać. - Uśmiech. Nie tak olśniewający jak uśmiech Zombie'ego. Delikatniejszy, bardziej subtelny, ironiczny. Siatki obok mnie na łóżku, wyczuwam zapach jego gumy do żucia.

- Czarne czy białe?

- Brzytwa, przecież nie potrafię nawet podnieść...

- Powiesz mi, gdzie chcesz się ruszyć, a ja przesunę figurę.

Nie miał zamiaru się poddać. Spodziewałam się tego. Do tej pory zdążyli się już pozbyć wszystkich łamag i sierot. Nie został ani jeden mięczak. Mówię mu, jak poruszają się figury i gdzie je rozstawić. Wyjaśniam podstawowe zasady. Ciągle kiwa głową i wydaje potakujące dźwięki, ale nie wydaje mi się, żeby dużo z tego łapał. Zaczynamy grę, wykańczam go w czterech ruchach. Podczas następnej partii zaczyna się ze mną sprzeczać: „Nie możesz tak zrobić! To najgłupsze zasady, jakie kiedykolwiek wymyślono!". Trzecia rozgrywka. Jestem pewna, że zaczyna żałować tego pomysłu. Mój nastrój wcale się nie poprawia, a jego zupełnie się popsuł.

- To najbardziej kretyńska gra, jaką wynaleziono - skamle.

- Szachy nie zostały wynalezione, tylko odkryte.

- Jak Ameryka?

- Jak matematyka.

- W szkole też trafiałem na takie dziewczyny jak ty. - Nie kończy myśli i rozkłada ponownie figury na szachownicy.

- Wystarczy tego, Brzytwa. Jestem wykończona.

- To jutro przyniosę warcaby. - Zabrzmiało to jak groźba.

Ale tego nie robi. Taca, skrzynka, szachownica. Tym razem jednak rozstawia figury zupełnie inaczej. Czarny król trafia na środek zwrócony w jego stronę, naprzeciw niego stawia przy krawędzi

królową, za nim trzy piony, kolejno na dziesiątej, dwunastej i drugiej godzinie. Po lewej i prawej króla lądują skoczki, tuż za nim goniec, a obok niego kolejny pion. Brzytwa z anielskim uśmiechem podnosi wzrok znad szachownicy.

- W porządku. - Kiwam głową, choć nie wiem, o co chodzi.

- Wymyśliłem nową grę. Gotowa? Nazywa się... - Szybki werbel palcami na ramie łóżka. - Szachowy baseball!

- Szachowy baseball?

- Szachy i baseball. Rozumiesz? - Kładzie monetę obok planszy.

- Co to? - pytam.

- Ćwierćdolarówka.

- To wiem.

- W tej grze posłuży nam za piłkę. To znaczy nie dosłownie. Będzie reprezentować to, co dzieje się z piłką. Jeśli dasz mi dojść do głosu, to wytłumaczę ci zasady.

- Przecież nic nie mówię.

- Dobra. Od twojego gadania tylko boli mnie głowa. Albo mnie wyzywasz, albo opowiadasz jakieś dziwaczne historyjki o słoniach, albo bredzisz jak Yoda. Chcesz zagrać czy nie? - Nie czeka na odpowiedź. Stawia białego piona przed czarną królową. - To ty - wyjaśnia. - Pałkarz.

- Wolałabym zostać z moją królową. Jest najsilniejsza.

- Dlatego będzie uderzała jako czwarta. - Potrząsa głową zadziwiony moją ignorancją. - To naprawdę proste: obrona, czyli ty, rzuca pierwsza. Orzełek: pudło. Reszka: trafienie.

- Moneta się nie sprawdzi - zauważam. - Są przecież trzy możliwości: pudło, trafienie lub zbicie.

- Tak właściwie to cztery, licząc błąd pałkarza, ale o to się nie martw. Ja zajmę się baseballem, a ty szachami.

- Szachballem - poprawiam.

- Nieważne. Jeśli wyrzucisz trafienie, to liczy się jako trafienie i rzucasz jeszcze raz. Jeśli tym razem wypadnie reszka, moneta przechodzi w moje ręce. To daje mi okazję do zaliczenia dotknięcia. Orzeł: dotykam zawodnika, reszka: nie dotykam. W drugim przypadku zaliczam pierwsze zbicie. I tak dalej.

- Rozumiem. Jeśli wyrzucisz orła, moneta wraca do mnie, żebym mogła cię wyeliminować. Orzeł: zostajesz wyautowany...

- Źle! Wszystko źle! Nie. Najpierw rzucam trzy razy. Cztery, jeśli wypadnie PR.

- PR?

- Podwójna reszka. Wtedy mamy potrójną bazę. Przy podwójnej reszce rzucasz raz jeszcze. Orzeł oznacza *home run.* Reszka: zostaje potrójna baza. Dwa orzełki to pojedynczy aut, orzeł i reszka to podwójny.

- Może zacznijmy grać i wyjaśnisz mi...

- Potem odbierasz monetę, by sprawdzić, czy możesz blokować zdobycie przeze mnie pierwszej, drugiej lub trzeciej bazy albo bazy domowej. Orzeł: wypadam z gry. Reszka: zdobywam bazę. - Oddycha głęboko. - Chyba że wcześniej był *home run.*

- Oczywiście.

- Nabijasz się ze mnie? Bo nie wiem...

- Próbuję tylko przyswoić te...

- Bo wygląda, jakbyś się nabijała. Nie masz pojęcia, ile czasu nad tym myślałem. To wszystko jest dość skomplikowane. Może nie tak jak królewskie szachy, ale wiesz przecież, jak nazywają baseball. Naszym narodowym sposobem na zabijanie czasu. Grając w baseball, odnosimy zwycięstwo nad czasem.

- Teraz to ty się ze mnie nabijasz.

- Szkoda, że tylko ja się tutaj śmieję. - Milknie. Wiem, na co czeka. - Nigdy nie widziałem twojego uśmiechu.

- A jakie to ma znaczenie?

- Dawno temu, kiedy byłem mały, śmiałem się tak głośno, że aż się zlałem w spodnie. Byliśmy w wesołym miasteczku. Na diabelskim młynie.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Już nie pamiętam. - Kładzie monetę na mojej odwróconej dłoni i wsuwa pod nią ręce, unosząc nieco do góry. - Rzuć, żebyśmy mogli zacząć tę cholerną grę.

Nie chcę robić mu przykrości, ale te zasady nie są zbyt skomplikowane. Podniecił się pierwszym zaliczonym trafieniem, uniósł tryumfalnie zaciśniętą dłoń i zaczął przestawiać figury na planszy, komentując każdy ruch ochrypłą imitacją głosu sprawozdawcy sportowego, niczym dzieciak bawiący się plastikowymi figurkami.

- Piłka wpada głęboko w środkowe pole!

Pion reprezentujący środkowego zawodnika wędruje w stronę drugiej bazy, lewoskrzydłowy pędzi w kierunku centrum boiska. Brzytwa przesuwa figury jedną ręką, podczas gdy w drugiej wciąż obraca palcami monetę, która wirując w zwolnionym tempie jak piłka, ląduje po lewej stronie środkowego pola. Jest to tak infantylne i absurdalne, że powinnam się uśmiechnąć, ale już nie potrafię się uśmiechać.

- Baza zdobyta!

Nie. Nie infantylne. Po prostu dziecięce. Z tymi jaśniejącymi oczami i głosem nabrzmiałym radością Brzytwa jest znowu dziesięciolatkiem. Nie wszystko jeszcze stracone, przynajmniej nie to, co najważniejsze.

Kolejna piłka ląduje między bazą a prawym polem boiska. Brzytwa robi z tego całe widowisko, inscenizując dramatyczne zderzenie mojego biegacza ze swoim obrońcą - wpadają na siebie wślizgiem pomiędzy pierwszą bazą a prawą stroną pola. Łup! Z ust Brzytwy wydobywa się radosny rechot.

- To chyba błąd - zauważam. - Tę piłkę dało się złapać.

- Złapać? Ringer, to przecież tylko durna gra, którą wymyśliłem pięć minut temu, wykorzystując szachy i ćwierćdolarówkę.

Kolejne dwa uderzenia pozwalają mu obstawić następne bazy. Zawsze obrywałam w grach losowych. Nienawidziłam ich z tego powodu. Brzytwa musiał chyba wyczuć mój brak entuzjazmu, bo komentuje coraz intensywniej, przesuwając figury po szachownicy (choć próbuję mu zwrócić uwagę, że to moje figury, skoro to ja jestem w defensywie). Kolejne uderzenie w głąb lewego pola. Lekka piłka posłana nad pierwszą bazą. Następne zderzenie skrzydłowego z obrońcą. Nie mam pojęcia, czy Brzytwa powtarza się dlatego, że wydaje mu się to zabawne, czy po prostu brakuje mu wyobraźni. Gdzieś w głębi narasta we mnie poczucie, że w imieniu wszystkich szachistów na świecie powinnam się na niego obrazić.

Kiedy zaczął trzeci inning, byłam już zupełnie wyczerpana.

- Odłóżmy to do wieczora - proponuję. - Albo do jutra. Tak będzie nawet lepiej.

- Czemu? Nie podoba ci się?

- Nie. Fajna zabawa. Ale naprawdę jestem wykończona.

Wzrusza ramionami, jakby chciał pokazać, że mu nie zależy, ale samo to, że nimi wzruszył, udowadnia, że tak nie jest. Wsuwa monetę do kieszeni i zbiera figury, mamrocąc coś pod nosem. Dociera do mnie jedynie tyle, że marudzi coś o szachach.

- Co powiedziałeś?

- Nic. - Nie patrzy na mnie.

- Mówiłeś coś o szachach.

- Szachy, szachy, szachy. Ciągle te szachy. Przykro mi, że szachowy baseball nie jest aż tak ekscytujący.

Wkłada skrzynkę pod pachę i rusza ku drzwiom, ale nie może się powstrzymać przed pożegnalną uwagą.

- Wydawało mi się, że poprawię ci trochę nastrój. Dzięki. Nie musimy już w to grać.

- Jesteś zły?

- Przecież spróbowałem zagrać z tobą w szachy. Słyszałaś, żebym wtedy marudził?

- Oczywiście. Cały czas.

- Przemyśl to.

- Co mam przemyśleć?

- Po prostu to przemyśl! - krzyczy z drugiego końca pokoju i z hukiem zamyka za sobą drzwi. Jestem kompletnie roztrzęsiona, brakuje mi tchu i zupełnie nie wiem, jaki jest tego powód.

Widząc otwierające się wieczorem drzwi, jestem gotowa do przeprosin. Im bardziej się nad tym zastanawiałam, tym mocniej mój rozgorączkowany umysł utwierdzał się w przekonaniu, że zachowałam się jak łobuz na plaży, niszczący innemu dziecku zamek z piasku.

- Posłuchaj, Brzytwa, ja...

Milknę z otwartymi ustami. Na progu stoi zupełnie obcy dzieciak, dwunasto- lub trzynastolatek, trzymając w ręku tacę.

- Gdzie Brzytwa? - pytam podniesionym głosem.

- Nie wiem - piszczy chłopak. - Dali mi tę tacę i kazali tu przynieść.

- Przynieść - powtarzam bezmyślnie.

- No. Weź ją. Bierz tę tacę.

Brzytwa został odsunięty od służby. Może szachowy baseball był jednak wbrew przepisom. Albo Vosch nie wytrzymał, patrząc przez kilka godzin na dzieci, które zachowywały się jak dzieci. Rozpacz uzależnia zarówno tych, którzy ją przeżywają, jak i tych, którzy obserwują.

A może to Brzytwa nie wytrzymał? Poprosił o przeniesienie, zabrał swój szachowy baseball i wrócił do jednostki?

Nie spałam dobrze tej nocy, o ile to była w ogóle noc, czego nie dało się stwierdzić w jednostajnym blasku sterylnego światła. Gorączka wzrosła do trzydziestu dziewięciu stopni, a mój system immunologiczny przypuścił ostatni desperacki atak na obce układy. Widziałam, jak rozmazane liczby na monitorze krok po kroku stają się coraz wyższe. Zapadłam w wypełniony majakami półsen.

*Ty suko! Zostaw mnie! Wiesz przecież, jak nazywają baseball, prawda? Piłka wpada w głąb lewego pola! Mam dość. Sama się sobą zajmij.*

Przybrudzone srebro migocące pomiędzy palcami Brzytwy. *W głąb pola. W głąb pola.* Moneta opada w zwolnionym tempie na szachownicę, pojawiają się zawodnicy, drugo bazowy i łącznik cofają się na pozycje, lewy zapolowy kieruje się na prawo. Pierwoszobazowy wraca, prawy zapolowy bieg nie w górę, piłka spada.

I tak w kółko, na ciągłej powtórce. Góra, powrót, piłka. Góra, powrót.

Piłka.

Gapię się w sufit szeroko otwartymi oczami, jestem całkowicie rozbudzona. Nie. To nie pomaga. Ponownie opuszczam powieki.

Środek, na lewo i w dół. Potem w poprzek na lewo.

H

Prawy zapolowy w górę. Pierwszobazowy do tyłu.

I

Mówię sobie, że to idiotyczne. Mam jakieś halucynacje.

Kiedy tamtej nocy wróciłam do obozu, niosąc wódkę, znalazłam zwłoki ojca skulone w pozycji embrionalnej, jego twarz ociekała krwią z ran, które sam sobie zadał, próbując za bić robaki zrodzone w jego mózgu. Nazwał mnie suką, zanim poszłam szukać trucizny, która mogła go ocalić. Nazwał mnie również tak jak tę kobietę, która nas zostawiła, gdy miałam trzy lata. Wydawało mu się, że byłam moją matką. Cudowna ironia, zwłaszcza że od czternastego roku życia odgrywałam rolę jego matki, zajmowałam się gotowaniem, praniem i opieką nad domem, uważając jednocześnie, by ojciec nie wyrządził sobie jakiejś krzywdy. A potem szłam w odprasowanym mundurku do szkoły, gdzie wszyscy wołali za mną Jej Wysokość Marika, twierdząc, że się wywyższam, bo mój ojciec jest dość znanym artystą, geniuszem ukrywającym się na odludziu, podczas gdy on przez większość czasu nie miał nawet pojęcia, na jakiej żyje planecie. W domu czekały na mnie tylko jego halucynacje. Pozwalałam wszystkim wierzyć w te złudzenia. Mogli sobie myśleć, że czuję się od nich lepsza, tak samo jak Sullivan mogła sądzić o mnie, co chciała. Nie tylko podtrzymywałam tę iluzję, starałam się do niej dopasować. Trzymałam się jej nawet wtedy, gdy cały świat obrócił się w ruinę. Przestałam dopiero po śmierci ojca. Powiedziałam sobie, że nigdy więcej. Żadnego pozowania na odważną, żadnych fałszywych nadziei, żadnego udawania, że wszystko jest w porządku, kiedy nie jest. Wydawało mi się, że jestem strasznie twarda, kiedy udaję, mówiłam, że to optymizm, odwaga, duma czy inne bzdury, jakie w danym momencie uznawałam za słuszne. To kłamstwo. Byłam mięczakiem z samej definicji. Wstydziłam się choroby ojca i byłam na niego wściekła, ale wina leżała również po mojej stronie. Do samego końca kurczowo trzymałam się kłamstw. Nie próbowałam go poprawić, gdy nazwał mnie imieniem matki.

Złudzenia.

Z rogu pokoju wgapia się we mnie bezduszne oko kamery.

Co mówił Brzytwa? *Po prostu to przemyśl!*

*Ale to nie wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, prawda?* Patrzę w ciemne, nieruchome oko kamery. *To na pewno nie wszystko.*

Kiedy następnego ranka otwierają się drzwi, wstrzymuję oddech.

Przez całą noc miotałam się między wiarą a zwątpieniem próbując zrozumieć wszystkie aspekty nowej rzeczywistości.

Opcja pierwsza: To nie Brzytwa wymyślił szachowy baseball. Gra jest dziełem Voscha, którym kierują jakieś niezrozumiałe dla mnie powody.

Opcja druga: Z nieznanych nikomu prócz niego przyczyn Brzytwa postanowił poważnie namieszać mi w głowie. W końcu nie tylko odporni twardziele zdołali przetrwać wy- mordowanie naszego gatunku. Udało się to również wielu sadystycznym psycholom. To normalne w czasie katastrof. Takie sukinsyny są niemal niezniszczalne.

Opcja trzecia: Wszystko sobie wymyśliłam. Szachowy baseball to zwyczajna głupiutka gra wymyślona przez dzieciaka, który chciał odciągnąć mnie od myślenia o śmierci. To wszystko. Nikt nie próbował mi przekazać żadnych zaszyfrowanych wiadomości. To, że dostrzegłam litery na szachownicy, wynika jedynie z tego, że ludzki mózg ma tendencje do wynajdywania wzorców nawet tam, gdzie ich nie ma.

Wstrzymuję oddech z jeszcze jednego powodu. A jeśli to znowu ten dzieciak z piskliwym głosem? Jeśli Brzytwa już nigdy nie wróci? Istnieje przecież możliwość, że go zabili. Jeśli faktycznie próbował się ze mną porozumieć, a Vosch się w tym zorientował, reakcja mogła być tylko jedna.

Na widok człowieka wchodzącego do pokoju wypuszczam powoli oddech. Monitorujące mnie urządzenie wydaje z siebie coraz szybsze piski.

- Co jest? - Brzytwa spogląda na mnie spod przymrużonych powiek, z miejsca wyczuwając, że coś się dzieje.

Witam go słowem odnalezionym na szachownicy.

- Hi.

Spogląda w prawo, spogląda w lewo.

- Hi - odpowiada powoli, jakby nie był pewien, czy nie oszalałam. - Głodna?

Kręcę głową.

- Niespecjalnie.

- Musisz tego spróbować. Wyglądasz jak moja kuzynka Stacy, która uzależniła się od cracku. To znaczy nie chcę po wiedzieć, że jesteś jak narkomanka, tylko... - Rumieni się. Wyglądasz, jakby cię coś zjadało od środka.

Naciska guzik z boku łóżka. Powoli podnoszę się wraz z oparciem.

- A wiesz, od czego ja jestem uzależniony? - pyta. - Od żelków. Tych kwaśnych, malinowych. Ale za cytrynowymi jakoś nie przepadam. Mam spory zapas, mogę się z tobą podzielić, jeśli chcesz.

Stawia mi tacę pod nosem. Zimna jajecznica, podsmażane ziemniaki, poczerniałe coś, co może być bekonem, ale wcale nie musi. Mój żołądek zwija się w kulkę. Podnoszę wzrok na Brzytwę.

- Skosztuj jajek - proponuje. - Całkiem świeże. Z wolnego chowu, organiczne, bez żadnej chemii. Hodujemy je tutaj. To znaczy kury, nie jajka.

Ciemne, zamyślone oczy i ten delikatny, tajemniczy błogi uśmieszek. Co miała oznaczać jego reakcja na moje powitanie? Zaskoczyłam go tym, że przywitałam się jak człowiek, czy tym, że rozgryzłam tajemnicę szachowego baseballu? A może niczym go nie zaskoczyłam i tylko sobie wyobrażam różne rzeczy?

- Nie przyniosłeś skrzyneczki - zauważam.

- Jakiej skrzyneczki? Ach, to. Nie. Ta gra była głupia. - Odwraca wzrok i mruczy pod nosem: - Tęsknię za baseballem.

Milczy kilka minut, podczas gdy ja grzebię w jajkach na talerzu. *Tęsknię za baseballem.* Trzy słowa, w których zawiera się cały utracony wszechświat.

- Wcale nie. Bardzo mi się podobała - odpowiadam. - To fajna gra.

- Serio? - Mierzy mnie takim spojrzeniem, jakby nie wierzył, że mówię poważnie. Jeszcze nie wie, że jestem poważna przez prawie sto procent czasu. - Nie wyglądałaś na zachwyconą.

- Ostatnio nie czuję się najlepiej.

Parska śmiechem, ale natychmiast milknie zaskoczony własną reakcją.

- W porządku. Zostawiłem szachownicę w swojej kwaterze. Przyniosę ją jeszcze kiedyś, jeśli nikt mi jej nie gwizdnie.

Rozmowa schodzi z tematu gry. Dowiaduję się, że Brzytwa jest najmłodszy z pięciorga rodzeństwa, dorastał w Ann Arbor, gdzie jego tata pracował jako elektryk, a mama była bibliotekarką w gimnazjum.

Uwielbiał baseball i piłkę nożną, kibicował futbolistom z Michigan. Do dwunastego roku życia marzył o tym, by zostać rozgrywającym w drużynie Wolverines, ale urósł wysoki i był szczupły, więc to baseball stał się jego pasją.

- Mama chciała, żebym został lekarzem albo prawnikiem, ale staruszek uznał, że nie mam do tego głowy...

- Moment. Twój ojciec miał cię za głupka?

- Nie, uważał, że jestem niewystarczająco mądry. To różnica. - Bronił ojca nawet po jego śmierci. Ludzie umierają, miłość trwa. - Chciał, żebym został elektrykiem tak jak on. Był ważną szychą w związkach, szefem lokalnego oddziału i takie tam. To właśnie dlatego nie chciał, żebym został prawnikiem. Zawsze mówił na nich „krawaciarze".

- Pewnie miał problem z podporządkowywaniem się.

Brzytwa wzrusza ramionami.

- Ciągle powtarzał, że mam pracować na siebie, a nie na kogoś. - Zaszurał stopami zawstydzony nieco swoim gadułstwem. - A twój tata?

- Artysta.

- Fajnie.

- Oraz pijak. Więcej pił, niż malował.

Choć nie zawsze. W zakurzonych ramach wisiały pożółkłe fotografie z jego wystaw, studenci wciąż gromadzili się w jego pracowni, czyszcząc mu pędzle, a kiedy wchodził do zatłoczonej sali, zapadała pełna szacunku cisza jak w kościele.

- I co? Namalował jakieś ładne gówno? - dopytuje Brzytwa.

- Zwykle właśnie gówno mu z tego wychodziło.

Choć nie zawsze. Nie wtedy, gdy był młody i pozostawiał na mojej maleńkiej dłoni tęczowy odcisk swoich umazanych farbami palców.

Brzytwa parska śmiechem.

- Podobają mi się te twoje żarty. Tak jakbyś nie wiedziała, że to robisz, a to przecież twoje własne dowcipy.

Kręcę głową.

- Wcale nie żartowałam

- Właśnie o tym mówię - odpowiada, kiwając głową.

Po wieczornym posiłku, którego nie zjadłam, wymuszonych pogaduszkach i chwilach niezręcznej ciszy zapadającej pomiędzy słowami Brzytwa wyjmuje szachownicę i rozkłada figury, potem rzucamy monetę, by zdecydować, kto gra pierwszy, jemu przypada zwycięstwo, ja zaś informuję, że poradzę sobie z przesuwaniem własnych pionów. Brzytwa reaguje na to krzywym uśmiechem. *Daj spokój, dziewczyno.* Czując jego ciężar obok siebie na łóżku, po całych tygodniach spędzonych na kontrolowaniu gniewu i akceptowaniu wypełniającej mnie pustki, po latach strawionych na budowaniu wokół siebie potężnych murów, za którymi ukryłam ból, poczucie straty i wiarę w to, że po utracie ojca, Filiżanki i Zombie'ego pozostała we mnie jedynie ta wydrążona pustka i nie jestem już zdolna do żadnych uczuć, wypowiadam bezgłośnie jedno słowo:

- Hi.

Brzytwa kiwa głową.

- Tak. - Postukuje palcem o moje udo przykryte kocem. - Tak - powtarza, stukając raz jeszcze. - Całkiem nieźle, ale lepiej wygląda w zwolnionym tempie - demonstruje. - Teraz już rozumiesz?

- Skoro nalegasz - wzdycham i powtarzam „tak", stukając palcem w ramę łóżka. - Ale szczerze mówiąc, nie widzę w tym sensu.

- Nie? - Dwa stuknięcia palcem o udo.

- Nie. - Podwójne stuknięcie o ramę.

Odkrycie następnego słowa na szachownicy zajmuje mi dwadzieścia minut:

PMCY

Stuknięcie.

- Opowiadałem ci, jak znalazłem pracę na lato, zanim skończyły się wszystkie roboty sezonowe? - pyta. - Strzygłem psy. Wiesz, co było w tym najgorsze? Czyszczenie odbytów...

Idzie jak burza. Cztery bazy obstawione, ani jednego autu.

JAK

Na odpowiedź musiałam poczekać kolejne czterdzieści minut. Jestem zmęczona i sfrustrowana do granic. Czuję się, jakbym wymieniała esemesy z uczestnikiem biegu w workach gdzieś na drugim końcu świata. Czas zwalnia: wydarzenia nabierają rozpędu.

PLN

Zupełnie nie mam pojęcia, co to znaczy. Patrzę na niego, ale Brzytwa nie odrywa wzroku od szachownicy, przesuwa kolejne figury i wciąż ględzi, wypełniając ciszę i pustkę swoją paplaniną.

- Polega to na tym - mówi, ciągnąc opowieść o psach - że trzeba je spłukać, namydlić i przeczyścić. A potem od nowa. Straszna nuda.

Nieruchome, czarne bezduszne oko kamery.

- Chyba się pogubiłam w tej ostatniej rozgrywce - przyznaję.

- Szachowy baseball to skomplikowana gra, nie to co szachy - wyjaśnia cierpliwie. - Mnóstwo w nim zawiłości. Żeby wygrać, musisz mieć jakiś plan.

- Ty pewnie masz. Wyglądasz na człowieka z planem.

- Oczywiście.

Pojedyncze stuknięcie.

Od wielu dni nie widziałam Voscha. Następnego ranka sytuacja ulega zmianie.

- Mów - nakazuje Claire, która stoi obok faceta w białym kitlu.

Kobieta wygląda jak gimnazjalistka przywołana przez dyrektora na dywanik.

- Straciła cztery kilo i dwadzieścia procent masy mięśniowej. Podajemy jej walsartan na obniżenie ciśnienia krwi, prometazynę na mdłości, amoksycylinę i streptomycynę, by wzmocnić układ limfatyczny, ale wciąż nie radzimy sobie z jej gorączką - donosi lekarka.

- Nie radzicie sobie?

Claire odwraca wzrok.

- Są też dobre wiadomości: wątroba i nerki funkcjonują prawidłowo. W płucach zgromadziło się trochę płynu, ale...

Vosch przerywa jej ruchem dłoni i podchodzi do mojego łóżka. Jego ptasie oczy lśnią.

- Chcesz żyć? - pyta.

- Tak - odpowiadam bez wahania.

- Dlaczego?

Z jakiegoś powodu to pytanie kompletnie mnie zaskakuje.

- Nie rozumiem.

- Nie możesz nas pokonać. Nikt nie może. Nie mogliście nawet na samym początku, gdy było was siedem miliardów. Świat jest zegarem, który za chwilę wybije ostatnie sekundy. Po co chcesz żyć?

- Nie zależy mi na ocaleniu świata - wyjaśniam. - Mam jedynie nadzieję, że któregoś dnia będę miała okazję cię zabić.

Nie zmienia wyrazu twarzy, ale światło w jego oczach rozbłyskuje jeszcze mocniej, zaczyna tańczyć. „Znam cię - mówi to spojrzenie. - Znam cię na wylot”.

- Nadzieję - powtarza cicho. - Tak. - Kiwa głową z wyraźnym zadowoleniem. - Nadzieja. Trzymaj się jej, Mariko.

Odwraca się do Claire i faceta w kitlu.

- Odstawcie jej lekarstwa - poleca.

Mężczyzna w fartuchu blednie. Claire chce coś powiedzieć, ale natychmiast milknie. Vosch ponownie odwraca się w moją stronę.

- I jaka jest odpowiedź? - zadaje mi pytanie. - Już wiemy, że nie gniew.

- Obojętność.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Dystans.

- Jeszcze raz.

- Nadzieja. Rozpacz. Miłość. Nienawiść. Wściekłość. Smutek. - Przechodzą mnie dreszcze, gorączka wciąż nie daje za wygraną. - Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

- Tak lepiej - stwierdza.

Tego wieczoru czuję się tak fatalnie, że ledwo wytrzymuję cztery rundy szachowego baseballu.

ODSTLEK

- Krąży plotka, że odstawili ci leki - mówi Brzytwa, potrząsając monetą w zaciśniętej pięści. - Prawda?

- Zostawili mi w kroplówce roztwór soli, żeby nerki nie doznały szoku.

Przygląda się wskaźnikom na monitorze. Marszczy brwi. Przypomina wtedy chłopczyka, który uderzył się w palec i próbuje powstrzymać łzy, bo jest już na to za duży.

- To chyba znaczy, że zaczęło ci się poprawiać.

- Chyba. - Podwójne stuknięcie o ramę łóżka.

- Dobra - sapie. - Patrz teraz na moją królową.

Czuję, jak nagle sztywnieją mi plecy. Wszystko rozmywa mi się przed oczami. Pochylam się i wymiotuję na białe płytki mizerną zawartością żołądka. Brzytwa zrywa się z krzykiem obrzydzenia, wywracając szachownicę.

- Ej! - krzyczy. Ale nie do mnie. Jego wzrok wbija się w kamerę. - Przyślijcie jakąś pomoc.

Nikt nie przychodzi. Brzytwa spogląda na monitor, a potem na mnie.

- Nie wiem, co robić - przyznaje.

- Nic mi nie jest.

- Pewnie. Właśnie widziałem, jak bardzo nic ci nie jest! - Podchodzi do umywalki, zamacza czysty ręcznik i ociera nim moje czoło. - Stuknij się w głowę. Czemu u diabła odstawili ci te leki?

- A czemu nie? - Walczę z pokusą puszczenia kolejnego pawia.

- Sam nie wiem. Może dlatego, że bez nich umrzesz? - Znów wbija wzrok w kamerę.

- Lepiej będzie, jak podasz mi ten pojemnik...

- Który? Ach... - Ociera ręcznikiem resztki z mojej brody i składa go ponownie.

- Brzytwa?

- Tak?

- Weź inny ręcznik, dobra?

- Co? Ach, no tak. Kurczę. Zaczekaj chwilę, OK? - Podchodzi do umywalki i moczy czysty. Jego dłonie drżą. - Wiesz, co to jest? Bo ja wiem. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Dlaczego ty o tym nie pomyślałaś? Leki muszą jakoś wpływać na układ.

- Jaki układ?

- Ten dwunasty. Ten, który w tobie zainstalowali, Sherlocku. Procesor i jego czterdzieści cztery tysiące miniaturowych przyjaciół mających wzmocnić pozostałych jedenaście układów w twoim organizmie. - Dotyka zimnym ręcznikiem mojego czoła. - Jesteś zmarznięta. Przynieść ci jeszcze jeden koc?

- Nie. Umieram z gorąca.

- To wojna - stwierdza, postukując palcem o pierś. - Tutaj. Musisz zawrzeć rozejm, Ringer.

Kręcę głową.

- Żadnych paktów pokojowych.

Ściska pod kocem mój nadgarstek, potakując, a potem kuca na podłodze, by pozbierać rozrzucone figury. Przeklina, nie potrafiąc znaleźć swojej monety, i stwierdza, że nie może pozostawić tak zabrudzonej podłogi. Łapie za brudny ręcznik, którym wcześniej ocierał moje usta, i pada na kolana, by wyszorować kafelki. Wciąż klnie, gdy nagle w otwartych drzwiach pojawia się Claire.

- Lepiej późno niż wcale - warczy na jej widok Brzytwa. - Przynajmniej możesz jej podać jakieś środki przeciwwymiotne.

Claire wskazuje głową w stronę drzwi.

- Wynoś się - mówi, spoglądając na szachownicę. - I zabierz to ze sobą.

Brzytwa odwzajemnia się gniewnym spojrzeniem, ale wykonuje rozkaz. Znów widzę, jak w jego anielskiej twarzy wzbiera ta ukryta siła, czająca się tuż pod powierzchnią. *Ostrożnie, Brzytwa. Gniew nie jest właściwą odpowiedzią.*

Zostajemy same. Claire przez chwilę wpatruje się w milczeniu w ekran monitora.

- Mówiłaś prawdę? - pyta w końcu. - Naprawdę chcesz przeżyć, żeby zabić komendanta Voscha? Wydawało mi się, że jesteś mądrzejsza - dodaje tonem matki strofującej małe dziecko.

- Masz rację - odpowiadam. - Nigdy nie będę miała na to szansy. Ale być może trafi mi się okazja, by wykończyć ciebie.

Wygląda na zaskoczoną.

- Mnie? Dlaczego chciałbyś zabić mnie? - Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, dodaje: - Mam wrażenie, że nie przeżyjesz dzisiejszej nocy.

Kiwam głową.

- A ty nie przetrwasz kolejnego miesiąca.

Wybucha śmiechem. Na ten dźwięk czuję falę mdłości podchodzącą mi do gardła. Jest piekąca. Płonę od środka.

- Co niby zamierzasz zrobić? - pyta łagodnie lekarka, zdejmując ręcznik z mojego czoła. - Chcesz mnie tym udusić?

- Nie. Najpierw rozwalę czymś ciężkim łeb strażnikowi, a potem zabiorę mu broń i strzelę ci prosto w głowę.

Claire nie przestaje się śmiać.

- No cóż. Życzę szczęścia.

- Szczęście nie będzie tu miało znaczenia.

Już o poranku okazało się, jak mocno myliła się Claire, wróżąc mi śmierć.

Liczyłam posiłki, po trzy na jeden dzień i wyszło mi, że przebywam tutaj od miesiąca. I wciąż żyję.

Nie pamiętam zbyt wiele. W którymś momencie odłączyli mnie od aparatury i kroplówki, a cisza, jaka zapadła w pomieszczeniu wypełnionym jak dotąd nieustającym pikaniem, mogła kruszyć skały. Widywałam jedynie Brzytwę. Opiekował się mną przez cały czas. Karmił mnie, opróżniał nocnik, obmywał mi twarz i dłonie, odwracał, żebym nie dostała odleżyn, kiedy byłam wystarczająco przytomna, grał ze mną w szachowy baseball i wciąż gadał. Ględził o wszystkim, czyli tak naprawdę o niczym. Jego zmarli przodkowie, jego nieżyjący przyjaciele, kumple z oddziału, trudy obozowego życia zimą, bójki wybuchające ze zmęczenia, nudy i strachu (głównie z tego ostatniego powodu), plotki o tym, że wiosną zarażeni mają ruszyć do wielkiego ataku, próbując ostatkiem sił uciszyć ludzki hałas, którego Brzytwa był jakże aktywnym elementem. Gadał, gadał i gadał. Miał dziewczynę o imieniu Olivia - miała skórę ciemną niczym rzeczny muł, grała na klarnecie w szkolnej orkiestrze i chciała zostać lekarką, w związku czym nie znosiła ojca Brzytwy, który nie wierzył, że jego syn może się dostać na studia medyczne. Wymsknęło mu się, że ma na imię Alex, a przydomek Brzytwa nadał mu sierżant, nie dlatego że był taki chudy, tylko dlatego że pojawił się kiedyś na ćwiczeniach z twarzą pozacinaną po goleniu. *Mam bardzo delikatną skórę*. Jego zdania obywały się bez kropek czy przecinków, przechodziły jedno w drugie bez podziału na akapity, a mówiąc dokładniej, tworzyły pojedynczy długi akapit pozbawiony jakichkolwiek marginesów.

Zamknął się tylko raz, po prawie miesiącu werbalnej sraczki. Opowiadał właśnie, jak zdobył nagrodę za projekt naukowy na zawodach w piątej klasie, przerabiając ziemniaka w działającą baterię, kiedy nagle umilkł w połowie zdania. Zapadła wibrująca cisza, jak po wybuchu.

- Co to jest? - pyta, wpatrując się intensywnie w moją twarz, a nikt nie potrafi się wpatrywać tak jak Brzytwa. Nawet Vosch.

- Nic - odwracam głowę.

- Płaczesz, Ringer?

- Leci mi z oczu.

- Wcale nie.

- Przestań, Brzytwa. Nie płaczę.

- Ściemniasz. - Pojedyncze stuknięcie w koc.

Podwójne puknięcie w ramę łóżka.

- I co, działał? - Odwracam się ponownie w jego stronę. W końcu czy to ważne, że zobaczy moje łzy? - Ten ziemniak? Bateria?

- Pewnie, że tak. Na tym polega nauka. Nigdy nie możesz w nią powątpiewać. Robisz dokładny plan, realizujesz go krok po kroku, wszystko musi się udać. - Ściska moją dłoń pod kocem. *Nie bój się. Wszystko pod kontrolę. Nie sprawię ci zawodu.*

I tak nie mogłam się już wycofać. Jego wzrok powędrował w stronę tacy leżącej obok łóżka.

- Zjadłaś dzisiaj cały budyń. Wiesz, jak robi się budyń czekoladowy, kiedy nie ma czekolady?

- Niech zgadnę. Movicol?

- Co to?

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie, nie wiem, czym jest jakiś zasrany movicol.

- Środek przeczyszczający o smaku czekoladowym.

Skrzywił się.

- To obrzydliwe.

- O to właśnie chodzi.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Czyżbyś właśnie zażartowała? Serio?

- Skąd miałabym wiedzieć? Obiecaj tylko, że nikt mi tego nie dosypie do budyniu.

- Obiecuję. - Stuknięcie.

Powstrzymuję się przez kilka godzin po jego odejściu, czekam jeszcze długo po zgaśnięciu wszystkich innych świateł w obozie, aż wreszcie w samym środku zimowej nocy parcie staje się nie do wytrzymania, więc zaczynam wrzeszczeć o pomoc, machając rękami do kamery, przyciskając pierś do zimnej metalowej poręczy łóżka i waląc z wściekłą frustracją pięściami w poduszkę, dopóki w pokoju nie pojawi się Claire osłaniana przez wielkiego jak dąb rekruta, który momentalnie zatyka sobie nos.

- Co się stało? - pyta Claire, choć zapach nie pozostawia żadnych wątpliwości.

- Ale gówno - mamroce niewyraźnie żołnierz, zakrywając usta dłonią.

- Właśnie - jęczę.

- Cudownie. Po prostu doskonale - stwierdza Claire, zrzucając ze mnie przykrycia, ściągając prześcieradło na podłogę i przywołując na pomoc rekruta. - Wspaniała robota, panienko. Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumna.

- Jeszcze nie - skamlę.

- Co ty wyprawiasz! - Claire wrzeszczy na żołnierza. Zniknął łagodny głos. Odeszło ciepłe spojrzenie. - Pomóż mi tutaj.

- Ale z czym, pszepani? - Chłopak ma spłaszczony nos, malutkie oczy i wypukłe czoło. Jest olbrzymi, ma nade mną co najmniej pięćdziesiąt kilo przewagi. Solidny brzuch zwisa nad paskiem od parę centymetrów za krótkich spodni.

Bez znaczenia.

- Wstań - z ust Claire wydobywa się wściekły syk. - Rusz się. Podwiń nogi.

Łapie mnie za ramię, rekrut chwyta za drugie i razem zwlekają mnie z łóżka. Umazaną twarz żołnierza wykrzywia obrzydzenie.

- Jezu - jęczy. - To jest wszędzie.

- Raczej nie dojdę o własnych siłach - informuję Claire.

- To będziesz pełzać! - wybucha. - Powinnam cię tak zostawić. To doskonała metafora.

Wyprowadzają mnie i wloką pod prysznic. Żołnierz dławi się, powstrzymując odruch wymiotny, lekarka nie przestaje się wściekać, a ja wciąż przepraszam, gdy zdejmuje ze mnie koszulę i rzuca nią w chłopaka, każąc mu czekać na zewnątrz.

- Tylko nie opieraj się o mnie - warczy. - Oprzyj się o ścianę.

Trzęsą mi się kolana. Muszę trzymać się zasłony, by nie upaść. Od tygodni nie stałam o własnych siłach.

Claire wpycha mnie pod wodę, przytrzymując za lewe ramię i zginając się wpół, żeby nie zmoknąć. Stoję w strumieniu lodowatych kropel. Lekarka nie przejmowała się nastawianiem temperatury. Zimny strumień spływający po moim ciele jest niczym dzwonek, który wybudza mnie z długiej zimowej hibernacji, wyciągam więc ręce ku

górze i łapię się wystającej ze ściany głowicy prysznica, mówiąc Claire, że chyba dam sobie radę, ustoję o własnych siłach i może mnie puścić.

- Jesteś pewna? - pyta, nie cofając ręki.

- Całkowicie.

Ze wszystkich sił szarpię za głowicę. Rura odłamuje się z metalicznym zgrzytem, ze ściany tryska struga lodowatej wody. Wyrywam lewe ramię z uścisku Claire, a potem łapię ją za nadgarstek i skręcając się w biodrach, by zmaksymalizować siłę uderzenia, wbijam w jej szyję poszarpaną krawędź odłamanej głowicy.

Nie byłam pewna, czy złamię metalową rurę gołymi rękami, ale uznałam to za całkiem prawdopodobne.

Zostałam ulepszona.

Claire zatacza się do tyłu, brocząc krwią z pięciocentymetrowej rany. Nie jestem zaskoczona, że wciąż stoi, zakładałam, że też ją ulepszono, ale miałam nadzieję, że dopisze mi szczęście i trafię w tętnicę szyjną. Gmera ręką w kieszeni, próbując wyjąć przekaźnik z wyłącznikiem. To również przewidziałam. Odrzucam głowicę, chwytam za przynitowany drążek podtrzymujący zasłonę, odłamuję go od ściany i walę metalowym prętem w głowę lekarki.

Uderzenie nie robi na niej wrażenia. W ułamku sekundy niezauważalnym ruchem łapie za drugi koniec metalowej rurki. W kolejnym ułamku sekundy wypuszczam broń z ręki, a Claire szarpie ze wszystkich sił i nie napotykając żadnego oporu, uderza tak gwałtownie plecami o ścianę, że na płytkach pojawiają się pęknięcia. Rzucam się na nią. Próbuje uderzyć mnie prętem w głowę, ale to również przewidziałam, liczyłam na to, gdy leżałam tysiące godzin w jednostajnym blasku światła, opracowując ten plan.

Łapię za drugi koniec zbliżającego się drążka, chwytając go najpierw prawą, później lewą dłonią, a potem opieram go szyję Claire, rozstawiając nogi, by zapewnić sobie oparcie i równowagę niezbędne do zmiażdżenia jej tchawicy

Nasze twarze dzieli zaledwie parę centymetrów. Jestem tak blisko, że wyczuwam cyjankowy oddech wydobywający się z jej rozchylonych ust.

Próbuje mnie odepchnąć, a ja nie przestaję dociskać jej do ściany. Podłoga jest śliska - nie mam butów, ona tak. Nadal jest przytomna, za to ja za chwilę stracę całą przewagę. Muszę ją przewrócić - i to już. Wsuwam stopę między jej nogi i kopię z całej siły. Doskonale: Claire osuwa się na podłogę, a ja razem z nią.

Lekarka upada na plecy. Przysiadam na niej, opierając kolana o podłogę, i ponownie miażdżę jej szyję metalowym prętem.

Nagle otwierają się drzwi i za moimi plecami pojawia się potężny, wrzeszczący rekrut z bronią w ręku. Wystarczyły trzy minuty, by blask w oczach Claire zaczął przygasać, ale to wciąż zbyt mało, wiem, że muszę podjąć ryzyko, choć wcale mi się to nie podoba, nigdy tego nie lubiłam, po prostu nauczyłam się z tym żyć. Czasem możesz wybierać, a czasem nie. Sullivan miała swojego żołnierza z krzyżykiem, a ja

Filiżankę oraz Nuggeta i Zombie'ego, po których musiałam wrócić, bo gdybym ich zostawiła, oznaczałoby to koniec wszystkich wartości - życia, czasu i przyrzeczeń.

Musiałam dotrzymać obietnicy.

Pistolet rekruta: dwunasty układ bierze się do pracy, tysiące miniaturowych robotów pędzą na pomoc mięśniom, żyłom i nerwom w moich dłoniach, oczach i mózgu, próbując zneutralizować zagrożenie. W ułamku sekundy identyfikują cel, przetwarzają informację i podejmują decyzję.

Rekrut nie ma żadnych szans.

Atak jest tak szybki, że jego nieulepszony mózg nie jest w stanie się połapać. Wątpię, czy zauważył metalowy pręt, który uderzył go w dłoń. Pistolet przelatuje przez cały pokój. Żołnierz rzuca się w jego stronę, a ja skaczę w drugą - do ubikacji.

Pokrywa zbiornika na wodę jest ciężka - solidna ceramika. Mogłabym go zabić, ale tego nie robię. Uderzam go w głowę na tyle mocno, by się długo nie ocknął.

Olbrzym wali się na podłogę. Claire próbuje wstać. Rzucam pokrywą w jej głowę. Próbuje zablokować pocisk uniesioną ręką. Mój wyostrzony słuch wyłapuje trzask łamanej kości. Srebrzysty przekaźnik upada z trzaskiem na podłogę. Nurkuje w jego stronę, więc przydeptuję jej dłoń i kopię drugą nogą w nadajnik, posyłając go w przeciwny kąt łazienki.

Załatwione.

Claire zdaje sobie z tego sprawę. Spogląda ponad lufę wycelowanego w swoją głowę pistoletu, ponad niewielką dziurkę wypełnioną nicością, i patrzy mi prosto w oczy. Jej wzrok znów jest ciepły, a w głosie tej suki ponownie pojawia się łagodność.

- Mariko...

Nie. Marika była powolna, słaba, czułostkowa i przygłupia. Mała dziewczynka zaciskająca dłoń na tęczowych palcach, przyglądająca się bezsilnie upływowi czasu, uczepiona ostrza brzytwy ponad bezdenną otchłanią, wyprowadzona poza mury swej twierdzy, bo złożyła obietnicę, której nie mogła dotrzymać. Spełnię jednak tę obietnicę, jaką złożyła Claire potworowi, który rozebrał ją do naga i ochrzcił lodowatą wodą wciąż tryskającą ze złamanego prysznica. Dotrzymam obietnicy Mariki. Mimo że Marika nie żyje.

- Nazywam się Ringer.
Pociągam za spust.

Żołnierz powinien mieć przy sobie jakiś nóż. To standardowe wyposażenie. Klękam przy nim i wyciągam broń z pochwy, a potem delikatnie wycinam nadajnik zainstalowany u podstawy jego czaszki. Wkładam go sobie pod policzek.

Czas pozbyć się mojego. Nacinając skórę, nie odczuwam żadnego bólu, a z rany wypływa jedynie odrobina krwi. Roboty dbają o wszystko: zagłuszają odczucia, naprawiają uszkodzenia. To dlatego Claire wciąż trzymała się na nogach, gdy wbiłam metal w jej szyję, i bardzo szybko przestała krwawić. A ja dzięki nim po sześciu tygodniach spędzonych ciurkiem w łóżku, bez jedzenia i po sporym wysiłku, byłam w całkiem niezłej formie. Nawet się nie zadyszałam.

Wpycham drobinkę nadajnika w kark żołnierza. Namierz mnie teraz, komendancie.

Czysty kombinezon z szafki pod umywalką. Buty: Claire ma zbyt małe stopy, a rekrut zbyt duże. Później coś wymyślę. Ale kurtka wielkoluda może się przydać. Zwisa ze mnie jak namiot, ale podoba mi się, że mam dużo miejsca w rękawach.

O czymś zapomniałam. Rozglądam się po pokoiku, Nadajnik z wyłącznikiem. Ekranik popękał w czasie walki, ale urządzenie wciąż działa. Nad zielonym przyciskiem wyświetla się numer. Mój numer. Przesuwam palcem po wyświetlaczu, a przed moimi oczami pojawiają się setki liczb, każda z nich reprezentuje jakiegoś rekruta. Przewijam ponownie, wracając do swojego numeru, naciskam i wyświetlam mapę pokazującą dokładne położenie mojego implantu. Zmniejszam skalę i ekran wypełnia się zielonymi kropeczkami - implantami wszystkich żołnierzy obecnych w bazie. Bingo.

I szach-mat. Wystarczy, że przesunę palcem i nacisnę, podświetlając kolejny numer, by guzik na dole urządzenia rozjarzył się światłem. Jeszcze jedno naciśnięcie i pozbywam się każdego rekruta. Mogę stąd wyjść spacerkiem.

Mogę - jeśli chcę pozostawić za sobą kilkaset trupów niewinnych dzieciaków będących takimi samymi ofiarami jak ja, która zgrzeszyłam nadzieją. Jeśli zapłatą za grzech jest śmierć, cnota przeradza się w występek: bezbronne wygłodzone dziecko znalezione wśród pszenicy zostaje otoczone opieką. Ranny żołnierz łka o pomoc, ukrywając się za

rzędami lodówek. Przypadkowo postrzelona dziewczynka trafia w ręce wrogów, którzy mogą ocalić jej życie.

Nie wiem, co jest bardziej nieludzkie: obce istoty, które stworzyły ten nowy świat, czy istoty ludzkie zdolne choćby tylko w myślach do naciśnięcia zielonego guzika.

Po prawej stronie ekranu znajdują się trzy duże skupiska nieruchomych kropek: sypialnie. Na obrzeżach ekranu wyświetla się ich jakiś tuzin: posterunki. Dwie w samym środku: mój nadajnik w karku żołnierza i jego w moich ustach. Na tym samym piętrze, bardzo blisko nas, jeszcze trzy lub cztery kropki: chorzy i ranni. Piętro niżej, na oddziale intensywnej opieki, jarzy się tylko jeden zielony punkcik. Baraki, wartownie, szpital. Para strażników w magazynie. Nie muszę zgadywać, kim są. Dowiem się za kilka minut.

*Rusz się, Brzytwa. Muszę dotrzymać ostatniej obietnicy.*

Wpatruję się w strugę wody tryskającą ze złamanej rury.

- Modlisz się czasem? - zapytał mnie Brzytwa pewnego dnia, gdy pozbierał już figury po kolejnej partii szachowego baseballu.

Pokręciłam głową.

- A ty?

- Pewnie, że tak. W okopach nie ma ateistów.

- Mój ojciec był.

- W okopach?

- Nie. Ateistą.

- Przecież wiem.

- Skąd wiedziałeś, że mój ojciec był ateistą?

- Nie wiedziałem.

- To dlaczego pytasz, czy był w okopach?

- Nie wiem. Odbija mi. - Uśmiechnął się. - Już wiem. Rozumiem, jak to robisz. Ale nadal nie wiem po co. Tak jakbyś wcale nie próbowała być zabawna, tylko chciała udowodnić, że jesteś lepsza niż inni. Albo tak przynajmniej o sobie myślisz. A to nieprawda. Nie jesteś ani zabawna, ani lepsza. Dlaczego się nie modlisz?

- Nie lubię przyzywać imienia Boga nadaremno.

Brzytwa przyglądał się uważnie trzymanej w ręku królowej.

- Obejrzałaś ją kiedyś dokładniej? Wygląda na naprawdę przerażającą sukę.

- Moim zdaniem wygląda królewsko.

- Kojarzy mi się z nauczycielką z trzeciej klasy. Straszny babochłop.

- Co?

- No wiesz, duża zawartość chłopa w babie.

- Ona jest niezłomna. Prawdziwa królowa wojowniczka.

- Moja nauczycielka? - Przyjrzał się uważnie mojej twarzy. Czekał. Czekał. - Przepraszam, już raz spaliłem ten żart. - Odłożył figurkę do pudełka. - Moja babcia należała do kółka różańcowego. Wiesz, co to takiego?

- Tak.

- Serio? A myślałem, że jesteś ateistką.

- To mój ojciec był ateistą. Zresztą czemu ateista nie miałby wiedzieć, czym jest kółko różańcowe? Wierzący chyba wiedzą, co to ewolucja?

- Wiem, co to ewolucja - odpowiedział, kierując na mnie zamyślone spojrzenie ciemnych oczu. - Zgaduję, że jak miałaś pięć czy sześć lat, to ktoś z krewnych zachwycił się tym, że jesteś taką „poważną dziewczynką", i od tego czasu wmawiasz sobie, że powaga jest atrakcyjna.

- I co się robi na takim kółku różańcowym? - zapytałam, próbując wrócić do tematu.

- Ha! Czyli jednak nie wiesz, co to takiego! - Odłożył skrzyneczkę i podkulił nogi, siadając na łóżku. Jego pośladki oparły się o moje kolano. Dyskretnie, a przynajmniej taką miałam nadzieję, przesunęłam nogę nieco dalej. - Zaraz ci powiem, co się stało. Babcia miała pieska, który zachorował. Wiesz, jeden z tych kieszonkowych kundelków, które gryzą każdego i żyją ćwierć wieku, atakując, kogo się tylko da. Babcia modliła się więc, prosząc Boga, żeby pozwolił jej pieskowi nadal gryźć ludzi. Połowa pań z jej kółka różańcowego dołączyła do modlitwy, druga połowa była przeciwna, choć w sumie nie wiem czemu, bo co to za Bóg, co nie lubi piesków, zresztą nieistotne, istotne jest to, że rozpoczęła się burzliwa kłótnia o zmarnowaną modlitwę, która przerodziła się w dyskusję o tym, czy w ogóle można „zmarnować" modlitwę, a potem gładko przeszły do kłócenia się o Holocaust. Wystarczyło pięć minut, żeby dojść od jazgotliwej psinki do ludobójstwa.

- Co było dalej? Pomodliły się w końcu za psa?

- Nie, modliły się za ofiary Holocaustu. A pies zdechł następnego dnia. - Brzytwa znów pokiwał głową z namysłem. - Babcia modliła się za niego co wieczór. Prosiła również wszystkie wnuczęta, by się za niego pomodliły. Tak więc musiałem błagać Boga o litość dla małego bydlaka, który wciąż mnie terroryzował i straszył, a na dodatek zostawił mi to. - Wyciągnął nogę na łóżku i podwinął nogawkę, odsłaniając łydkę. - Widzisz tę bliznę?

- Nie. - Potrząsnęłam głową.

- Ale ja wiem, że tam jest. - Opuścił nogawkę, ale nie zmienił pozycji. - Po wszystkim poszedłem do babci powiedzieć jej, że

modliłem się za Puszka, a on i tak zdechł, i zapytać, czy to oznacza, że Bóg mnie nienawidzi.

- I co odpowiedziała?

- Jakieś bzdury, że Bóg czeka na Puszka w niebie, czego mój sześcioletni mózg w ogóle nie był w stanie ogarnąć. To małe gryzące bydlę w niebie? Czy to aby nie miało być przyjemne miejsce? Długo nie dawało mi to spokoju, za każdym razem gdy odmawiałem wieczorem paciorek, zastanawiałem się nad tym, czy faktycznie chcę pójść do nieba i spędzić całą wieczność razem z Puszkiem. Wreszcie uznałem, że pies na pewno trafił do piekła. Inaczej cała teologia nie miałby sensu.

Wpatrywał się w przestrzeń, opierając brodę na uniesionym kolanie, które oplótł długimi ramionami. Wrócił do czasów, kiedy dziecięce pytania o Boga, modlitwę i niebo wciąż miały jakieś znaczenie.

- Kiedyś potłukłem filiżankę - mówił dalej. - Bawiłem się rzeczami z szafki, gdzie mama trzymała swój ślubny serwis, a to była taka mała filiżaneczka z kompletu. Nawet się nie rozbiła, spadła na podłogę i popękała.

- Podłoga?

- Nie, oczywiście, że nie podłoga. Filiż... - Spojrzał na mnie zaskoczony. - Czy ty znowu zaża...

Potrząsnęłam głową. Nie dał się zwieść, wskazując na mnie palcem.

- Mam cię! Wojownicza królowa Ringer przyłapana na żarciku!

- Przecież ciągle żartuję.

- Oczywiście. Tyle że to żarty dla jajogłowych.

- Filiżanka - przypomniałam.

- No tak. Bezcenna porcelana, która przeze mnie popękała. Wstawiłem filiżankę z powrotem do szafki, ustawiając ją tak, żeby nie było widać pęknięcia. Liczyłem na to, że mama nie zauważy, choć wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, nim się zorientuje i złoi mi skórę. Wiesz, do kogo zwróciłem się wtedy o pomoc?

Nawet nie musiałam się nad tym zastanawiać, od początku wiedziałam, dokąd zmierza ta historia.

- Do Boga?

- Do Boga - potwierdził. - Modliłem się, żeby trzymał mamę z dala od tej szafki. Najlepiej do końca jej życia. Albo przynajmniej do czasu,

aż wyjadę na studia. Potem się modliłem, żeby uleczył tę filiżankę. W końcu był Bogiem, skoro dawał sobie radę z uzdrawianiem ludzi, co to dla niego taki kawałek porcelany. To było optymalne rozwiązanie, a takich wtedy wszyscy szukaliśmy.

- Mama znalazła filiżankę?

- Oczywiście, że tak.

- Jestem zdziwiona, że wciąż się modlisz. Po tym wszystkim, co mi powiedziałeś o Puszku i filiżance.

Brzytwa pokręcił głową.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Dowiesz się, jak dasz mi skończyć tę historię. Oto co się stało: mama odkryła pękniętą porcelanę, ale zanim ja się o tym dowiedziałem, zdążyła ją podmienić. Zamówiła nową filiżankę, a starą wyrzuciła. I tak pewnego sobotniego poranka, po całym miesiącu modlenia się, zajrzałem do szafki, by sprawdzić, czy panie z kółka różańcowego miały rację co do zmarnowanych modlitw, i wtedy to zobaczyłem.

- Nową filiżankę.

Brzytwa pokiwał głową.

- Ale nie wiedziałeś, że to twoja mama ją tam wstawiła.

- To był pieprzony cud! - Chłopak wyrzucił obie ręce w górę. - Co było spękane, zostało naprawione. Co roztrzaskane, na nowo stało się jednością. Bóg istnieje! Omal się nie posrałem ze szczęścia.

- Filiżanka została uzdrowiona - wymówiłam powoli każde słowo.

Wbił we mnie spojrzenie ciemnych oczu. Poczułam, że delikatnie ściska dłonią moje kolano. Pojedyncze stuknięcie.

- Tak.

Struga wody pod prysznicem zmienia się w strumyczek, strumyczek przekształca się w strużkę, strużka wysycha, pozostawiając za sobą anemicznie kapiące krople. Ciecz płynie coraz wolniej, moje serce bije coraz szybciej. Ogarnia mnie narastająca paranoja. Czekam całą dekadę, nim wyciek zupełnie ustanie, tak jak umówiłam się z Brzytwą.

Korytarz jest zupełnie pusty. Wiem to dzięki urządzeniu odebranemu Claire. Wiem też dokładnie, dokąd zmierzam.

Schody. Jedna kondygnacja w dół. Ostatnia obietnica. Przystaję na moment na półpiętrze, by wepchnąć odebrany rekrutowi pistolet do kieszeni kurtki.

Walę barkiem w drzwi i pędzę przez kolejny korytarz. Zmierzam prosto do gabinetu pielęgniarskiego. Siedząca tam kobieta w białym fartuchu zrywa się z krzesła.

- Kryj się! - krzyczę. - To za chwilę wybuchnie!

Mijam jej biurko i gnam w stronę wahadłowych drzwi prowadzących na oddział.

- Hej! - woła za mną. - Nie możesz tam wchodzić!

*Możemy ruszać w każdej chwili, Brzytwa.*

Pielęgniarka naciska guzik blokujący drzwi. Bez znaczenia. Wbijam się w nie z całej siły i wyłamuję je z zawiasów.

- Stój! - wrzeszczy.

Mam przed sobą jeszcze cały korytarz - nie zdążę. Zostałam ulepszona, ale nie jestem szybsza od kuli. Hamuję.

*Brzytwa, przydałaby mi się pomoc, serio. Najlepiej teraz.*

- Ręce do góry. Natychmiast! - Pielęgniarka z trudem łapie oddech. - Dobrze. Teraz podejdź do mnie. Tyłem. Powoli. Jeszcze wolniej albo przysięgam, że cię zastrzelę.

Jestem posłuszna i szuram tyłem w kierunku jej głosu. Nakazuje mi się zatrzymać. Stoję. Jestem zupełnie spokojna, ale układy w moim organizmie pracują pełną parą. Nie muszę widzieć pielęgniarki, żeby wiedzieć, gdzie stoi. Nie ruszyła się z miejsca. Procesor kieruje układy do moich mięśni i nerwów, by przygotowały się do wykonania komendy. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, nie będę się musiała nad niczym zastanawiać. Procesor przejmie dowodzenie.

Ale przecież nie wszystko zawdzięczałam dwunastemu układowi: zabranie rekrutowi kurtki było moim własnym pomysłem. I o czymś mi przypomniało.

- Buty - mamroczę pod nosem.

- Co? - głos pielęgniarki drży.

- Potrzebuję butów. Jaki masz rozmiar?

- Hm?

Procesor wysyła sygnał, który mknie z prędkością światła. Moje ciało nie reaguje aż tak szybko, ale i tak poruszam się dwa razy szybciej, niż to potrzebne.

Prawa ręka wsuwa się w zbyt szeroki rękaw żołnierskiej kurtki, gdzie ukryłam dwudziestopięciocentymetrowy nóż. Obrót na pięcie, rzut.

I po wszystkim.

Wyciągam zakrwawione ostrze z jej szyi i wkładam z powrotem do lewego rękawa, a potem sprawdzam buty martwej kobiety. Białe pielęgniarskie obuwie na grubej podeszwie. Pół numeru za duże, ale mogą być.

Docieram do końca korytarza i wchodzę w ostatnie drzwi po prawej. Jest ciemno, jednak mój wzrok też został ulepszony: widzę ją na łóżku pogrążoną w głębokim śnie. Albo w narkozie. Będę musiała to ustalić.

- Filiżanka? To ja, Ringer.

Trzepotanie gęstych, czarnych rzęs. Jestem tak nakręcona, że mogłabym przysiąc, że usłyszałam wywołany przez nie szum powietrza.

Dziewczynka szepce, nie otwierając oczu. Robi to zbyt cicho, by ludzkie ucho mogło cokolwiek zarejestrować, ale układy wzmacniające słuch momentalnie przekazują informację do procesora, a ten przesyła ją do kory słuchowej w moim mózgu.

- Nie żyjesz.

*Znowu żyję. I ty też.*

Okno nad łóżkiem zaczyna drżeć w ramach. Podłoga wibruje. Pokój zalewa jasnopomarańczowy blask, który chwilę później gaśnie, moje uszy rozdziera potężny huk, a z sufitu odpada solidny kawał tynku. Później cała sekwencja się powtarza. I jeszcze raz. I jeszcze.

Brzytwa dotarł do magazynu.

- Musimy się zwijać, Filiżanko. - Obejmuję ją jedną ręką i sadzam na łóżku.

- Dokąd?

- Jak najdalej stąd.

Podtrzymując jej głowę jedną dłonią, drugą uderzam ją w środek czoła. Nie za mocno, nie za słabo, idealnie wymierzony cios. Dziewczynka traci przytomność. Podnoszę ją z łóżka.

Od strony magazynu słychać kolejne eksplozje. Kopię w okno, do sali wpada podmuch lodowatego powietrza. Siadam na parapecie twarzą do łóżka, przyciskając Filiżankę do piersi. Procesor przechodzi w stan najwyższej gotowości: jestem dwa piętra nad ziemią. Kości i żyły w moich stopach, kostkach, piszczelach, kolanach i miednicy zostają wzmocnione mechanicznymi posiłkami.

Spadamy.

W locie obracam się jak kot, który spada ze stołu. I jak kot ląduję bezpiecznie, jeśli nie liczyć uderzenia głową Filiżanki o podbródek. Przed sobą mamy szpital, za plecami płonący magazyn amunicji. A po prawej, dokładnie tak jak zapowiadał Brzytwa, stoi czarny samochód, dodge m882.

Otwieram szerzej drzwi, wpycham Filiżankę na fotel pasażera, wskakuję za kierownicę i ruszam przez parking, skręcając gwałtownie w lewo, by wjechać na drogę prowadzącą w kierunku lotniska. Syreny wyją, rozbłyskują potężne reflektory. Obserwuję w lusterku wstecznym, jak pod budynkiem magazynu zatrzymują się kolejne pojazdy ratunkowe. Strażacy będą się musieli nieźle napocić, zwłaszcza że ktoś wyłączył pompę.

Kolejny ostry zakręt w lewo i prosto w stronę potężnych helikopterów lśniących w ostrym blasku reflektorów niczym czarne żuki. Biorę głęboki oddech i zaciskam dłonie na kierownicy. To

najtrudniejsza część. Jeśli Brzytwa nie zdołał uprowadzić pilota, to mamy przewalone.

Około sto metrów ode mnie z jednego z helikopterów wyskakuje jakaś postać. Ma na sobie grubą kurtkę i niesie karabin. Twarz częściowo ocieniona kapturem, ale ten uśmiech potrafiłabym rozpoznać z kilometra.

Wyskakuję z samochodu.

- Cześć - mówi Brzytwa.

- Gdzie pilot? - pytam.

Chłopak wskazuje głową w stronę kabiny.

- Wszystko załatwione. A ty?

Wyciągam Filiżankę z auta i wskakuję do helikoptera. Za sterami siedzi jakiś chłopak ubrany jedynie w zielony pod koszulek i bokserki w tym samym kolorze. Brzytwa zajmuje miejsce drugiego pilota.

- Odpalaj, poruczniku! - Uśmiecha się do niego. - Och, gdzie moje dobre maniery! Ringer, to porucznik Bob. Poruczniku Bobie, poznaj Ringer.

- To się nie uda - stwierdza Bob. - Nie odpuszczą nam.

- Tak? Co to takiego? - Brzytwa podnosi skłębioną plątaninę przewodów.

Pilot kręci głową. Z zimna zsiniały mu usta.

- Nie wiem.

- Ja też nie, ale podejrzewam, że może być niezbędne do prawidłowego funkcjonowania helikoptera.

- Nie rozumiesz.

Brzytwa pochyla się w stronę Boba, a z jego twarzy znika rozbawienie. Wbija w niego rozognione spojrzenie ciemnych oczu i choć cały czas czułam drzemiącą w nim wściekłość, podskakuję z zaskoczenia, gdy w końcu gwałtownie wybucha.

- Posłuchaj mnie, pieprzony sługusie ufolów, albo zaraz uruchomisz tę maszynę, albo...

Bob krzyżuje ręce na brzuchu i patrzy prosto przed siebie. Wiedziałam, że zmuszenie pilota do współpracy będzie drugim najtrudniejszym elementem planu, gdy już uda nam się przekraść do helikoptera. Pochylam się do przodu, łapię porucznika za nadgarstek i odginam do tyłu jego mały palec.

- Złamię go - obiecuję.

- Dawaj.

Spełniam obietnicę. Chłopak zaciska zęby na dolnej wardze. Drżą mu nogi. W oczach pojawiają się łzy. To nie powinno tak wyglądać. Przesuwam palcami po jego karku i odwracam się do Brzytwy.

- On nie jest zarażony. On jest ulepszony.

- A kim wy jesteście? - piskliwie pyta Bob.

Wyjmuję z kieszeni nadajnik i spoglądam na ekran. Wokół magazynu i szpitala kręcą się dziesiątki zielonych kropek. Trzy z nich są na lotnisku.

- Wyciąłeś swój nadajnik? - pytam Brzytwę.

Kiwa głową.

- Schowałem go pod poduszką zgodnie z planem. Albo nie? Kurde, Ringer, jaki był właściwie plan? - W jego głosie pojawia się lekka panika.

Sięgam po nóż.

- Przytrzymaj go.

Brzytwa zrozumiał w mgnieniu oka. Unieruchomił głowę porucznika w uścisku swoich ramion. Bob nie stawiał zbyt wielkiego oporu. Zastanawiałam się, czy nie jest w szoku. Jeśli tak było, mieliśmy przewalone.

W kabinie panuje półmrok, Brzytwa ma problemy z utrzymaniem głowy porucznika w jednej pozycji, więc mówię Bobowi, żeby się uspokoił, bo mogę mu przypadkiem przeciąć rdzeń kręgowy i całkowicie go sparaliżować. Wydłubuję nadajnik, rzucam go na podłogę, przyciągam do siebie głowę Boba i szepcę mu do ucha:

- Nie jestem wrogiem. Jestem taka jak ty.

- Tylko lepsza - dodaje Brzytwa i spogląda przez okno. – O kurde, Ringer...

Też ich widzę. Blask reflektorów narasta jak rozbłysk podwójnej supernowej.

- Zaraz tu będą i nas zabiją - informuję Boba. - Ciebie też. Nie uwierzą ci, potraktują cię jak jednego z nas.

Chłopak patrzy w moją twarz, po jego policzkach ciekną łzy bólu.

- Musisz mi zaufać. Proszę.

- Albo ona złamie ci kolejny palec - dorzuca Brzytwa.

Roztrzęsiony pilot bierze głęboki oddech, podtrzymując

drugą ręką zranioną dłoń, po jego karku cieknie krew wsiąkająca w koszulkę.

- Nie mamy szans - mówi cicho. - Zestrzelą nas.

Kierowana nagłym impulsem dotykam dłonią jego policzka. Bob nieruchomieje. Nie wiem, dlaczego to robię ani co się dzieje, ale czuję, jak w moim wnętrzu coś się otwiera jak kwiatowy pączek wystawiony na słońce. Zamarzam, a mój kark płonie żywym ogniem. Mały palec mojej prawej dłoni pulsuje w rytm bicia mego serca. Płaczę z bólu. Jego bólu.

- Ringer! Co ty, u diabła, robisz? - warczy Brzytwa.

Mój dotyk wlewa ciepło w porucznika Boba. Zalewam go ogniem, który koi strach. Jego oddech wraca do normy. Mięśnie się rozluźniają.

- Bob, naprawdę musimy już lecieć - mówię.

Dwie minuty później jesteśmy już w powietrzu.

Przelatujemy nad zatrzymującą się z piskiem opon furgonetką, wyskakuje z niej wysoki mężczyzna, jego twarz tonie w głębokim mroku, ale mój ulepszony wzrok dostrzega jasne i twarde spojrzenie ptasich oczu, mogłyby należeć do kruka, gdyby nie były błękitne, oraz błąkający się po jego wargach delikatny, zacięty uśmiech, który mógł być również grą cieni.

Odwracam się do Boba.

- Leć nisko.

- Dokąd?

- Na południe.

Helikopter wpada w przechył, ziemia pędzi w naszą stronę. Widzę płonący magazyn, migocące koguty wozów straży i tłumy rekrutów rojących się wokół jak mrówki. Przelatujemy nad rzeką, czarna toń połyskuje odbitym światłem obozowych reflektorów. Obóz wygląda jak oaza światła na pustyni zimowego mroku. Zostawiamy go za sobą, znikając w ciemnościach ponad wierzchołkami drzew.

Siadam na fotelu obok Filiżanki, opieram sobie jej głowę o pierś i odgarniam włosy z karku. Mam nadzieję, że robię to po raz ostatni. Po wszystkim miażdżę implant rękojeścią noża.

- Co z nią? - głos Brzytwy skrzeczy w moich słuchawkach.

- Chyba OK.

- A ty?

- W porządku.

- Jakieś obrażenia?

- Niewielkie. A ty?

- Gładki jak pupcia noworodka.

Układam ponownie Filiżankę w fotelu, a potem wstaję i przeszukuję szafki, rozglądając się za spadochronami. Sprawdzam je uważnie, a Brzytwa nie przestaje nawijać.

- Chciałabyś mi może coś powiedzieć? Nie wiem, może coś w stylu: „dzięki, Brzytwa, że ocaliłeś mój zadek od obcej niewoli, choć zmiażdżyłam ci krtań i zachowywałam się jak kretynka”? Przychodzi ci coś do głowy? Bo wiesz, to nie był spokojny spacer po czterech bazach, musiałem wymyślić głupią grę, żeby przekazać ci wiadomości, dosypać środka przeczyszczającego do budyniu, rozłożyć ładunki wybuchowe,

gwizdnąć samochód i porwać pilota, żebyś miała komu połamać palce. Więc może: „Kurde, Brzytwa, bez ciebie nie dałabym rady. Rządzisz” albo coś w tym stylu? Nie musi być dosłownie, chodzi mi o ogólnego ducha.

- Czemu? - zapytałam. - Dlaczego mi zaufałeś?

- Pamiętasz, jak mówiłaś wtedy o tych dzieciach, z których robią bomby? Popytałem trochę i zanim się zdążyłem zorientować, wylądowałem na krzesełku w Krainie Czarów, a potem zawlekli mnie do komendanta, który wsiadł na mnie o coś, co do mnie powiedziałaś, i zakazał mi się do ciebie odzywać, no bo przecież nie mógł zabronić mi słuchać, i im dłużej o tym wszystkim myślałem, tym mocniej mi to śmierdziało. Przygotowują nas do zabijania zarażonych, a potem sami pakują obcą technologię w te szkraby? To kto tu stoi po stronie dobra? I co ja tu właściwie robię? Miałem naprawdę mocny kryzys. Ale tym, co mnie ostatecznie przekonało, była matma.

- Matma?

- No. Co taka zdziwiona? Przecież wy, Azjaci, jesteście dobrzy w matmie.

- Daruj sobie te rasistowskie uwagi. Jestem tylko w trzech czwartych Azjatką.

- „Trzy czwarte”. Widzisz? Matma. Wszystko dało się sprowadzić do prostego dodawania, ale nic mi się w nim nie chciało zsumować. W porządku, mogliśmy mieć szczęście i przejąć z ich rąk Krainę Czarów. Nawet najmądrzejsze istoty w kosmosie mogą coś zawalić, nikt nie jest idealny. Ale okazuje się, że zwinęliśmy im nie tylko Krainę Czarów. Mamy ich bomby, mamy ich zabójcze nadajniki i przekaźniki, wykradliśmy superskomplikowane układy, kurde, mamy nawet technologię, która pozwala ich wykrywać! O co chodzi, kurde? Mamy więcej ich sprzętu niż oni sami. Ale naprawdę mnie ruszyło po tym, co powiedział Vosch tego dnia, jak wstrzyknęli ci roboty, że to, co mówili o obcych istotach pasożytujących na ludzkich mózgach, było kłamstwem. Niewiarygodne!

- Bo jeśli to było kłamstwem...

- To wszystko inne też.

Pod nami rozciągała się ziemia okryta kołdrą bieli. Horyzont niknął w całkowitych ciemnościach. *Wszystko jest kłamstwem.* Przypominam

sobie martwego ojca mówiącego, że od teraz należę do nich. Instynktownie ściskam dłoń Filiżanki: prawda.

W słuchawkach rozlega się głos pilota:

- Pogubiłem się.

- Uspokój się, Bob - odpowiada Brzytwa. - A tak właściwie dlaczego każdy oficer nazywa się Bob? W obozie Przystań mieliśmy takiego majora.

Rozlega się alarm. Puszczam dłoń Filiżanki i przechodzę do kabiny.

- Co się dzieje?

- Mamy towarzystwo - informuje mnie Bob. - Na szóstej.

- Helikoptery?

- Nie. F-15. Trzy maszyny.

- Kiedy będziemy w ich zasięgu?

Bob kręci głową. Mimo zimna jego twarz lśni od potu.

- Pięć do siedmiu.

- Do góry - wydaję rozkaz. - Wchodzimy na najwyższy pułap.

Zgarniam oba spadochrony i rzucam jeden z nich Brzytwie.

- Skaczemy? - pyta.

- Nie możemy walczyć i nie damy rady uciec. Skaczesz razem z Filiżanką.

- Ja? A ty?

Bob wbija wzrok w plecak w moim ręku.

- Nie skaczę - mówi i powtarza to raz jeszcze na wypadek, gdybym nie zrozumiała: - Nie skaczę.

Żaden plan nie jest doskonały. Zakładałam, że Bob będzie uciszaczem, którego będziemy musieli się pozbyć przed opuszczeniem helikoptera. Sprawa się skomplikowała. Nie chciałam go zabijać z tego samego powodu, dla którego oszczędziłam rosłego rekruta osłaniającego Claire. Tu jeden zabity żołnierz, tam drugi i już wkrótce nie różniłabym się niczym od tych, którzy wpychali naszym dzieciom bomby do gardeł.

Wzruszam ramionami, żeby ukryć niepewność. Rzucam spadochron na jego kolana.

- W takim razie umrzesz w płomieniach.

Jesteśmy na wysokości tysiąca pięciuset metrów. Czarne niebo, czarna ziemia, niewidoczny horyzont, wszystko tonie w mroku. Dno najciemniejszej otchłani. Brzytwa wbija wzrok w ekran radaru.

- Gdzie twój spadochron, Ringer? - pyta.

- Udaję, że nie słyszę.

- Powiesz mi, jak będą sześćdziesiąt sekund od nas? - zwracam się do Boba. Pilot kiwa głową. Brzytwa powtarza swoje pytanie.

- Wszystko sprowadza się do matmy - odpowiadam. - A ja w trzech czwartych jestem w tym naprawdę niezła. Jeśli jest nas czwórka, a zauważą dwa spadochrony, będą wiedzieć, że ktoś został w helikopterze. Jeden lub dwa samoloty polecą za nim, aż w końcu go zestrzelą. To da nam trochę czasu.

- Skąd wiesz, że polecą za helikopterem?

- Bo wiem. - Wzruszam ramionami.

- Nadal nie wiem, gdzie twój spadochron.

- Namierzają nas - wtrąca się Bob. - Każą nam lądować.

- Powiedz im, żeby się wypchali - odpowiada Brzytwa, wrzucając do ust gumę do żucia. Łapie za słuchawki. - Paskudny dźwięk - stwierdza i wypluwa gumę do papierka, by wsunąć ją z powrotem do kieszeni. Uśmiecha się, zauważając, że na niego patrzę. - Nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi na to, co się walało po ziemi, aż w końcu zniknęli wszyscy, którzy mogli to posprzątać - wyjaśnia. - Dbanie o Ziemię to teraz mój obowiązek.

- Sześćdziesiąt sekund - wrzeszczy nagle Bob.

Szarpię Brzytwę za kurtkę. Już. Chłopak patrzy mi prosto w oczy.

- Gdzie twój cholerny spadochron? - pyta po raz kolejny, wymawiając wyraźnie każde słowo.

Jedną ręką podnoszę go z fotela. Brzytwa piszczy z zaskoczenia i zatacza się do tyłu. Idę za nim, przykucam przy Filiżance i odpinam oplatające ją pasy.

- Czterdzieści sekund!

- Jak mamy cię znaleźć? - Brzytwa stoi tuż obok i wrzeszczy mi do ucha.

- Kierujcie się w stronę ognia.

- Jakiego ognia?

- Trzydzieści sekund!

Otwieram drzwi helikoptera. Podmuch powietrza zdziera Brzytwie kaptur z głowy. Podnoszę Filiżankę i wciskam mu w ramiona.

- Nie pozwól jej umrzeć.

Kiwnięcie głową.

- Obiecaj.

Kolejne skinięcie.

- Obiecuję.

- Dzięki, Brzytwa. Za wszystko.

Pochyla się do przodu i całuje mnie w usta.

- Nie rób tego! - ostrzegam.

- Czemu? Nie podoba ci się czy za bardzo ci się podoba?

- Jedno i drugie.

- Piętnaście sekund!

Brzytwa układa Filiżankę na swoim ramieniu, łapie się linki bezpieczeństwa i staje na progu. Chłopiec i przewieszona przez jego ramię dziewczynka odcinają się na tle czarnego nieba, a pod ich stopami rozciąga się bezdenna mroczna próżnia. *Dbanie o Ziemię to teraz mój obowiązek.*

Brzytwa puszcza linkę. Pochłania go żarłoczna ciemność.

Wracam do kabiny, gdzie czeka na mnie pusty fotel pilota. Bob zniknął.

Zastanawiałam się, dlaczego przestał odliczać. Teraz już wiem: jednak zdecydował się skoczyć.

Na pewno byłam już w zasięgu samolotów, co oznaczało, że raczej nie mieli zamiaru strzelać. Oznaczyli na mapach miejsce skoku Brzytwy i trzymają się helikoptera, czekając, aż wyskoczę lub skończy mi się paliwo. Do tego czasu Vosch pewnie już rozgryzł, dlaczego w helikopterze znajduje się implant należący do żołnierza, który wylądował w szpitalu z potwornym bólem głowy.

Czubkiem języka wydłubuję nadajnik spod policzka i wypluwam go w dłoń.

*Chcesz żyć*?

„Tak. Ty również tego chcesz” - odpowiadam Voschowi.

*Nie wiem dlaczego i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem.*

Pstrykam kulką nadajnika w powietrze.

Reakcja procesora jest natychmiastowa. Zaalarmowany moimi zamiarami dokonał obliczeń wskazujących na olbrzymie prawdopodobieństwo mojej rychłej śmierci i odcina wszystkie układy w moim organizmie, pozostawiając jedynie niezbędne reakcje mięśniowe. Dwunasty układ działa według tego samego rozkazu, jaki dałam Brzytwie. *Nie pozwól jej umrzeć.* System jest pasożytem, jego istnienie zależy od mojego przetrwania.

Kiedy jednak tylko zmienię zamiar - w porządku, wyskoczę z helikoptera - procesor uwalnia mnie spod kontroli. Wtedy i tylko wtedy. Nie mogę go okłamać ani przekupić. Żadnych negocjacji, żadnych rozwiązań siłowych. Nie pozwala mi działać, dopóki nie zmienię zdania. Nie mogę zmienić zdania, dopóki nie pozwala mi działać.

Serce w płomieniach. Ciało z kamienia.

Ale na narastającą we mnie panikę procesor nie ma żadnego sposobu. Może jedynie reagować na moje uczucia, nie jest w stanie ich kontrolować. Uwolnienie endorfin. Neurony i komórki tuczne pompują serotoninę do mojej krwi. Mimo tych zabiegów fizjologicznych wciąż jestem całkowicie sparaliżowana.

Na pewno istnieje jakaś odpowiedź. Musi. Jestem tego pewna. Tylko jaka? Znów widzę lodowate, ptasie spojrzenie Voscha, wbijające się w moje oczy. Jak brzmi odpowiedź? Nie jest nią ani gniew, ani nadzieja, ani miłość, ani obojętność, ani walka do samego końca, ani rezygnacja, ani ucieczka, ani przeczekanie, ani poddanie się, ani, ani, ani, nic, nic, nic.

Nic.

*Jaka jest odpowiedź?* - zapytał.

A ja odpowiedziałam: - *Nic*.

Wciąż nie mogę niczym poruszyć, nawet oczami, ale dość dobrze widzę stąd instrumenty pokładowe, łącznie z wysokościomierzem i wskaźnikiem poziomu paliwa. Wiszę na wysokości tysiąca pięciuset metrów, benzyna kiedyś się wreszcie skończy. Paraliż może mnie powstrzymać od skoku, ale na pewno nie zatrzyma upadku helikoptera. A w tym wypadku prawdopodobieństwo mojej śmierci wynosi sto procent.

Procesor nie ma innego wyjścia: musi mnie uwolnić. Czuję się tak, jakby ktoś rzucił mną przez całą długość boiska. Zostaję wepchnięta do swojego ciała.

*No dobra, ulepszona Ringer. Pokaż, na co cię stać.*

Łapię za uchwyt przy drzwiach od strony pilota i wyłączam silniki. Wyje alarm. Jego również uciszam. Słychać jedynie wiatr.

Siłą rozpędu helikopter trzyma się jeszcze kilka sekund w powietrzu, a potem zaczyna spadać.

Uderzam o sufit, moja głowa wali w przednią szybę. Białe gwiazdy wybuchają mi przed oczami. Maszyna zaczyna wirować, a ja puszczam klamkę. Rzuca mną po całej kabinie jak kostką w kubeczku, więc zaciskam palce na pustce, próbując się czegokolwiek złapać. Helikopter obraca się dziobem do ziemi, lecę do tyłu jakieś cztery metry i znów spadam, waląc z całej siły piersią w fotel pilota. Palące ukłucie w boku - pęknięte żebro. Rozpięty pas bezpieczeństwa smaga mnie po twarzy, łapię go, nim siła odśrodkowa znów odrzuci mnie do tyłu. Kolejny obrót i z powrotem wpadam do kabiny, uderzając o drzwi, które się otwierają na całą szerokość. Zaczepiam pielęgniarskimi butami o oparcie fotela i próbuję się podciągnąć, wystawiając połowę ciała na zewnątrz. Puszczam pasek, zahaczam palcem o klamkę i mocno się odpycham.

Przewrót, uderzenie, kolejny fikołek, czarne, szare i oślepiająco białe rozbłyski. Wiszę, trzymając się klamki przy drzwiach helikoptera, który obraca się na bok, zamykające się drzwi miażdżą mi nadgarstek i zmuszają do zwolnienia uchwytu. Moje ciało toczy się aż do samego ogona i wali w tylny rotor, a kiedy maszyna zaczyna pikować nosem w dół, potężna siła wyrzuca mnie w górę jak kamień wystrzelony z procy.

W ogóle nie czuję, że spadam. Wiszę w prądzie ciepłego powietrza, nocny jastrząb szybujący na szeroko rozłożonych skrzydłach, z tyłu i pode mną wirujący helikopter wzięty w niewolę grawitacji, której ja próbowałam zaprzeczyć. Nie słyszę wybuchu, gdy maszyna wbija się w ziemię. Dobiega mnie jedynie szum wiatru i krwi w moich uszach, zniknął ból w poobijanym we wnętrzu maszyny ciele. Jestem oszałamiająco pusta i czuję się tą pustką wyzwolona. Jestem niczym. Wiatr jest twardszy niż moje kości.

Ziemia pędzi w moją stronę. Niczego się nie boję. Spełniłam swoje obietnice. Dałam im czas.

Szeroko rozkładam ramiona. Rozczapierzam palce. Kieruję twarz w stronę punktu, gdzie niebo spotyka się z ziemią.

Mój dom. Mój obowiązek.

Spadam z zabójczą prędkością w stronę jednostajnej bieli, rozległej nicości, która rozszerza się coraz bardziej, sięgając aż po horyzont.

Jezioro. Olbrzymie jezioro.

Gigantyczne zamarznięte jezioro.

Muszę się obrócić nogami w dół, nie mam innego wyjścia. Jeśli grubość lodu przekracza ćwierć metra, już po mnie. Żadne obce ulepszenia mnie nie ochronią. Połamię nogi. Strzaskam kręgosłup. Wypluję płuca.

*Wierzę w ciebie, Mariko. Nie po to przedzierałaś się przez ogień i krew, by teraz się poddać.*

*A właśnie, że tak, komendancie.*

Biel pode mną lśni niczym perły, czyste malarskie płótno, alabastrowa otchłań. Wyjąca ściana wiatru pcha moje nogi ku górze, podciągam więc kolana do piersi, zaczynając obrót. Muszę uderzyć stopami w taflę lodu idealnie wyprostowana. Jeśli obrócę się zbyt wcześnie, wiatr wytrąci mnie z równowagi. Jeśli zbyt późno - uderzę o lód tyłkiem albo brzuchem.

Zamykam oczy, nie potrzebuję ich. Jak na razie procesor działa idealnie, czas, bym mu całkowicie zaufała.

Opróżniam umysł: czyste płótno, alabastrowa otchłań. Jestem pojazdem sterowanym przez procesor.

*Jaka jest odpowiedź?*

A ja odpowiadam: *Nic. Nic jest odpowiedzią.*

Kopię nogami ze wszystkich sił. Moje ciało się prostuje, ramiona wędrują w górę i zaplatają się na piersi. Głowa odchyla się do tyłu twarzą do nieba. Otwarte usta. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech. Trzymaj.

Uwolniona od wiatru spadam coraz szybciej i całkowicie wyprostowana z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę przebijam stopami warstwę lodu.

Nie czuję tego uderzenia.

Ani zamykającej się nad moją głową zimnej wody.

Ani jej ciśnienia, gdy opadam coraz głębiej.

Niczego nie czuję. Procesor odciął mój system nerwowy lub receptory bólu.

Niewielki punkcik światła dziesiątki metrów ponad moją głową, maleńka iskierka, blada jak najodleglejsza gwiazda, punkt wejścia. I punkt wyjścia. Zaczynam płynąć w jego stronę. Otępiałe ciało. Pusty umysł. Poddałam się całkowitej kontroli dwunastego systemu. Już nie jest tylko częścią mnie. Jest mną. Stanowimy jedność.

Jestem człowiekiem. I nie jestem. Zmierzając ku gwieździe lśniącej w lodowej kopule, niczym jakieś pierwotne bóstwo, zrodzone w przedwiecznych szczelinach, w pełni ludzkie, całkowicie obce, wreszcie zaczynam rozumieć, poznaję rozwiązanie niemożliwej zagadki Evana Walkera.

Przebijam serce gwiazdy i podciągam się do krawędzi lodu. Kilka złamanych żeber, strzaskany nadgarstek, rozcięcie po pasie bezpieczeństwa na czole, kompletnie odrętwiała, niepotrafiąca złapać tchu, pusta, kompletna, świadoma.

Żywa.

O świcie odnajduję dopalające się szczątki helikoptera. Nie było to trudne, maszyna leżała w szczerym polu pokryta świeżą warstwą śniegu. Widziałam łunę z odległości wielu kilometrów.

Podchodzę powoli od południowej strony. Po prawej mam słońce wschodzące nad zimowym horyzontem, a jego blask rozświetla kryształy śniegu niczym miliardy diamencików, które spadły z nieba.

Moje całkowicie przemoczone ciuchy zamarzły i trzaskają przy każdym kroku. Odzyskuję czucie. Dwunasty układ podtrzymuje mnie przy życiu, bym zapewniła mu przetrwanie. Domaga się odpoczynku, jedzenia, pomocy w leczeniu organizmu, to dlatego pozwala mi odczuwać ból.

*Nie. Żadnego odpoczynku, dopóki ich nie znajdę.*

Niebo jest zupełnie czyste. Wiatr ucichł. Nad poskręcanym wrakiem helikoptera unosi się w powietrzu czarno-szary kłąb, niczym dymy nad obozem Przystań niosące w sobie prochy wszystkich pomordowanych tam ofiar.

*Brzytwa, gdzie jesteś?*

Słońce wspina się coraz wyżej, a blask bijący od śniegu staje się oślepiający. Układy zawiadujące wzrokiem dostosowują moje oczy: tworzą przyciemniony filtr dający taki sam efekt jak okulary przeciwsłoneczne, co pozwala mi dostrzec jakąś skazę na wszechobecnej bieli około półtora kilometra na zachód. Kładę się na śniegu, moszcząc się w niewielkim okopie. Kształt jest coraz bliżej, ciemna plama zamienia się w ludzką sylwetkę brodzącą powoli w głębokim śniegu. Wysoką i szczupłą, ubraną w grubą kurtkę i niosącą karabin. Mija kolejne pół godziny. Podnoszę się, gdy jest sto metrów ode mnie. Pada na ziemię, jakby ktoś do niego strzelił. Wołam go po imieniu, nie muszę głośno krzyczeć, w zimowym powietrzu dźwięk niesie się bez trudu.

Słyszę jego piskliwą, przepełnioną niepewnością odpowiedź:

- O kurde!

Idzie jeszcze kilka kroków i zaczyna biec, unosząc kolana i łokcie tak wysoko, jakby próbował pobić rekord na stacjonarnej bieżni. Staje przede mną na odległość wyciągniętej ręki, wypuszczając z ust kłęby ciepłej pary.

- Żyjesz - sapie cichutko. Widzę to w jego oczach: *To niemożliwe.*

- Gdzie Filiżanka?

Wskazuje głową za siebie.

- Chyba złamała nogę, ale nic jej nie jest...

Wymijam go, idąc we wskazanym kierunku. Drałuje za mną, błagając, bym zwolniła.

- Już miałem odpuścić - dyszy. - Zrobiłaś to bez spadochronu! Potrafisz latać? Co ci się stało w głowę?

- Uderzyłam się.

- Aha. Wyglądasz jak Apacz. Barwy wojenne.

- To ta brakująca jedna czwarta: jestem Apaczką.

- Serio?

- Czemu myślisz, że Filiżanka złamała nogę?

- Bo tak mi się wydaje. A bez prześwietlenia trudno mi o lepszą diagnozę.

- Dziwne. - Patrzę na niebo. - Żadnego pościgu. Na pewno oznaczyli to miejsce.

- Też niczego nie widziałem. Jakby dali sobie spokój.

Kręcę głową.

- Na pewno nie. Daleko jeszcze?

- Z półtora kilometra. Nic się nie martw, jest bezpieczna.

- Dlaczego ją zostawiłeś?

Mierzy mnie ostrym, niedowierzającym spojrzeniem. Ale trwa to tylko sekundę. Nie potrafi zbyt długo zachować milczenia.

- Żeby cię znaleźć. Mówiłaś, że mam kierować się na ogień, a to dość ogólna wskazówka. Mogłaś przecież powiedzieć, żebyśmy się spotkali tam, gdzie będzie płonął rozbity przez ciebie helikopter.

Przez kilka minut maszerujemy w milczeniu. Brzytwa oddycha z trudem. Ja nie. Układy podtrzymają mnie przy życiu, dopóki jej nie znajdę, ale mam przeczucie, że jak zacznę się sypać, to na dobre.

- I co dalej? - pyta Brzytwa.

- Odpoczynek. Co najmniej parę dni. Albo tyle, ile się da.

- Potem?

- Na południe.

- Na południe? To cały plan? Dość ogólny, no nie?

- Musimy wrócić do Ohio.

Zatrzymał się, jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Po kilku krokach odwracam się w jego stronę. Brzytwa kręci głową.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, gdzie jesteśmy?

Odpowiadam twierdząco.

- Jakieś trzydzieści kilometrów od któregoś z Wielkich Jezior. Chyba Erie.

- Jak chcesz... jak niby mamy... wiesz, że do Ohio mamy jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów?

- Więcej. W linii prostej będzie ze trzysta.

- Ale... Ale nie możemy iść po prostej! Co takiego jest w Ohio?

- Moi przyjaciele.

Ruszam dalej, kierując się jego śladami na śniegu.

- Ringer, nie chciałbym rozwiewać twoich złudzeń...

- Nie chcesz być przyczyną moich znudzeń?

- Czyżbym usłyszał dowcip?

- Wiem, że oni najprawdopodobniej nie żyją. Mam świadomość, że najpewniej umrę, nim do nich dotrę. Ale złożyłam obietnicę, Brzytwa. Wtedy tak o tym nie myślałam. Wmawiałam sobie, że niczego nie obiecuję. Powiedziałam mu to wprost. Ale tak jak wmawiamy sobie różne rzeczy na temat prawdy, tak różne rzeczy pozwalają nam poznać prawdę o nas samych.

- Wiesz, że mówisz kompletnie bez sensu, prawda? To pewnie przez to uderzenie w głowę. Zwykle jesteś bardziej pozbierana.

- Jakie uderzenie w głowę?

- No nie, to już na pewno był żart! - Zmarszczył nagle brwi. - Komu złożyłaś tę obietnicę?

- Naiwnemu, upartemu, stereotypowemu mięśniakowi, który myśli, że jest darem Bożym dla tego świata, o ile akurat mu się nie wydaje, że to świat jest darem Bożym dla niego.

- Aha. - Milczy przez chwilę, szurając stopami po śniegu. - To od jak dawna ten naiwny stereotypowy mięśniak jest twoim chłopakiem?

Zatrzymuje się. Obracam go. Obejmuję jego twarz obiema dłońmi i całuję go prosto w usta. Jego rozszerzone źrenice wypełniają się czymś niepokojąco zbliżonym do strachu.

- A to za co?

Całuję go ponownie. Nasze ciała napierają na siebie nawzajem. Jego chłodna twarz w moich lodowatych dłoniach. Czuję miętowy

zapach gumy w jego oddechu. *Dbanie o Ziemię to teraz mój obowiązek.* Jesteśmy niczym dwie kolumny wznoszące się z morza pofalowanej, roziskrzonej bieli. Nieskończonej. Bezgranicznej.

Wskrzesił mnie z grobu. Przywrócił do życia. Ryzykował wszystko, by mnie ocalić. Łatwiej było odwrócić wzrok. Łatwiej było pozwolić mi umrzeć. Łatwiej było wierzyć w piękne kłamstwo niż w ohydną prawdę. Po śmierci ojca wzniosłam wokół siebie twierdzę, która mogła przetrwać tysiąc lat. Potężną twierdzę, którą zniszczył pocałunek.

- Jesteśmy kwita - szepczę.

- Nie całkiem - odpowiada ochryple. - Ja pocałowałem cię tylko raz.

Zbliżamy się do zabudowań, które zdają się wyrastać ze śniegu na podobieństwo lewiatana. Silos, pasy transmisyjne, wielkie skrzynie, betoniarki, budynki gospodarcze i administracyjne, gigantyczny magazyn większy niż hangar na samolot - wszystko otoczone pordzewiałym ogrodzeniem z siatki. Jest to na swój ponury sposób symboliczne, że ta historia skończy się w fabryce betonu. Trudno o bardziej wszechobecny ślad ludzkości niż beton. Nasze podstawowe narzędzie ekspresji na czystym płótnie świata: gdziekolwiek się pojawialiśmy, beton przykrywał ziemię.

Brzytwa odciąga fragment przerdzewiałej siatki i pokazuje, że mam pod nią przejść. Z zimna ma zaczerwienione policzki i nos, a spojrzenie jego łagodnych ciemnych oczu miota się na wszystkie strony. Może tak jak ja czuje się zbyt odsłonięty i przytłoczony przez otaczające nas maszyny i potężny silos odcinający się na tle nieba. Raczej w to wątpię.

- Daj mi karabin - mówię.

- Hmm? - Przyciska broń do piersi, nerwowo postukując palcem o spust.

- Lepiej strzelam.

- Przecież wszystko sprawdziłem. Nikogo tu nie ma. Jest całkowicie...

- Bezpiecznie - kończę. - W porządku. - Wyciągam rękę.

- Daj spokój, przecież ona czeka na nas w magazynie...

Nie ruszam się. Brzytwa wywraca dramatycznie oczami, patrzy przez chwilę w puste niebo i ponownie odwraca się do mnie.

- Przecież już byśmy nie żyli, gdyby ktoś tu był.

- Karabin.

- Dobra. - Wyciąga broń przed siebie. Wyrywam mu ją z rąk i uderzam karabinem w czoło Brzytwy. Upada na kolana, nie spuszczając mnie z oka, ale w jego spojrzeniu nie ma niczego poza pustką.

- Leż - mówię. Kładzie się nieruchomo na śniegu.

Nie wierzę, że Filiżanka czeka w magazynie. Brzytwa chciał, żebym tam właśnie poszła, ale nie miało to z nią nic wspólnego. Wątpię, czy w ogóle jest bliżej niż dwieście kilometrów od tego

miejsca. Ale nie mam innego wyboru. Zdobycie broni i wyeliminowanie Brzytwy dają mi jedynie niewielką przewagę.

Otworzył się przede mną, gdy go pocałowałam. Nie mam pojęcia jak, ale ulepszenia pomagały stworzyć empatyczną więź z drugim człowiekiem. Zmieniały nosiciela w żywy wykrywacz kłamstw gromadzący i porównujący dane napływające z miliardów bodźców poddawanych przez procesor dalszej analizie i interpretacji. Niezależnie od tego, jak to działało, wyczuwałam w Brzytwie jakąś pustkę, nicość, ukryty pokój i wiedziałam, że coś jest nie tak.

Kłamstwa ukryte wewnątrz kłamstw. Finty w fintach. To jak uganianie się za fatamorganą, im szybciej ku niej biegłam, tym bardziej się ode mnie oddalała. Poszukiwanie prawdy było jak próba doścignięcia horyzontu.

Wchodzę w cień budynku, kiedy coś w moim wnętrzu zaczyna pękać. Trzęsą mi się kolana. Czuję się tak, jakbym oberwała w pierś kijem baseballowym. Nie mogę oddychać. Dwunasty układ może mnie utrzymywać przy życiu, wzmocnić, podkręcić mój refleks i zmysły, uzdrowić ciało i ochronić przed każdym fizycznym zagrożeniem, ale nawet czterdzieści cztery tysiące nieproszonych gości nie poradzi sobie ze złamanym sercem.

*Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie teraz. Nie mogę zmięknąć. Co się dzieje, kiedy miękniemy? Co?*

Nie chcę wchodzić do środka. Muszę tam wejść.

Opieram się o zimną metalową ścianę magazynu tuż obok otwartych drzwi, za którymi panują grobowe ciemności.

Skisłe mleko.

Woń zarazy jest tak intensywna, że zaczynam się dławić. Układy odpowiedzialne za powonienie tłumią mój zmysł węchu. Żołądek się uspokaja, oczy przestają łzawić. Magazyn ma wielkość dwóch boisk futbolowych i podzielony jest na trzy poziomy. Tam gdzie stoję, na samym dole, jest szpital połowy. Setki prycz, kłęby prześcieradeł, powywracane wózki z lekami i sprzętem. Wszędzie krew. Plamy połyskujące w świetle wpadającym przez podziurawione stropy. Zamarznięte kałuże krwi na podłodze. Krew rozmazana na ścianach. Zakrwawione poduszki i prześcieradła. Krew, krew i krew. Ale żadnych ciał.

Wchodzę po schodach na pierwsze piętro. Magazyn zaopatrzenia: porozrywane worki z mąką i innymi sypkimi produktami, ich zawartość porozwlekana przez szczury i inne gryzonie po całej podłodze, stosy konserw, baniaki z wodą, kanistry z naftą. Wszystko przygotowane na zimę, tyle że wcześniej uciekinierów dopadło czerwone tsunami i utonęli w morzu własnej krwi.

Kolejne schody. Trzecie piętro. Kolumna słonecznego światła przecina zakurzone powietrze niczym promień reflektora. Dotarłam do końca. Ostatni poziom. Wokół leżą ciała, stosy wysokie miejscami na sześć trupów, te na spodzie troskliwie owinięte w prześcieradła, te u góry w niedbałych pozycjach, porzucone pospiesznie, bezładna plątanina kończyn, powykręcanych kości, rozkładającej się skóry i znieruchomiałych palców zaciskających pustkę.

Środek pomieszczenia oczyszczono z trupów. W samym środku kolumny światła zauważam stolik, a na nim drewnianą skrzyneczkę oraz szachownicę z rozstawionymi figurami, końcówka partii, którą natychmiast rozpoznaję.

Jego głos dobiega zewsząd i znikąd, nie da się go umiejscowić, jest jak pomruk odległego gromu.

- Nigdy nie dokończyliśmy rozgrywki.

Podchodzę bliżej i przewracam białego króla. Słyszę jego westchnięcie jak szum wiatru w gałęziach drzew.

- Jaka jest odpowiedź, Mariko?

- To był test - odpowiadam szeptem. Biały król leżący na plecach wbija we mnie spojrzenie alabastrowych, otchłannych oczu. - Musiałeś przetestować dwunasty układ, tak żebym się nie zorientowała, że mnie sprawdzasz. Miałam wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. To był jedyny sposób, żeby zmusić mnie do współpracy.

- Zdałaś?

- Tak. Zdałam.

Odwracam się od światła. Stoi na schodach sam, twarz ukryta w cieniach, ale mogłabym przysiąc, że dostrzegam jego jasnoniebieskie oczy lśniące w mroku.

-Jeszcze nie całkiem - odpowiada.

Celuję z karabinu w mrok pomiędzy lśniącymi ślepiami i naciskam spust. Zamek uderza o pustą komorę, wzbudzając w niej echo. Klik, klik, klik.

- Mariko, dotarłaś już tak daleko, nie chcesz mnie chyba rozczarować. Musiałaś wiedzieć, że jest rozładowany - mówi Vosch.

Rzucam broń i cofam się, uderzając plecami o stół. Opieram się dłońmi o blat, by nie stracić równowagi.

- Zapytaj mnie - rozkazuje.

- Jak to „jeszcze nie całkiem”?

- Znasz odpowiedź.

Łapię stolik i rzucam nim w Voscha. Komendant odbija go jedną ręką, a ja skaczę na niego z odległości dwóch metrów, uderzam go barkiem w pierś i zgniatam w niedźwiedzim uścisku. Zwalamy się na drugie piętro. Deski pękają z hukiem pod naszym ciężarem. Uderzenie zmusza mnie do poluzowania chwytu. Vosch zaciska długie palce na mojej szyi i rzuca mną na stos konserw sześć metrów dalej. Zrywam się w ciągu sekundy, ale on jest tak szybki, że jego ruchy pozostawiają powidoki na mojej siatkówce.

- Ten biedny rekrut w łazience - wymienia. - Pielęgniarka na oddziale intensywnej opieki, pilot, Brzytwa, nawet Claire, ta biedna Claire, która od początku była na przegranej pozycji. To nie wystarczy. Żeby zdać, musisz przezwyciężyć to, czego nie da się przezwyciężyć.

Rozkłada szeroko ramiona zapraszającym gestem.

- Chciałaś okazji, Mariko. Oto ona.

Nie ma wielu różnic między tym, co się zaraz wydarzy, a naszą partią szachów. On wie, jak myślę. Zna moje wady i zalety. Potrafi przewidzieć każdy mój ruch. Przykłada szczególną wagę do moich obrażeń: nadgarstek, żebra, głowa. Rana na czole znów się otwiera, krew paruje na mrozie, zalewając mi oczy i usta, cały świat okrywa się szkarłatną zasłoną. Kiedy upadam po raz trzeci, mówi, żebym nie wstawała.

- Zostań tam, Mariko. Nie ruszaj się.

Wstaję. Rzuca mną po raz czwarty.

- Przeładujesz system - ostrzega. Klęczę na czworakach, wpatrując się otępiałym wzrokiem w czerwone krople rozbryzgujące się o podłogę. - Może się posypać. Wtedy umrzesz.

Wrzeszczę. Z głębin mojej duszy wydobywa się śmiertelne wycie siedmiu miliardów wymordowanych ludzi. Dźwięk odbija się echem od ścian olbrzymiego pomieszczenia.

Potem podnoszę się po raz ostatni. Nawet mój ulepszony wzrok nie jest w stanie śledzić ciosów jego pięści. Są jak swobodne cząstki - wszędzie i nigdzie, nie mogę ich umiejscowić - kompletnie nieprzewidywalne. Zrzuca moje bezwładne ciało na betonową podłogę piętro niżej, wydaje mi się, że spadam przez całą wieczność w mrok głębszy niż ten, który panował u zarania czasu. Przetaczam się na brzuch i próbuję wstać. Jego but wbija się w mój kark.

- Jaka jest odpowiedź, Mariko?

Nie musi mi już wyjaśniać. Wreszcie zrozumiałam pytanie. W końcu rozgryzłam tę zagadkę. On wcale nie chciał odpowiedzi na pytanie, jak rozwiążemy problem Przybyszy. Pytał o to, jak rozwiązać problem z ludzkością.

Odpowiadam.

- Nic. Nic jest odpowiedzią. Nie ma ich. Nigdy nie było.

- Słucham? Kogo nie ma?

Przełykam krew wypełniającą mi usta.

- Ryzyko...

- Tak. Doskonale. Ryzyko odgrywa kluczową rolę.

- Nie ma ich tutaj. Nie ma żadnych istot załadowanych do ludzkich ciał. Żadnych obcych świadomości. Właśnie z powodu ryzyka. Takie

ryzyko byłoby nie do przyjęcia. To program, rozbudowane złudzenie. Zainstalowany jeszcze przed narodzinami w ich mózgach, uruchomiony, gdy zaczynali dorastać. To kłamstwo. Są ludźmi. Ulepszonymi jak ja, ale nadal ludźmi. Takimi jak ja.

- A ja? Skoro ty jesteś człowiekiem, to czym ja jestem?

- Nie wiem.

But dociska mój policzek do betonowej podłogi.

- Czym jestem?

- Nie wiem. Kontrolerem. Dyrektorem. Nie wiem. Wybranym, żeby... Nie wiem. Nie wiem.

- Jestem człowiekiem?

- Nie wiem! - Naprawdę nie wiedziałam. Dotarliśmy do miejsca, z którego nie mogłam się cofnąć. Nade mną but. Pode mną otchłań. - Ale jeśli jesteś człowiekiem...

- Tak. Dokończ. Jeśli jestem człowiekiem... to co?

Ociekam krwią. To nie moja krew. Należy do miliardów ludzi, którzy umarli przede mną, otacza mnie jak bezkresne morze, zanurzam się w nim, opadając na pozbawione światła dno.

- Jeśli jesteś człowiekiem, to nie ma już żadnej nadziei.

Podnosi mnie z podłogi i delikatnie układa moje ciało na szpitalnej pryczy.

- Ugięłaś się, ale nie dałaś się zniszczyć. Aby wykuć miecz, trzeba najpierw stopić stal. Ty jesteś mieczem, Mariko. Ja jestem kowalem, który go wykuwa.

Obejmuje dłońmi moją twarz. W jego oczach lśni religijny fanatyzm, patrzy na mnie jak oszalały uliczny kaznodzieja, tyle że w rękach tego szaleńca spoczywają losy całego świata.

Muska kciukiem mój zakrwawiony policzek.

- Odpocznij, Mariko. Jesteś tu bezpieczna. Nic ci nie grozi. Zostawię go, żeby się tobą zaopiekował.

Brzytwa. Potrząsam głową. Nie dam rady.

- Proszę. Nie. Proszę.

- Tydzień, dwa i będziesz gotowa.

Widzę, że jest zadowolony z siebie. Albo ze mnie. Z tego, co udało mu się ze mną osiągnąć. Czeka na moje pytanie. Nie pytam.

A potem znika.

Później słyszę helikopter, który po niego przyleciał. Pojawia się Brzytwa z policzkiem opuchniętym do rozmiaru jabłka. Milczy. Ja również. Obmywa moją twarz ciepłą wodą z mydłem. Opatruje mi rany, nastawia żebra, usztywnia nadgarstek. Musi wiedzieć, że umieram z pragnienia, ale nie podaje mi wody. Wbija w moje ramię kroplówkę i podwiesza woreczek z roztworami soli. Potem siada na składanym krzesełku przy drzwiach okutany w swoją grubą kurtkę i opiera karabin na kolanach. Po zachodzie słońca rozpala lampę naftową i stawia ją na podłodze. Światło oblewa jego twarz, ale nie widzę jego oczu.

- Gdzie jest Filiżanka? - Mój głos odbija się echem od metalowych ścian.

Nie odpowiada.

- Mam taką teorię - mówię. - O szczurach. Chcesz posłuchać? - Cisza. - Zabicie jednego szczura nie sprawia trudności. Wystarczy kawałek stęchłego sera i pułapka. Zabicie tysiąca, miliona, miliarda albo siedmiu miliardów szczurów jest trudniejsze. Trzeba przynęty. Trucizny. Nie musisz zatruć wszystkich, wystarczy jakiś procent, który rozniesie zarazę po całej kolonii. - Brzytwa tkwi w bezruchu. Nie mam

pojęcia, czy mnie słucha czy zasnął. - To my jesteśmy szczurami. Program załadowany w mózgi ludzkich płodów to przynęta. W końcu jaka jest różnica między kimś, kto nosi w sobie obcą istotę, a kimś, kto wierzy, że ma w sobie taki organizm? Tylko jedna. Ryzyko. To właśnie ta różnica. Nie nasze ryzyko. Ich. Po co mieliby ryzykować coś takiego? Odpowiedź brzmi: wcale nie ryzykują. Nie ma ich tutaj, Brzytwa. Nigdy nie było. Jesteśmy tylko my. Zawsze tak było.

Chłopak bardzo powoli pochyla się do przodu i przygasza lampę.

- Ale jak w każdej teorii, w tej też są dziury. - Wzdycham. - Nie da się jej pogodzić z kwestią wielkiej skały.

Dlaczego męczą się z tym wszystkim, skoro wystarczy rzucić kawałkiem kamienia z kosmosu?

Odpowiada cicho, tak cicho, że nie usłyszałabym go bez ulepszeń.

- Zamknij się.

- Dlaczego to zrobiłeś, Alex? - Nie wiem, czy Alex to jego prawdziwe imię. Vosch mógł wymyślić tę historię od podstaw, żeby mną manipulować. Jest bardzo prawdopodobne, że tak właśnie było.

- Jestem żołnierzem.

- Po prostu wykonywałeś rozkazy.

- Jestem żołnierzem.

- Masz się podporządkować bez zadawania pytań.

- Jestem. Żołnierzem.

Zamykam oczy.

- Szachowy baseball. To też wymysł Voscha? Przepraszam, głupie pytanie. - Cisza. - Chodzi o Walkera - mówię, otwierając gwałtownie powieki. - Właśnie tak. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Chodzi o Evana, prawda, Brzytwa? On chce Walkera, a ja jestem jedynym sposobem, by go dopaść.

Cisza.

Zniszczenie obozu Przystań i unieruchomione drony spadające z nieba. Do czego potrzebowali dronów? Zawsze mnie to zastanawiało. Jak trudno odnaleźć ocalałych, jeśli zostało ich tak niewielu, a na dodatek masz całą ludzką technologię, by ich namierzyć? Uciekinierzy łączyli się w grupy. Tłoczyli się jak pszczoły w roju. Drony wcale ich nie szukały. Obserwowały tamtych, takich jak Evan Walker, samotnych i zabójczo ulepszonych, rozrzuconych po wszystkich kontynentach i uzbrojonych w wiedzę, która mogła zrujnować cały plan, gdyby

załadowany w ich mózgi program miał jakąś awarię - jak to najwyraźniej się stało w przypadku Walkera.

Evan urwał im się ze smyczy. Vosch nie ma pojęcia, gdzie on się podziewa i czy w ogóle żyje. Ale jeśli tak, to jest mu potrzebny ktoś, komu Walker zaufa.

Jestem kowalem.

Ty jesteś mieczem.

Brzytwa jest moim jedynym towarzystwem przez cały tydzień. Strażnikiem, pielęgniarzem, kontrolerem. Przynosi mi jedzenie, kiedy jestem głodna. Koi mój ból, gdy cierpię. Myje mnie, gdy jestem brudna. Jest przy mnie, gdy zasypiam i kiedy się budzę. On nigdy nie śpi, nie potrafię go na tym przyłapać, ciągle czuwa - budzę się kilka razy w ciągu nocy, a on nadal tkwi na straży przy drzwiach. Ten sam chłopak, który przekonał mnie, bym mu zaufała i w niego uwierzyła, stał się milczący, przybity i zaskakująco podenerwowany. Tak jakby się bał, że ucieknę, choć wie, że nie zrobię tego nawet jeśli mogę. Choć wie, że jestem związana obietnicą silniejszą niż jakakolwiek pętla.

Szóstego dnia po południu Brzytwa obwiązuje usta i nos szmatą, wdrapuje się po schodach na trzecie piętro i wychodzi stamtąd, ciągnąc ciało. Wynosi je na zewnątrz. Później wraca, ciężkim krokiem wspina się na schody i kolejne zwłoki rozpoczynają wędrówkę w dół. Przestaję liczyć po stu dwudziestu trzech. Opróżnia magazyn ze wszystkich trupów, układa je na zewnątrz, a potem, o świcie, podkłada pod nie ogień.

Zmumifikowane zwłoki momentalnie zajmują się jasnymi, gorącymi promieniami. Dym musi być widoczny z odległości wielu kilometrów, o ile pozostało jakieś ludzkie oko, by go obserwować. Blask płomieni wpadający przez otwarte drzwi rozświetla wnętrze magazynu, zamieniając betonową podłogę w złociste, pofalowane morskie dno. Brzytwa stoi w drzwiach wpatrzony w ogień, szczupły cień otoczony aureolą płomieni niczym Księżyc w czasie zaćmienia. Zrzuca kurtkę, zdejmuje koszulę i podwija rękaw cienkiej bluzy, którą nosi pod spodem, odsłaniając ramię. Ostrze noża lśni w żółtym blasku ognia, gdy wycina sobie coś na skórze jego czubkiem.

Noc ma się ku końcowi, ogień przygasa, wiatr wypełnia moje serce nostalgią, wspomnieniem letnich obozów, łapania świetlików i sierpniowego nieba jaśniejącego tysiącami gwiazd. Zapachem pustyni i tęsknym zawodzeniem wiatru schodzącego z gór, gdy słońce kryło się za horyzontem.

Brzytwa rozpala lampę naftową i zbliża się do mnie. Śmierdzi dymem i śmiercią.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pytam.

Jego oczy ponad owiniętymi szmatą ustami są pełne łez. Nie wiem, co jest powodem: dym czy coś innego.

- Rozkazy - odpowiada.

Wyjmuje kroplówkę z mojej żyły i odwiesza rurkę na stojak.

- Nie wierzę ci - stwierdzam.

- Co ty nie powiesz.

To nasza najdłuższa rozmowa od spotkania z Voschem. Jestem zaskoczona ulgą, jaka mnie ogarnia, gdy znów słyszę głos Brzytwy. Świecąc sobie lampą, przygląda się z bardzo bliska ranie na mojej głowie.

- Filiżanka - szepczę.

- A jak myślisz? - odpowiada poirytowany.

- Żyje. To jego jedyny atut.

- Jak sobie chcesz. Żyje.

Naciera moją ranę maścią antybakteryjną. Jako zwykły człowiek potrzebowałabym kilku szwów, ale z ulepszeniami po paru dniach nikt nie będzie w stanie zgadnąć, że się zraniłam.

- Mogę sprawdzić ten blef - stwierdzam. - Zresztą jak mógłby ją teraz zabić?

Brzytwa wzrusza ramionami.

- Normalnie. Chodzi o losy całego świata, więc życie jednego dzieciaka gówno go obchodzi. Tak myślę.

- Nadal mu wierzysz. Mimo tego, co się stało, mimo tego, co widziałeś i słyszałeś.

W jego spojrzeniu pojawia się coś na kształt litości.

- Muszę mu wierzyć, Ringer. Jeśli przestanę, będę skończony. Będę jednym z nich. - Wskazuje głową na poczerniałe kości dopalające się na podwórzu.

Siada na sąsiedniej pryczy i zdejmuje szmatę z ust. Lampka stoi na podłodze między jego nogami, oblewając mu światłem twarz i pogłębiając cienie w jego głęboko osadzonych oczach.

- Na to już za późno - odpowiadam.

- Zgadza się. Wszyscy jesteśmy martwi. Nie ma żadnej przewagi, prawda? Zabij mnie, Ringer. Zabij mnie w tej chwili i uciekaj.

Mogłabym się zerwać z pryczy w mgnieniu oka. Jednym uderzeniem w pierś złamałabym mu żebro, przebijając serce. A potem wyszłabym, uciekła, ukryła się na całe lata w dziczy i przeczekała tam

kilka dekad, aż będę stara, a dwunasty system nie da rady dłużej podtrzymywać mnie przy życiu. Istniała szansa, że przeżyję wszystkich innych, a pewnego dnia obudzę się jako ostatni człowiek na Ziemi.

A potem nadal będę żyła.

Brzytwa musi zamarzać na kość, siedząc bez kurtki. Na jego obnażonym bicepsie połyskuje krew.

- Co sobie zrobiłeś w rękę? - pytam.

Podciąga rękaw. Litery są wielkie i koślawe, jakby wycięło je dziecko uczące się dopiero pisać.

VQP

- To po łacinie - szepcze. - *Vincit qui patitur*. To znaczy...

- Wiem, co to znaczy - odpowiadam równie cicho.

Brzytwa kręci głową.

- Nie wydaje mi się. - W jego głosie nie słychać gniewu, tylko smutek.

Alex odwraca się w stronę drzwi, za którymi szczątki zmarłych wznoszą się ku obojętnemu niebu. Alex.

- Naprawdę nazywasz się Alex? - pytam.

Znów na mnie spogląda, a ja dostrzegam jego rozbawiony, ironiczny uśmieszek, jestem zaskoczona, że stęskniłam się za tym grymasem tak jak za brzmieniem jego głosu.

- Mówiłem prawdę. Kłamałem tylko o istotnych rzeczach.

- I twoja babcia naprawdę miała pieska, który wabił się Puszek?

- Tak - odpowiada z cichym śmiechem.

- To dobrze.

- Dlaczego?

- Chciałam, żeby ta historia była prawdziwa.

- Pokochałaś tego jazgotliwego małego kundla?

- Nie. Po prostu cieszy mnie, że był kiedyś mały paskudny kundelek o imieniu Puszek. To dobre wspomnienie. Warte pamiętania.

Chłopak w mgnieniu oka zrywa się z pryczy i całuje mnie prosto w usta, a ja zapadam się w jego wnętrzu, gdzie nie ma żadnych tajemnic. Otwiera się przede mną. Ten, który mnie ocalił i zdradził, ten, który przywrócił mnie do życia i rzucił w objęcia śmierci. Gniew nie jest odpowiedzią, podobnie jak nienawiść. Warstwa po warstwie przedzieram się przez wszystko, co nas dzieli, aż docieram do samego centrum, bezimiennej krainy, bezbronnej fortecy, odwiecznej,

nieskończonej tęsknoty, do jego samotnej duszy, której nie ima się czas ani doświadczenie, istniejącej poza myślą, bezkresnej.
Jestem tam z nim. Naprawdę jestem. Zamknięta w jego osobnej duszy.

- To nie może być prawda - szepczę. Odkrywam, że w samym środku wszystkiego, tam gdzie niczego nie ma, on przytula mnie do siebie.

- Nie wierzę w te wszystkie bzdury, jakie mi mówiłaś - mamrocze cicho. - Ale co do jednego miałaś rację. Niektóre rzeczy, nawet najmniejsze, dorównują wartością sumie wszechrzeczy.

Na zewnątrz płonie gorzkie żniwo. Wewnątrz Brzytwa zsuwa ze mnie koce i znów widzę jego ręce, te dłonie, które karmiły mnie, kąpały i podnosiły, gdy nie byłam w stanie sama wstać. Rzucił mnie w ramiona śmierci, przywrócił mnie do życia. To właśnie dlatego wyniósł zwłoki z ostatniego piętra. Zawierzył je płomieniom, nie po to, by je zbezcześcić, tylko by uświęciły nas oboje.

Cienie zmagają się ze światłem. Mróz walczy z ogniem. „To wojna" - powiedział mi pewnego razu. Byliśmy zdobywcami nieznanej ziemi, wyspy życia leżącej pośrodku bezkresnego morza krwi.

Przenikliwe zimno. Nieznośne gorąco. Jego usta przesuwają się po mojej szyi, ja sunę palcami po jego opuchniętym policzku i nacięciach - VQP - na ramieniu. Rana, którą mu zadałam, rana, którą zadał sam sobie. Moja ręka oplata jego plecy, bym mogła go przytulić. *Nie opuszczaj mnie. Proszę, nie zostawiaj mnie.* Zapach gumy do żucia, woń dymu i jego krwi, jego ciało splecione z moim ciałem, kawałki jego duszy złączone z moją duszą. *Brzytwa.* Bicie naszych serc, rytm naszych oddechów, krążące nad naszymi głowami niewidoczne gwiazdy odmierzające upływ czasu w coraz mniejszych odcinkach, aż do samego końca - naszego, mojego i Brzytwy oraz końca wszystkiego.

Świat jest zegarem z poluzowaną sprężyną, a ich przybycie nie ma z tym nic wspólnego. Zawsze był zegarem. Nawet gwiazdy zgasną w końcu jedna po drugiej, zniknie całe światło i ciepło. To właśnie jest wojna: niekończąca się, daremna walka z mroczną, lodowatą pustką zmierzającą w naszą stronę.

Brzytwa zaplata palce na moim karku i przyciąga mnie do siebie. Obejmuję go nogami. Nie ma pomiędzy nami żadnej wolnej przestrzeni, żadnego punktu, w którym kończy się jedno i zaczyna drugie. Pustka zostaje wypełniona. Zaprzeczamy nicości.

Trwa w moich objęciach, aż nasze oddechy wyrównują rytm, a serca przestają bić jak szalone, i gładzi mnie po włosach, przyglądając się mi tak uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół, nim odejdzie. Dotyka moich ust, policzków, powiek. Przesuwa koniuszkiem palca po moim nosie i płatku ucha. Jego twarz kryje się w cieniach, moją oblewa światło.

- Uciekaj - szepcze.

Potrząsam głową.

- Nie mogę.

Wstaje z pryczy, a ja mam wrażenie, jakbym znów spadała. Błyskawicznie wciąga na siebie ubrania. Nie potrafię rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Zamknął się przede mną. Znów jestem sama, uwięziona w pustce. Nie potrafię tego znieść. Ta pustka, z którą żyłam tak długo, że nauczyłam się ją ignorować, w końcu mnie zmiażdży. Dopiero teraz ją zauważam: wypełniając ją, Brzytwa uświadomił mi jej ogrom.

- Nie złapią cię - nie przestaje nalegać. - Nie są przecież w stanie.

- On wie, że nie ucieknę, póki ma ją w swoich rękach.

- Jezu. Kim ona w ogóle dla ciebie jest? Warto oddać za nią życie? Jakim cudem jedna osoba może być dla kogoś aż tak ważna? - Wiem, że zna odpowiedź na to pytanie. - Dobra. Rób sobie, co chcesz. Nie obchodzi mnie to. To bez znaczenia.

- To właśnie tego nas uczą, Brzytwa. Co ma znaczenie, a co go nie ma. To jedyna prawda w samym środku tych wszystkich kłamstw.

Sięga po karabin i przewiesza go sobie przez ramię. Całuje mnie w czoło. Błogosławieństwo. A potem zabiera lampę i kuśtyka ku drzwiom. Mój strażnik, opiekun, ten, który nigdy się nie męczy, nie odpoczywa, nie opada z sił. Opiera się o framugę drzwi i wznosi głowę ku niebu płonącemu zimnym ogniem dziesiątków tysięcy stosów pogrzebowych, które znaczą upływ czasu.

- Uciekaj - szepcze do siebie. - Uciekaj.

Ósmego dnia przylatuje po nas helikopter. Brzytwa pomaga mi się ubrać, ale nie licząc pobolewających żeber i wciąż osłabionych nóg, układy znane pod zbiorczą nazwą Ringer są w pełni sprawne. Moja twarz zagoiła się całkowicie, nie została nawet blizna. Podczas lotu do bazy Brzytwa siedzi naprzeciw mnie, wbijając wzrok w podłogę, i tylko raz patrzy mi w oczy. „Uciekaj” - mówi bezgłośnie. *Uciekaj.*

Biała ziemia, ciemne wody rzeki, helikopter przechyla się gwałtownie na bok, okrążając wieżę kontrolną lotniska na tyle blisko, że mogę dostrzec wysoką, samotną sylwetkę kryjącą się za przyciemnionymi oknami. Lądujemy dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartowaliśmy, i domykamy kolejny krąg, Brzytwa przytrzymuje mnie za łokieć, prowadząc do wieży. Gdy wspinamy się po schodach, przez chwilę ściska moją dłoń.

- Wiem, co ma znaczenie - oznajmia.

Vosch stoi tyłem do nas, ale widzę w szybie niewyraźne odbicie jego twarzy. Czuwa przy nim potężny rekrut, który przyciska do swojej piersi karabin i wygląda na tak przerażonego jak ktoś wiszący na cienkiej sznurówce ponad głębokim na dziesięć kilometrów wąwozem. Obok niego w białym, standardowym kombinezonie siedzi powód, dla którego tu jestem, moja ofiara, mój krzyż, mój obowiązek.

Filiżanka wstaje na mój widok, ale żołnierz opiera jej dłoń na ramieniu i natychmiast usadza z powrotem. Kręcę głową, rzucając w jej stronę bezgłośne „nie”.

Panuje całkowita cisza. Brzytwa stoi po mojej prawej, nieco z tyłu. Nie widzę go, ale słyszę jego oddech.

- No i? - odzywa się Vosch, przechodząc do preludium. - Rozwiązałaś problem z wielką skałą?

- Tak.

Ciemne szkło odbija jego uśmiech.

- I?

- Zrzucenie wielkiej skały byłoby wbrew waszym zamiarom.

- Jakim?

- Niektórzy powinni przeżyć.

- To wymijająca odpowiedź. Stać cię na więcej.

- Mogłeś nas wszystkich pozabijać. Ale tego nie zrobiłeś. Palisz wioskę, by ją zbawić.

- Tym właśnie jestem? Zbawicielem? - Odwraca się w moją stronę. - Musisz doprecyzować odpowiedź. To zawsze są krańcowe wybory, wszystko albo nic? Skoro celem jest ocalenie wioski przed jej mieszkańcami, to przecież wystarczyłby nieco mniejszy kawałek skały. Dlaczego cała seria ataków? Po co te wszystkie fortele i oszustwa? Sztucznie ulepszone, majaczące marionetki takie jak Evan Walker? Asteroid to przecież dużo prostsze i bardziej bezpośrednie rozwiązanie.

- Nie jestem pewna - przyznaję. - Ale myślę, że ma to jakiś związek ze szczęściem.

Gapi się na mnie długą chwilę. Wreszcie kiwa głową. Wygląda na zadowolonego.

- Wiesz, co się teraz stanie, Mariko?

- Zabierzesz mnie tam, gdzie widziano go po raz ostatni - odpowiadam. - Mam go dla ciebie wyśledzić. To anomalia, błąd w systemie, którego nie możesz tolerować.

- Czyżby? Niby w jaki sposób może mi zagrozić pojedynczy, nędzny, ludzki pionek?

- Miłością. Zakochał się, a miłość to jedyna słaba strona waszego planu.

- Dlaczego?

Za mną cichy oddech Brzytwy. Przede mną uniesiona ku górze twarz Filiżanki.

- Bo miłość jest irracjonalna - wyjaśniam Voschowi. - Nie trzyma się żadnych zasad. Nawet własnych. Miłość to jedyna rzecz we wszechświecie, której nie da się przewidzieć.

- Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie - stwierdza komendant, patrząc na Filiżankę. - Trajektorię miłości można przewidzieć bez najmniejszego problemu.

Podchodzi bliżej, górując nade mną niczym kolos z ciała i kości, i wbija we mnie spojrzenie oczu jasnych jak górskie jezioro, przewiercając się do samego dna mej duszy.

- Dlaczego miałbym cię potrzebować, żeby go odszukać?

- Straciłeś drony, które ich śledziły. Urwał ci się ze smyczy. Nie zna całej prawdy, ale wie na tyle dużo, by zagrozić twoim planom, jeśli nie uda się go powstrzymać.

Cofam się odruchowo, widząc, jak Vosch podnosi rękę, ale on zaciska ją tylko na moim ramieniu. Jego twarz promienieje satysfakcją.

- Doskonale, Mariko. Bardzo dobrze.

- Uciekaj - słyszę szept Brzytwy za moimi plecami.

Strzał z pistoletu eksploduje tuż obok mego ucha. Vosch zatacza się do tyłu, ale to nie on oberwał. Potężny żołnierz osuwa się na kolana, opierając lufę karabinu o ramię, ale on również nie był celem. Brzytwa strzelił do tego, co choć najmniejsze, stanowiło sumę wszechrzeczy, kula z jego pistoletu była mieczem, który wyzwolił mnie z łańcuchów.

Siła uderzenia odrzuca Filiżankę. Jej głowa uderza o stojący za nią stół, chudziutkie rączki unoszą się w powietrze. Odwracam się w prawo, patrząc na Brzytwę, którego pierś eksploduje w chmurze krwi podziurawiona serią z karabinu klęczącego rekruta.

Robi krok w moją stronę, a ja instynktownie otwieram ramiona, ale jest już za późno, by go złapać. Patrzy na mnie tymi łagodnymi, przepełnionymi smutkiem oczami, nieprzewidywalna nawet dla Voscha trajektoria miłości dobiega końca.

- Jesteś wolna - szepcze Alex. - Uciekaj.

Żołnierz celuje w moją stronę. Vosch wpada pomiędzy nas z wściekłym krzykiem dobywającym się z głębi trzewi.

Procesor aktywuje układy mięśniowe, gdy pędzę w stronę okna wychodzącego na lotnisko i jednym skokiem pokonuję dwumetrową odległość, rozbijając barkiem szybę.

Spadam, spadam, spadam otoczona świeżym powietrzem.

*Jesteś wolna.*

Spadam.

# VIII
# DUBUQUE

Pięć szarych duchów pokrytych popiołem i pyłem, przyczajonych w lesie o świcie.

Megan i Sam wreszcie zasnęli, choć wyglądało to bardziej na utratę przytomności niż zdrowy sen. Ben siedział z karabinem na kolanach, patrząc na wschodzące słońce, milczący, zamknięty w kokonie gniewu i smutku. Myślę, że głównie smutku. Jak zwykle pragmatyczny Dumbo grzebał w plecaku, poszukując czegoś do jedzenia. Mnie również otaczał kokon gniewu i smutku, głównie gniewu. Powitania i pożegnania. Witaj i żegnaj. Ile razy będę musiała jeszcze przechodzić przez ten cykl? Nietrudno było sobie wyobrazić, co zaszło w hotelu, ale w żaden sposób nie dało się tego zrozumieć. Evan musiał znaleźć woreczek upuszczony przez Sama i ostatnim tchnieniem (dosłownie) skazał siebie i Grace na śmierć w kuli zielonego ognia. Ten dupek, ta skłonna do poświęceń, idealistyczna hybryda człowieka z obcym, zaplanował to od samego początku.

Podszedł do mnie Dumbo, pytając, czy ma mi obejrzeć nos. Zapytałam, jak mógł go dotąd przegapić. Parsknął śmiechem.

- Zajmij się Benem - poprosiłam.

- Nie pozwala mi - odparł.

- No tak - westchnęłam. - Są rany, wobec których nawet twoja magiczna medycyna jest bezradna.

To Dumbo zareagował pierwszy, usłyszał to najwcześniej (może z powodu tych uszu) i spojrzał nad moim ramieniem w stronę drzew: odgłos kroków na zamarzniętym, pękającym pod ich ciężarem gruncie, szelest zeschniętych liści. Zerwałam się na nogi, celując z karabinu w stronę źródła dźwięków. Jaśniejszy cień pośród mroku zalegającego między drzewami. Pilot, ocalony jakimś cudem z helikoptera, który przyszedł tu za nami? Kolejny Evan lub następna Grace, uciszacz patrolujący swój teren? Nie. To niemożliwe. Żaden uciszacz nie zachowywałby się jak słoń w składzie porcelany, robiąc tyle hałasu w lesie.

Cień uniósł do góry obie ręce. Wtedy - zanim zdążył wypowiedzieć moje imię - zrozumiałam: znów mnie odszukał, po raz kolejny dotrzymał niemożliwej do spełnienia obietnicy podpisanej moją krwią i jego łzami. Uciszacz. Mój uciszacz zmierzający ku mnie z

wielkim trudem w blasku doskonale czystego światła, które zwiastowało nadejście wiosny po długiej zimie.

Oddałam Dumbo swój karabin i ruszyłam w jego stronę. Otaczało mnie złote światło, ciemne drzewa skrzyły się od szronu, a powietrze pachniało tak, jak pachnie tylko w zimowe poranki. Są rzeczy, które zostawiamy za sobą, i takie, które nigdy nas nie opuszczają. Świat już raz się skończył. I skończy się znowu. Kończy się i zaczyna od nowa. Za każdym razem zaczyna się od początku.

Zatrzymuję się kilka kroków przed nim. On również staje w miejscu. Patrzymy na siebie, a przestrzeń pomiędzy nami jest szersza niż cały wszechświat, węższa niż ostrze brzytwy.

- Mam złamany nos - mówię, przeklinając jednocześnie w duchu Dumbo, że musiał mi o tym przypomnieć.

- A ja strzaskaną kostkę - odpowiada.

- Pomogę ci.

# PODZIĘKOWANIA

Siadając do pisania, nie do końca zdawałem sobie sprawę, jak wiele czeka mnie pracy. Jako pisarz mam wiele wad, jedną z nich jest to, że zbyt mocno angażuję się w życie wewnętrzne swoich bohaterów. Zazwyczaj ignoruję słuszną radę, by przyglądać się obojętnym boskim okiem ich cierpieniom i utrzymywać dystans do własnego stworzenia. Pisząc trzytomową historię miłosną o końcu świata, lepiej nie traktować tego wszystkiego zbyt poważnie. W przeciwnym wypadku twoja dusza może trafić w różne mroczne miejsca nękana zmęczeniem, apatią, gwałtownymi zmianami nastroju, hipochondrią, atakami płaczu i infantylnej wściekłości. Wmawiasz sobie, że te wszystkie zachowania są zupełnie normalne, choć jesteś jak rozwydrzony czteroletni bachor płaczący, że nie dostał wymarzonego gwiazdkowego prezentu, i w głębi serca wiesz, że jesteś nieszczery. Masz świadomość, że we właściwym czasie, gdy wszystko dobiegnie końca, będziesz musiał nie tylko dziękować, ale również przepraszać.

Chciałbym zacząć od dobrych ludzi z wydawnictwa Putnam, zwłaszcza Dona Weisberga, Jennifer Besser i Ari Lewin: wybaczcie mi, że się zagubiłem, traktując zbyt poważnie i siebie, i swoje książki, obwiniając innych o własne błędy i brodząc po pas w absurdalnych problemach, które sam sobie stworzyłem. Dziękuję za Waszą cierpliwość, wielkoduszność i olbrzymie wsparcie.

Mój agent Brian DeFiore: dziesięć lat temu nie miałeś pojęcia, w co się pakujesz. Szczerze mówiąc, ja również nie, dziękuję Ci jednak, że przy mnie wytrwałeś. To miłe, gdy masz kogoś, do kogo możesz zadzwonić o każdej porze i powrzeszczeć na niego bez żadnego powodu.

Mój syn Jake: dziękuję, że zawsze odpisujesz na moje esemesy i zachowujesz spokój, gdy mi odbija. Dzięki, że zawsze potrafisz wyczuć mój nastrój i wybaczyć nawet te zachowania, których nie rozumiesz. Dziękuję za inspirację, doping i bronienie mnie przed paskudnymi ludźmi. Jestem Ci również wdzięczny, że nie przeszkadza Ci moje ględzenie naszpikowane kryptocytatami z książek, których nie znasz, i filmów, których nie widziałeś.

I wreszcie Sandy, moja żona od prawie dwudziestu lat, która odkryła moje niespełnione marzenie i lepiej ode mnie wiedziała, jak się

zabrać do jego spełnienia: Kochanie, to od Ciebie nauczyłem się odwagi w obliczu przytłaczających przeciwieństw losu i olbrzymiej straty. Pokazałaś mi, jak zachować wiarę, gdy ogarniała mnie desperacja, odwagę, gdy gubiłem się w mroku, i cierpliwość, gdy nadeszła panika z powodu zmarnowanego czasu i wysiłków. Wybacz te wszystkie godziny milczenia, które musiałaś przetrwać, nękający mnie gniew i poczucie beznadziei, niewytłumaczalne zmiany nastrojów od euforii (Jestem genialny!) do wściekłości (Co za syf!). Jestem jedynym głupcem, do którego miałaś cierpliwość. Odwołane urlopy, zignorowane zobowiązania, pytania, które puszczałem mimo uszu. Nie ma niczego gorszego niż samotność w towarzystwie osoby, która zawsze jest myślami gdzie indziej. Mam u Ciebie niemożliwy do spłacenia dług, ale obiecuję, że przynajmniej częściowo spróbuję to zrobić. Bo ostatecznie bez miłości wszystkie nasze wysiłki idą na marne i staramy się na próżno.

*Vincit qui patitur.*